

Zapolska Gabriela
RAJSKI PTAK

(... dla duszy największa pociecha,
gdy zdoła drugiej duszy odjąć smutku trochę...)

Verlaine

CZEŚĆ I

Adam kawałkiem papieru założył przeczytaną stronicę i Chirurgię Rydygiera zamknął i odłożył na bok. Ciemnica nocna o szyby biła. Ścinało mu się serce uczuciem samotności.

Pójdę trochę... pomyślał świeca nie starczy mi na cały wieczór. Gdy tak siedzę w ciemności, fantazja zanadto pracuje...

A to nie dla mnie.

Nie.

Bo są już takie dzieci, są tacy młodzieńcy, są tacy ludzie dojrzały, którzy o fantazji nic wiedzieć nie mogą. Idą więc przez życie równo, prosto, za włosy zwłóczą się na to „prosto”, jeśli coś się zamajaczy.

Dopiero nad grobem, gdy są już bardzo starzy do niczego niezdatni, dla nikogo nieprzydatni dopiero wtedy...

Ot nawet i lepiej, gdy taki stary cichutko w kącie siedzi, wsłucha się w wicher albo w trzask drzewa w piecu ręce przy piersiach skuli, oczy powiekami przysłoni.

Mówi się wtedy...

Stary zasnął.

A „stary” nie śpi! On czuwa, duszą swą zbudzoną na wywiady wysłał po drogach życia, przeczuwa to, czego przez swe istnienie przeżyć nie mógł, garnie się do tego, czego dotknąć nie śmiał.

Zgarniają go ku sobie wielkie idee, tłumy jakieś pełne goryczy otaczają go, on z nimi podnosi pięści, woła pieni się. Czyny jakieś wielkie mieczami o tarcze biją... to znów łąka zielona szemrze falą traw posianych, bielą mleczów drżących. I jak jakiś wiosenny i tęskny śpiew jakaś harfa srebrna drży w przestrzeni ręka biała o różowych palcach tych strun dotyka...

I potem olbrzymie wnętrza cichych świątyń stłumiony głos zakonnicy spoza krat, adorujących purpurową gwiazdę kaplicy...

I jeden wielki, rozpaczliwy głos za nim, za pozostałym z drugiej strony krat. Głos, który wstrząsa wspomnieniem niedawnych chwil, w których usta przy ustach sączą rozkosz w nerwy, i duszę przejmuje lęk...

O tym marzy starzec, „donaszający” swą odzież człowieka dojrzałego i siedzącego tak cicho koło ciepłego pieca, złożony ręce na piersi.

A dokoła niego mówią.

Stary zasnął... Ramionami wzruszają.

Ot... stary!...

A on tymczasem szybuje płomiennie po przestworzach dotąd dlań zakrytych... Choć teraz...

Adam idzie z falą ludzi.

Nie umie jednak iść.

Potrącają go, popychają, jak zwykle każde drobne istnienie.

Grzecznie się usuwa, nie pokornie ale grzecznie...

Pelerynę ma z krajowego wyrobu, a więc wiatrem podszytą.

Ale za to ma ogromne, czarne oczy, bladą drobną twarz, smukłe ciało i te prześliczne proste rysy twarzy, które zniewalają od pierwszego wejrzenia.

Nie mówi się o takim człowieku „to piękny chłopiec” ale „to dobry chłopiec”.

Dobry chłopiec idzie i myśli. Chciał unormować swój budżet, a nie mógł tego wykazać w ścianach swego pokoiku, gdzie za dużo było wielkiej wiedzy i przeogromnych przyszłych czynów dla ludzkości. Szło o marne cyfry codzienne. Należało je zbierać i rzucać w tłum nieznanym

i na grunt neutralny. Wywoływały natychmiast wizję wuja, wiecznie stroskanego i snującego się po plebanii nędznej galicyjskiej wioski. Te trzydzieści guldenów, przysyłanych spod serca starczyły na cały miesiąc. Starczyły z trudem.

Należało, aby starczyły bez trudu bo ten trud przeszkadzał często w pracy.

Czyż tylko trud o te guldeny!...

Idzie Adam ulicą w swej pelerynce i ciągle występuje na jaw jego blada twarzyczka, gdy wejdzie w smugę światła, bijącego z okien sklepowych.

Mieszkanie osiem guldenów, opał dwa obiady w taniej kuchni akademickiej siedem i pół...

Minęły go dwie kobiety. Obie były jasno ubrane, pomimo zbliżającej się jesieni. Donaszały letnie stroje. Zarzuciły tylko boa na szyję. Spotkały się oczy młodszej z oczami Adama. Roześmiała się.

On natomiast spoważniał.

Jasno ubrana kobieta rozśłoneczniła się uśmiechem na widok smukłego mężczyzny. A on się jakby cofnął w głąb swej istoty i na twarz jego wypłynął cień melancholii.

Nie obejrzał się.

Szedł dalej prosto ale myśli jego zygzakiem pofrunęły w bok...

Gdzie są łąki zielone, wiosenne czarem, a na nich śnieg mleczków białych się kołysze.

I na te łąki wizyjne spływają korowody dziewcząt, owianych bladymi draperiami fałd drobnych, o twarzach, jakby je Fra Filippo Lippi pędzłem swoim rzeźbił.

Są to śliczne, przerezwane dziewczyny, które zdają się spływać w życiu i przepajać sobą atmosferę.

Dziwią się złemu nie gardzą nim. Do tego, co dobre, wyciągają ręce jak do kwiatu, i tulą ku sobie smutki sennych bratków. Białe ćmy delikatne i puszyste, tańczą dokoła nich gwieździste desenie. One idą w błękitnym blasku księżyca, pod deszczem gwiazd, nie mając na ustach nigdy takiego uśmiechu, jaki rozjaśnił wargi przechodzącej kobiety na widok ciemnych oczu chłopca.

Bo choć są powiewne i lekkie, to nic w nich nie ma przelotnego. Ani drgnienia ich własnych dusz, ani zburzenia dusz drugich przez ich łagodną moc.

Idzie dalej prosto Adam, a myśli jego zygzakiem fruują znów w bok...
Tam, gdzie ściele się szumiący kobierzec jesiennych purpurowych liści
tam jest wielki park, obramowany dzidami krat o złoconych strzałach.
Słońce mdleje na horyzoncie i nawet nie zapala na tych strzałach rzędu
iskier, którymi w upalne lato żegnało dzień.

Lecz ciepło jest jeszcze i na stawie duże koła zataczają czarne o
koralowych dziobach łabędzie.

Szeroką aleją dwurzędową włoskich topoli idzie prosto, smukła kobieta.
Jest odziana w ciemnozieloną wełnę. Suknia jej marszczona od pasa opada
ślicznie ku dołowi i wlecze się po purpurze liści, zagarniając je,
rozrzucając to znów zabierając w swe fałdy jakby miłosierne tulące się,
konające ptaki.

Kobieta idzie tam, gdzie przed nią wznosi się las strzał bramujących park.
Za lasem ciągnie się bezkresna równina. Szare ściernisko, na nim nie
płonie nawet perz.

W oddali, bardzo daleko jakiś krzyż...

I horyzont, na którym mdleje słońce.

Kobieta idzie wolno, idzie szlachetnie nie tłocząc brutalnie ziemi. Twarz
jej wąska, trójkątna, pełna tragicznego odbicia przeżytego wielkiego bólu.
Kąciki ust opadły, ręce także linią smutną zwiesiły się ku dołowi. A w
oczach ciemnych cała głębia melancholii. I nie można pojąć, aby ta
kobieta cierpiała tak przeżyciem swych własnych smutków. Ludzkość cała
w niej zamyka swą księgę żałobną. Było to wielkie współczucie smutków

wszelkich, jakby jej dusza zbierała bóle drugich na wzór szaty,
zgarniającej ku sobie konające liście.

Powieki jej opuszczone rzucały cień na trójkąt jej twarzy. Był to jakby
kwef żałobny wdowy po szczęściu swoimmieswoim, a chód jej był tej,
która idzie ku mogilnym zachodom przesmutnego obszaru ziemi.

I wszystko dokoła tej kobiety było smutne, królewskie, poważne.

Nie śmiało się nic, nie szemrało weselem.

Jej namiętność musiała mieć omdlenia skupionych w sobie dusz. Nawet w
pocałunku była melancholia bólu nad cudem, który się poczynał wśród
łez...

Ta kobieta nie śmiała się nigdy tak, jak uśmiechała się przechodząca,
spotkawszy oczy chłopca.

To myśli Adam i jeszcze ponadto dziw go ogarnia, skąd mu przychodzi
ten wykwint duchowy, gdy myśli o kobiecie.

Odwraca się od tych, które rzucają mu brutalnie w oczy swój wdzięk i
chcą być kochane. Dąży myślą w parki jesienne, na łąki wiosenne i
najrzadsze, najkosztowniejsze kwiaty garnie ku sobie myślą.

Tylko taką... myśli prawie dziecięco, modląc się purpurą warg
rozchylonych.

Tymczasem na ulicy ocierają się o niego wykwintne lalki, poematy
muślinów, aksamitek, koronek... Woń perfum smugą, bije mu w pierś, on
idzie... i myślą błądzi przed kratą parków u skraju łąk...

Tylko taką...

Tak mało mają dziewczęta Fra Filippo Lippi lub jesienna wizja parkowa
wspólnego z kobietami, które leczył na łózkach szpitalnych.

Tak mało wspólnego z dziewczętami, które myją ganki plebanii, lub
piskliwie wywodzą nieszpory niedzielne.

A on takie kobiety znał tylko żywe. Bo były w życiu jego jeszcze trupy
kobiet, które dysekował.

Milczące, zimne groźne, tragiczne...

Te trwożyły go zawsze. Ich zamknięte źrenice zdawały się mieć zastygłe
łzy i ręka mu drżała, gdy

skalpel zanurzał im w piersi.

Ach! Nic więcej tylko był to błędny rycerz, romantyk, zbłąkany i drogi
szukający. Nic więcej tylko romantyk.

Szły więc kobiety otulone w boa z włosami w kształcie pastelii z XVIII
wieku nimbem nad uśmiechniętymi twarzami. Patrzyły na młodego
studenta w pelerynce podszytej wiatrem i zdawały się mówić:

Jesteśmy ładne, wybierz sobie którąś z nas!...

A jemu dziwno było, że kobiety zajmują tyle miejsca w jego myśli. I to
takie właśnie kobiety. Tamte z parku i z łąki żyły tylko w abstrakcjach, te
zaś raziły go i odtrącały.

Po cóż więc myślał o nich?

Po cóż szedł tam, gdzie snują się i zwartą falą ku niemu dążą.

Tyle jest w życiu innych poważniejszych kwestii, przed którymi stoi jego
młodość niepewna i nie znająca nic!...

Czyż tylko kobieta?...

Zboczył z głównej ulicy, po której snuje się w cieniu jesiennego wieczoru targowisko ciał. Unosi swój romantyzm, który go niejako od

tlumu odcina, w ustronniejsze ulice, po których snują się rzadsze postacie. Sklepów tu brak. Z parterowych mieszkań czasem przepłynie jaśniejsza struga razem z przyciszoną falą fortepianu. Za koronką firanek płaczą salonowe nokturny, chłonąc w siebie dziewczęce bezbarwne marzenia. Jakaś rezygnacja bezużyteczna wypełnia te zakątki. Czuje się tu identyczne gesty i tu identyczne myśli bez pragnień wzniesienia się nad poziom. Adamowi zdawało się, że się zanurza w letnią kąpiel.

Tak będę musiał żyć myślał, idąc wzdłuż murów. Nie sprawiało mu to bólu. Nie szumiały w nim bohaterskie skrzydła. Pojmował inaczej użyteczność swojej przyszłości. Zaczął o niej myśleć lecz widział ją mglistą. Wiedział, że musi być użyteczną, i o to się nie sprzeczał ze swym przeznaczeniem.

Tak będę żył...

Poza nim w pewnych odstępach czasu pędziły wozy tramwajowe. Huk ten potrząsał powietrzem, najeżdżał mu na schylony kark. Purpurowe światło biło mu prawie spod stóp, bo ulica była wąska i szyny szły obok trotuaru. Gdy przeleciał wagon, Adam mimowolnie śledził błękitne elektryczne iskierki, które tryskały spod kół. Interesowały go, i żałował, gdy znikły. I znów słyhać było żalosne nokturny spoza koronkowych, ładnie upranych firanek. Czasem ciemniała różga chryzantem,

wykwitających z żardynierki. Lecz najczęściej były to krzyże ram okiennych, znaczących się jednaką jakby więzienną linią.

Adam piał się coraz wyżej ku parkowej górze, która tonęła w mglistych oparach, unoszących się nad miastem. Coraz mniej było przechodniów wozy tramwajowe przejeżdżały o pustych, jasnych wnętrzach.

Ojciec mój był lekkomyślny... mignęło nagle przez myśl Adama.

Tak zawsze mówi mój wuj, na czym jednak jego lekkomyślność polegała?

Nie wiem rozelkało się w nim nagle nie wiem nic, tylko to, że stoję u progu życia sam i bardzo sieroco...

Starał się w tej samej chwili stłumić w sobie ten ból. Wyśmieliby mnie ci wszyscy, którzy mnie mijają. I to błędne rycerstwo i ten romantyzm... Oni wszyscy mają kogoś a czy ten ktoś im rzeczywiście potrzebny?

Może i on, gdyby nie był sam, a koło niego błąkało się jakieś istnienie, nie czułby ciepła, a przeciwnie, doznałby jakby przeszkody... Kto wiedzieć może?

Przed nim od jakiegoś czasu ciemnieje jakaś postać kobieca. Nie opatrzył się, że idzie jej smugą. Kobieta jest wysoka i szczupła w ramionach.

Rzuca na mury dwa cienie.

Jeden niższy i ciemny.

Drugi cień cienia wyższy i bardziej przejrzysty. Na kapeluszu jej chwieją się duże czarne pióra.

Takie same pióra widmowo drżą na głowach dwóch cieni.

Adam wpatrzył się w te trzy postacie, idące przed nim. Zająły go. Suną powoli na jasnym tle ściany. Tramwaj przeleciał one jakby się zakołysały...

I znów suną dalej.

Ojciec mój był podobno lekkomyślny... myśli Adam i patrzy na cienie, na kobietę, idącą przed nim.

Przyspieszyła kroku, on uczynił to samo. Chwilę później tramwaj nadjeżdżał, słychać było dzwonek, widać czerwoną smugę kobieta zdawała się zatrzymać... Adam zatrzymał się także...

Dlaczego ja to robię? pomyślał.

Lecz poszli znów dalej wolno, wzdłuż murów, on kobieta i jej dwa wierne cienie.

Idąc, obserwował ją. Chłonał jakby bezwiednie szczegóły jej postaci!

Musi być młoda myślał szkielet jej jeszcze niezupełnie rozwinięty głowa mała pomimo skrzydeł kapelusza. Ślicznie opadają fałdy jej sukni. Dlaczego jednak tak niedbale wlecze ją po ziemi? Jest w tym jakieś

zmęczenie fizyczne czy apatia duchowa? Idzie prosto, nie patrzy na nikogo, nie stara się zwrócić niczyjej uwagi. Jest sama i bardzo sieroca... Gdzie idzie, jak senna? Czy czeka kto na nią? Nie śpieszy się jednak. Pnie się ku górze, jakby bez celu. Melancholia smugą wlecze się za nią. To musi być istota pełna smutku i wdzięku. Nagle Adam otrząsnął się. Znow kobieta? Co ona może mieć wspólnego z moimi wymarzonymi, które jedyne tylko dla mnie egzystują! Gdybym ją minął i spojrzał jej w oczy, roześmiałyby się tak, jak śmiały się tamte w blasku latarni. Jest mi obojętną. Idę za nią, bo tak mi wypada droga... A przecież idzie i patrzy. Chłonie znow szczegóły jej postaci i czyta w nich ukradkiem, jakby w kartach niedozwolonej księgi.

Ręce jej obwisły ku dołowi białe są, bez rękawiczek. Strój jej przecież jest wytworny. Zwalnia znow kroku, jakby powzięła jakieś postanowienie. Tramwaj nadjeżdża... dzwoni gwałtownie, łuna bije co to? kobieta zbacza z chodnika... na szyny?... czyżby...

Jedno silne pociągnięcie ręki i kobieta powraca do normalnej linii.

Tramwaj przejechał błękitne gwiazdeczki migocą w ciemni i oddalają się smugą, ale Adam wciąż trzyma prawie brutalnie ramię kobiety i w astrakan jej zakietu zanurza febrycznie palce.

Co pani?... co?...

Jest tak wzruszony, jak ona. Przed nimi boczna jama małej uliczki. Daleko pali się naftowa latarenka. Bezwiednie oboje kierują się w ten cień.

Co pani?

Ona nie odpowiada nic. Opuściła głowę. Skrzydła czarne kapelusza i pióra otuliły ją. Nie widać nic prócz delikatnej linii białej, jakby porcelanowej brody, tonącej w puchu czarnego boa. Broda ta drży. Słysząc także przyspieszony oddech. Delikatna woń szkarłatnej koniczyny unosi się z piór i futer.

Pani chora... ja panią odprowadzę...

Coś płynie srebrnego spod skrzydeł czarnych, coś opada na futro, drży, jak rosa na czarnych

irysach i znika.

Jakby duże, gorące, kobiece łzy...

Adam na łzy te patrzy pije je wzrokiem. Nie wie, co powiedzieć. W praktyce swej szpitalnej otaczały go całe łańcuchy nędz fizycznych. Tu stoi wobec jakiejś tragedii, odzianej w dostatek, tragedii moralnej.

Romantyzm jego roztapia się w bezsilnym współczuciu.

Pani pozwoli... ja odprowadzę...

Łzy ciche przechodzą w spazmatyczny płacz. Jakaś, jakby ulga z tym wybuchem spływa, nieznajoma przez jedno mgnienie oka podnosi głowę i ukazuje nieziemskiej piękności twarz młodej dziewczyny, o rysach delikatnej muszlowej kamei. Płacz nie wykrzywia jej lica przeciwnie, uduchowia ją do najwyższej potęgi. Białka oczu błękitne, opłynięte łzami, błyszczą dziwnie spod długich rzęs. Jakiego koloru są oczy nie dostrzega. Wie, że są to dwie głębie, które na niego patrzą. Chwilę jakby go przeszyły całego i poza nim jeszcze coś dostrzegły.

I już wyciąga się ręka chuda, nerwowa, delikatna.

Ręka ta wyniosłym gestem usuwa z drogi studenta.

Bez słowa, bez czegoś, co by zbliżyło ją tak losem zbliżoną ku niemu kobieta zwraca się ku oświetlonej ulicy i uciekać zaczyna. Biegnie lekko, rozpaczliwie jakby teraz ten mężczyzna, który ją wyrwał spod kół tramwaju, był dla niej jeszcze większym niebezpieczeństwem.

Adam widzi, jak przebiega ulicę, rzuca się w jakąś przecznicę i niknie. Sekunda nie ma jej, nie ma jej łez błyszczących rosą na tle futra, nie ma jej cudownej twarzy, wyniosłej postaci, jej rozpaczy i buntu i jej dwóch cieni wiernych, z których jeden był jej siostrą bliźnią, a drugi zdawał się być aniołem czarnym, przejrzywym w ślad za nią sunącym.

Mieć lat dwadzieścia cztery i tak dużo tego, co ludzie zowią „sercem”, a co jest przekleństwem, mieć mały, chłodny pokój, być źle odżywianym, przepracowanym, i nagle pozostać z wizją niespodzianą, która się objawiła czarnym ptakiem, przecinającym szary i bezbarwny widnokrąg

życia.

A ponad to wszystko mieć dziwne usposobienie. Tak przynajmniej ludzie nazywają młodego chłopca, który przyszedłszy do kawiarni, z wyrazem nudy patrzy na marmur stolika, sączy powoli podany napój, który nie pławi się w dwuznacznych słowach i równie dwuznacznych gestach, z wątpienia swego nie wypluwa z butą histeryka w twarz słuchaczom, i w noc ciemną, gdy inni giną w uchylonych gościnnie drzwiach spelunek on do domu wraca.

A wraca, niosąc w piersiach nie rozwichrzone, lecz jakby wsączone to, co życie mu dało z lepszych objawów... i to, co życie ma w sobie na dnie.

Gdy taki dziwny chłopak pozostanie sam, on to wszystko sortuje, zestawia odrzuca precz.

I myśli.

To poniosę ze sobą, a to mi niepotrzebne.

Adam jest właśnie ten „dziwny” źle odżywiany i smutny chłopiec. Absynt w kawiarni rozlewa po marmurze stołu i wątpienia swoje kryje

na dnie, czekając na objawienia, które zetrą się z niewiarą i może ją zwyciężą.

Długo marzył o tym, co daje rozkosz pieszczoty kobiecej. Była to jakby lampa, płonąca w świątyni jego życia. I nagle, brutalnie ocknął się z dwojgiem ramion zarzuconych dokoła szyi. Rozrzucony warkocz pachniał

rozmarynem. Porwała go szalona melancholia straconej wielkiej pociechy. Uciekł z goryczą w sercu i ustach...

I od tej chwili żył pomiędzy dziewczętami Fra Filippa i damą w ciemnej wełnie, zgarniającą ku sobie liście jesienne i smutki ludzkie.

W wąskim jego pokoiku zaludniło się przecież.

Tego wieczoru przywiódł ze sobą wrażenie niezwykle, które przepoiło go na wskroś.

Dlaczego chciała to uczynić? myślał ciągle.

Przez ścianę dolatywały go głosy. Gospodarz jego rozmawiał ze swą żoną.

Ludzie ci mówili półgłosem, ale ściana była drewniana i od czasu do czasu wpadał jakiś wyraz. Adam wyczuwał zawsze pewien rodzaj grozy, gdy słyszał te szepty. Znał źródło tej cichej, spokojnej fortunki, która dozwalała im hodować kanarki i kwiaty na oknach czyściuchnego mieszkanka.

To jest dno życia!... pomyślał.

I znów mignęła przed nim kobieta, zbaczająca na szyny tramwaju, i jej dwa cienie.

Czy byłaby i ona na dnie życia? pracował jego mózg czy w ten właśnie sposób tylko mogła wydostać się na gładką i spokojną równię?

Stały mu w oczach szeregi samobójczyń, które leżały przed nim nagie i ciche na stołach szpitalnych. Były to ubogie kobiety, sługi zjedzone fosforem, szwaczki topielice jakieś dziewczęta wesołe a tragicznie podwiązane sznurem, na którym zawisły.

Żadna z nich nie miała tej szlachetnej rasy, tej nerwowej piękności, która aż biła od nieznanym kobiety.

Ona coś chciała powiedzieć!... tkwiło mu w myśli coś uderzyło we mnie, gdy spojrzała wną twarz. To były jej niewypowiedziane słowa, nic innego.

Czy chciała mi podziękować? Czy chciała mi złożyć za to, że jej przeszkodziłem. A może... o parę ulic doprowadziła swój zamiar do skutku?

Aż w nim się coś szarpnęło i krzyknęło rozpaczliwie na tę myśl, tak bardzo logiczną.

Chciała się zabić koniecznie... a więc...

Jedna, bezkształtna masa na szynach, krwią zbroczone ręce białe, nerwowe, zmiażdżona cudowna twarz...

I dalej uciekał tramwaj, siejąc błękitne gwiazdki.

Nad samobójczynią schylone dwa czarne cienie. Jej własne cienie!...

Adam porwał się z krzesła.

Uczuł gwałtowną potrzebę otoczyć się ludźmi. Ich choćby bezmyślne gdakanie może odpędzi to przypuszczenie. Nie chce go, jakby zdjęty zabobonną trwogą, że na odległość wywoła sprawdzenie się krwawego faktu.

Wchodzi do wąskiego przedpokoiku, w którym wiszą potrzone właśnie rano i przygotowane na letnie przechowanie futra, i puka do drzwi sąsiednich.

Cisza i nagle głos kobiecy, jakby strwożony:

Kto tam?

Ach, nie lękajcie się to ja... Walkiewicz.

Proszę wejść.

Adam otwiera drzwi. Ciepło na niego bucha z cichego wnętrza dobrze uprzątniętego pokoiku. Przy

stole jeszcze, jakby strwożona, stoi niemłoda kobieta, o zgarbionych plecach i łagodnej twarzy jednobarwnej jakby bez krwi kropli. Oczy spłowiałe patrzą spod brwi ściągniętych.

To pan?...

Ja słyszałem głosy państwa.

Mąż w tej chwili poszedł do sypialni. Kładzie się spać. Niech pan siada. Wszystko tchnie tu spokojem ludzi drobnych, którzy wydarli losowi na starość ten kąt dla siebie i dla swoich ptaków. W kącie klatka z kawkami, przysłonięta kawałkiem zielonej kitajki. Na stole koszyczek z robotą świeży dziennik. Z uchylonych drzwi sypialni widać migocącą lampkę przed obrazem świętym.

Adam patrzy na właścicielkę tych sprzętów, kawek i tego spokoju i znajduje w geście jej rąk opuszczonych tę samą dziwną rezygnację, jaką miała idąca przed nim, niedoszła samobójczyni, a w ślad za nią dwa cienie.

Czyżby i ona była zgnieciona zależnością od swego przeznaczenia i zrezygnowana... pomimo śladów walki, jakie nosi na swej duszy...

Tymczasem kobieta siadła przy stole. Trwoga jej minęła. Sięga po robotę. Przeszkadzam pani? pyta Adam.

Nie. Mąż kładzie się wcześniej. Ja sypiać nie mogę. Zacięła usta.

Dlaczego?...

Ach, nic! Dawniej było gorzej. Nie sypiałam zupełnie. Teraz godzinę, dwie...

Trzeba się leczyć. Milczenie.

I on to powiedział bez przekonania. Słyszał ją nieraz, jak chodziła w nocy snuła się za ścianą, szemrzając filcowymi pantoflami. Na ten brak snu nie było w medycynie nasennego środka. Sumienie ich nie zna. Łka, krzyczy... a najstraszliwiej milczy.

Adam patrzy na pochylone nad robotą czoło kobiety. Cierpi ona bezwarunkowo moralnie wielkie tortury. Czy te moralne katusze, które zadaje sumienie kobiecie, mogą ją doprowadzić do samobójstwa?

To zaczyna tak nagle pożądać w nim odpowiedzi, że wpierw, nim zdołał sformułować swe słowa, już słyszy swe pytanie:

Proszę... niech mi pani powie, jakie powody skłaniają najczęściej kobietę do odebrania sobie życia?

W mlecznym świetle skromnej, oszczędnej lampy biegnie ku niemu strwożone spojrzenie wypłowiących źrenic.

Po co to panu?...

Wiedzieć muszę...

Dlaczego się kobiety zabijają?

Albo chcą zabić? Milczenie.

Tylko w sypialni jakiś szmer jakby ktoś posuwał się ostrożnie po pokoju.

Nie odpowie mi pani?...

Ach, Boże!... skąd ja o tym wiedzieć mogę.

Każda kobieta, która dużo przeżyła, wie, co inne w sercu mają.

Nie... nie...

Spłowiałe źrenice coraz nieufniej od Adama odbiegają.

Zresztą pan wie lepiej pan doktor przecież.

Adam uśmiecha się gorzko. Był przy dysekcji tylu samobójczyń to prawda. Ale najczęściej wiedział, że miały mózg przekrwiony.

Nic więcej...

Serce ich, to serce duchowe, było już zamkniętą księgą... do niego skalpel dojść nie mógł.

Nie wiem nic, zapewniam panią.

Pomimo, że pan doktor?

Może właśnie dlatego...

Milczą chwilę ale on znów zaczyna nalegać, choć czuje, że popełnia jakieś okrucieństwo.

Nie powie mi pani?

Nie wiem... nie wiem... Sądzę, że z miłości.

Jakieś uczucie, jakby gorącego żelaza w piersi, przejmuje Adama.

Czy zawsze?...

Kobieta uczuła, iż teraz ona sprawia jemu przykrość. Z chęcią zemsty powraca oczami ku niemu.

Tak... zawsze!

Głos jej brzmi teraz rzuconym wyzwaniem. Coś się w tej atmosferze ściera. Tych dwoje ludzi dobrowolnie zaczyna się ranić.

Przecież po chwili podejmuje Adam są inne uczucia żal, zawód materialny, obawa cierpienia fizycznego poczucie zależności...

Ona potrząsa głową.

Nie, nie... wierz mi pan. Zawsze musi być na dnie miłość. Tamto wszystko to dla mężczyzn. Kobieta zabija się tylko z miłości...

Do tej chwili mówiła cicho. Przy tych słowach podnosiła jakby bezwiednie głos. I zaraz umilkła jakby przerażona, rzucając wejrzenie na drzwi sypialni.

Adam podniecony tą walką, której prąd ogarniał go zawołał:

A... jeśli kobieta popełni jakiś czyn, zły czyn szkodliwy i występny... czy wtedy zadęczona nie zechce...

Co? Co?...

Kobieta przesuwa rękę po czole. W białym świetle lampy wydaje się alabastrową maską. Znać, że siła woli ją opuszcza. Lecz z sypialni wysuwa się niski mężczyzna, zaledwie odziany, mający długie ręce i krótkie nadmiernie nogi.

Coś z orangutana jest w linii jego ciała.

Wchodzi skinieniem głowy wita Adama.

No... matka... spać!... mówi niskim, gardłowym głosem.

I obchodzi dziwnym, kołyszącym się chodem pokój, jakby coś zbierał, coś gnał przed sobą, co tylko dla niego widzialne.

Adam wstaje i wychodzi do swego pokoju. Wie, że już się nic nie dowie że Minzowa milczeć teraz będzie, gdy on się pojawił i nappełnił przestrzeń swą widmową postacią. Ten człowiek zjawia się zawsze nie wchodzi, jak przeciętny ktoś, zwykły. Ni to postać z Odilon Redona, Sznajdra, Ropsa ni to zjawia wizjonera mózgiem spółdzona. Szepce, snuje się, kołysze swą głową, obrosłą silnym, ciemnym włosom, i swe długie ramiona, zakończone żyłastymi rękami, które zawsze zdają się spełniać jeszcze posługi śmiertelne dokoła niezastygłych trupów, patrzących na niego szklanymi, załzawionymi źrenicami.

W pokoju Adama dogorywa świeca i przez źle dopasowane okno jesienna noc się wdziera...

Powiedziała, że tylko miłość... myśli Adam, siadając przy stole nad rozłożoną książką.

Tylko miłość...

A więc ta nieznajoma o dwóch cieniach wiernych i rozwiewnych musiała kochać i przez tę miłość chcieć umrzeć. Dlaczego innego nie... Tylko przez miłość?

Adam tak myśli, a przecież w nim coś krzyczy, iż tak nie jest, że nie tylko miłosny zawód rzucał tę kobietę pod koła wagonu.

Na opuszczonych jej rękach ciążyła zbyt wielka jakaś moc czarnych przeznaczeń. Tego gestu nigdy

najsilniejsza miłość dla mężczyzny wywołać nie potrafi. Tak idą kobiety gnane tragiczną siłą fatalności, która ciężarem je tłoczy tak strasznie, że już tchu nie ma prócz tego wyzwolenia w spodziewanym niebycie.

Raczej to odezwało się w Adamie raczej to...

Za ścianą słyhać było delikatny szmer kroków. Ktoś sunął się po pokoju, miarowo, delikatnie.

Minzowa rozpoczyna swą wędrówkę nocną pomyślał Adam. I wyobraził ją sobie zgarbioną, bezsenną, błyskającą bladą maską w oświetleniu nocnej lampki w cichej przestrzeni czystego pokoiku. Chodzi jak automat i ręce jej zwisają po obu stronach ciała takim samym gestem, jak zwisały ręce tamtej kobiety.

Dlaczego ona prawdy mi nie chciała powiedzieć dlaczego mówiła, że to może uczynić kobieta tylko z miłości?...

Przeciągle rozegrał się wicher i zakołatał do okna. Na ulicy zagaśł nagle gaz, resztką świecy sycząc rozpływała się w lichtarzu. Daleko,

w ogrodach szpitalnych szumiały jeszcze liśćmi pokryte drzewa i szum ten w ulice wpływał.

Tamta musiała chcieć umrzeć nie tylko z miłości... myślał Adam.

I w tym zapewne jakąś pociechę znajdował.

Pociechę?

Po czym lub w czym.

Nie wiedział sam. Czuł jednak, że w nim coś cierpiało, że musiał coś znaleźć, aby to cierpienie uciszyć.

Tak czuł.

Wiedział, że u niego zimno, smutno smutniej, niż kiedykolwiek, i że wieczorem słyszeć będzie znów szepty tajemnicze Minzów za ścianą a potem szelest jej kroków bezsennych i szum wichru drzew szpitalnych ogrodów...

Dawniej znosił łatwiej te wieczory samotne, zimowe, zapowiedzi długich ciemnic bez światła, gdy

pod koniec miesiąca już pieniędzy nie starczy.

Lecz od wczoraj coś się w nim przełamało. Do zwykłych myśli, które tworzyły jego świat spokojny i tylko zygzakami wybiegających w krainę fantazji przybył jakiś ból, coś, co go dławilo niepokojem.

Pójdę... gdzieś grają „Śmierć Azy” chcę to znów usłyszeć... Kocham, gdy mi tak łkają skrzypki i głos czepia się powietrza. Tak umierają suchotnicy w separatkach szpitalnych, podczas gdy zakonnica zapala światło na ołtarzyku, przybranym w przyniesione przez odwiedzających chryzantemy.

Tylko że Grieg słyszy coś więcej, niż my, w ich łkaniu i oto płaczą skrzypce śmiercią człowieka...

Pójdę, posłucham.

Do białej sali Filharmonii ma Adam wstęp wolny. Drugi sekretarz, młody, żywy chłopiec jest mu przyjazny. Uśmiechem wita go.

Dobrze, żeś przyszedł on gra bajecznie.

Adam nie wie, kto jest ten on, który właśnie wchodzi na estradę, witany salwą braw. Adam patrzy mu tylko na ręce, na te skrzypce, które

za chwilę płakać będą ludzkim głosem. Może tam gdzie w szpitalu właśnie w agonii leży jakaś kobieta. Duch jej nie zna już czasu, przestrzeni. Przywieje do tej lśniącej od świateł sali i nagi bezbarwny dyszeć będzie ciężko, łkać, jęczeć po strunach innych dusz drgać ostatnią skargą.

Dokoła wyprostowane siedzą postacie ludzkie sznurem jeszcze dążą inni do swych miejsc. Nad nimi wiszą grona złotych świateł i mieszają się ciemnozielone draperie. Jest to jakby grota lodowa, w której cudem rozkwitły złote jagody, okryte ciemnymi liśćmi winogrodu. Ruchoma fala ludzka zaległa jej dno. I szemrzą i kołyszają się z gracją istot, mających kulturę gestów i dźwięków głosu. Zwłaszcza kobiety w tym falowaniu niosą swą siłę wdzięku i piękna. Przeważa puch piór i futer. Z tych fal wynurzają się szyje, odkryte przez wysokie podniesienie włosów. Kaski ciemne, jasne falowane kryją czaszki. Płynie z nich woń, ta sama, co z tych boa, które tak pokornie szyje im pieczęcią delikatnym, ciepłym dotknięciem.

Adam patrzy, jak setki rąk, obciążonych białą skórą w bezmyślnym geście uderzają jedna o drugą. Nie jest to nawet ten wykwit ludzkiej dobroci, która każe uprzyjemnić jakiejś istocie choćby jedną chwilę nie jest to odruch szału krwi podnieconej, ani potrzeba okazania wdzięczności za doznane wrażenia jest to jakiś z góry umówiony ruch pędu tłumu, który mimowolnie zetraca swą

indywidualność i przybiera ogólną cechę najwygodniejszą i najłatwiejszą do wykonania.

Jak one wszystkie podobne do siebie... myśli Adam.

A jak niepodobne do moich dziewcząt Fra Filippa i do kasztelanki, idącej ku rzędowi dzid złotych, i do...

Trzy cienie przemknęły jakby po sali.

Były czarne wiotkie. Miały opuszczone ręce, dusze w nich jakby marły z wycieńczenia.

I do nich...

Tak dokończyły jego myśli.

Skrzypce już rozwiały się masą tonów jakiejś kunsztownej sonaty.

To nie dla mnie, nie moja muzyka... myśli Adam moja przyjdzie. Dusza, która za chwilę tu konać będzie, jeszcze trzyma się nici życiowych.

Kobiety zaczynają się już nudzić. Prędko ale tak bywa. Ten na estradzie nie jest zbyt piękny. Ma pozór parobka. Osądziły go prędko tym bardziej, że w tej chwili jest tylko wirtuozem. Popisuje się przed

nimi ilością przegranych w życiu ćwiczeń. Nic im nerwów ani duszy nie targa. Są to wrażenia czysto zewnętrzne. A więc się nudzą w swych futrach i piórach, które im tak delikatnie pieszczą szyje.

Adam, odziany nie wytwornie, ale wystarczająco, stoi na tle białego filaru i odcina się tak samotnie, wyróżniając się wśród tłumu. Nie jest na estradzie, nie popisuje się „sprawnością techniczną” ale jest młody, jest smukły ma śliczne drobne usta, proste rysy i duże, marzące oczy. To ma jeszcze ten czar romantyzmu, który zawsze będzie miał wdzięk niepokonany w otoczeniu dekadentkich, chorobliwych istot, kryjących w udaniu arystokracji duchowej bankructwo swe życiowe. I dlatego powoli w stronę Adama, w posyłki jak gołębie płynąć zaczynają wejrzenia kobiet, przyćmione rżęsami i udaną lub prawdziwą pruderią.

Jak łabędzie swe szyje w słoneczną smugę, tak i one wynurzają swe szyje z obramowania puchów, a twarze ich przygaszone pudrem zwracają się w stronę Adama.

On już na nie nie patrzy, ręce skrzyżował na piersi spokojny i nieruchomy. Wie i czuje siebie małym, drobnym, nic nie znaczącym zewnątrz, i stara się zabrać jak najmniej miejsca, aby w ten

sposób ocalić swój wewnętrzny świat od zniszczenia przez niebaczone jakieś, brutalne a niespodziewane fakty życiowe.

Nie mogę dać nic nikomu z siebie myśli nie chcę przyjmować nic od drugich. Kiedyś... gdy będę tak duchowo usposobiony i bogaty, że będę mógł czynić innych szczęśliwymi stanę się śmielszym, wiedząc, że nie pozostanę dłużnym. Dziś muszę pozostać na uboczu...

A przecież kobiety patrzą na Adama, i to z upodobaniem. Sonata ma się ku końcowi smyczek triumfalnie tony wyrzuca w powietrze. Za chwilę ucicha.

I znów setki rąk identycznym gestem szeleszczą brewami. Wirtuoz ze skrzypcami pod pachą kłania się. Na smyczku błyszczy przepyszny brylant, na piersiach dzwonią orderzy.

Dusza konająca... gdzie ta smutna dusza myśli Adam.

I oto jest... Przywiała.

Ach! pod lodową grocie, gdzie zwisają złote grona światła, okryte ciemną zielenią.

Ach! nad głowy tłumu, który nagle znieruchomiał, skarłał, zeszywniał w liniach rozmodlonych pielgrzymów.

Ach!... obok serc, które drżą trwogą śmierci swojej i tych, z którymi nici ich życia związane są każdym nerwem i każdym przejawem ich ducha.

Ach! i ponad ciałami ich, z których każde, choćby śniegiem i kaliną wdzięczyło się pięknu ma w sobie zaród śmierci.

Ach! i nad melancholią bezdenną ich czynów dobrych i złych, z których każdy nosi w sobie ukryte piętno bezsilności wobec mocy przeznaczenia.

Ponad tym wszystkim rozwiała się pieśń pożegnania pieśń rozplątnięcia się w nicości lub w początku rzeczywistego bytu, pieśń rozwichrzona rozpaczą za tym, co było, i trwogą przed tym, co będzie...

I ta pieśń nie była różną dla każdego zgonu. To była pieśń jedna dla wszystkich zgonów bo śmierć jest jedną... bo każdy z nas jednako umiera.

I w tej sali tak jasno oświetlonej, tak przepojonej zapachem kwiatów i kobiet, każdy z tych ludzi przeżywał śmierć swoją, i konał i lękał się i jeszcze słabym tchnieniem zdawał się mówić:

Jeszcze jestem!

Adam oczy w grającego wbił. Brylant na smyczku migotał gwiazdą w przestrzeni. Ten człowiek był w tej chwili piękny i oczy jego piły z powietrza agonię rozełkanej duszy.

W tej chwili kobiety konały z nim i kochały go. Ze strun ich siły życiowej zdały się być skręcone struny jego skrzypiec. Brylant miał odbłask ich łez, tych łez, które zastygać będą w kątach ich źrenic cudownych.

Powiało grozą, trumną konaniem. Rozełkała się rozpacz rozstań rodzinnych lub śmierci samotnych. W oddali zajęczał puszczyk, stróż opuszczonych katakumb, zaświeciła lampa podziemnej kaplicy...

Nagle Adam uczył, że ktoś na niego patrzy.

I musiała być ogromna siła tego wzroku, skoro zdołała wyrwać go z koła, które muzyka zataczała. A może i w tym wzroku tkwiła część tej śmiertelnej harmonii, bo Adam sam nie wiedział, czy było to kontrastowe wrażenie, czy właśnie dopełnienie poprzedniej sensacji.

Odwrócił się powoli i pozostał już tak nieruchomy, nagle pobladły z rysami twarzy jakby wyciągniętymi i zaostrzonymi nagłym przestraczem.

O kilka rzędów krzeseł tam, gdzie roztaczało się puste miejsce niezajętych foteli siedziała obecnie para ludzi.

Kobieta i mężczyzna.

Ona była rozwianiem gaz nieuchwytnego koloru, jakichś pastelów narzuconych siatką koronek. Cała była zresztą delikatna i blada w kolorze. Tylko włosy jej były czarne, tą prawie niezdrową czarnością, która aż boli tych, którzy się w nią wpatrują. Zdaje się bowiem, że te włosy wypłyły z

ciała wszystek cień i pozostawiły smutną, jednostajną, żółtawą biel pergaminu.

Kobieta była tak białą i tak czarną.

Rzec można było o niej, że jest to symfonia „en blanc et noir”. Oczy, ogromne duże plamy, czerniały także z daleka. Oczy te wbite w tej chwili w Adama zdawały się przenikać go do głębi...

Była to kobieta o dwóch cieniach. Adam poznał ją natychmiast. Nie twarz go uderzyła, lecz jej wyraz. I w tej chwili zdawało się, że kobieta owa chce coś mu powiedzieć, co uderza go tak silnie, iż znieść nie jest w stanie. Nie była to prośba, nie było to wytłumaczenie, to był jakiś rozkaz, który posyłką leciał...

Muzyka cichła, konała. Jeszcze się zrywał jeden jęk... jedno „jestem jeszcze!...”

I z czarnych oczu kobiety wypływało spojrzenie „jestem jeszcze...”

żyję”

Adam oddychał ciężko. Sala znikła mu przed oczu. Nie marzył o spotkaniu nieznanego, a już najmniej o spotkaniu jej w koncertowej sali. Łączył ją z wrażeniem tragicznej jakiejś grozy niedoszętego samobójstwa, rozwianych szat żałobnych, pomykających za nią cieni.

Ma ją przed sobą, patrzy na niego uparcie i w tych oczach, które widział przez soople łez migoce coś dziwnego... coś, jakby nienawiść, jakby jakieś zuchwałé wyzwanie.

Szykownie gazami i białą rękawiczkę ubrane ręce złożone ma na kolanach. Bawią się wiązką kwiatów różowych. Nie mają w sobie ani

śladu owego opuszczenia fatalnego, którym wczoraj znaczyły swe zgnębienie...

A przecież to... ona nikt inny, tylko ona!

Kobiety zabijają się lub usiłują się zabić... dlaczego myśli Adam dlaczego...

Teraz nie wie! nie wie już nic.

Tamta wlokąca się tuż obok linii szyn tramwajowych mogła chcieć umrzeć dla jakiejś wielkiej idei zniszczonej dla melancholii, wynikłej

z pastwiącego się nad nią losu z pogardy wreszcie dla czynów swoich lecz ta...

Ile w niej zuchwałej energii! Oto teraz oderwała od niego oczy i patrzy po całym zgromadzeniu. Kąciki jej ust opadły ku dołowi.

Jest śliczna, ale zarazem nieprzenikniona. Rzecz by można chwilami, iż walczy ze sobą, ażeby się nie dać opanować wzruszeniu, które wywołuje muzyka. Ma pozór istoty żywej, która nienawidzi śmierci, odpycha myśl o niej... Wreszcie jedno jeszcze westchnienie skrzypiec i następuje wielka cisza.

Była to próba konania. Dusza pasowała się z tą mocą przeogromną. Życie zwyciężyło. Lica kobiet rumienia się, usta oddychają z ulgą. Mężczyźni pochylają się ku nim. Jak dobrze jest żyć, gdy było się u skraju grobu.

Kobieta spowita w gazy jedną sekundę patrzy z pogardą po tych ludziach, którym tak spieszo powrócić znad brzegów grobu. Ona zdaje się już coś więcej wiedzieć. Ich zaprowadził duch pieśni ponad ich mogiły. Ona tam poszła dobrowolnie. Czarne jej oczy mają hart stali. Patrzy i kieruje ku

sobie spojrzenia. Adam widzi, że niemal wszyscy usiłują ją dojrzeć, że pokazują ją sobie. Z łatwością rozbawionych papug, już wracają do drobiazgów rzeczywistych.

Piękna kobieta, blada w swych gazach zajmuje ich obecnie. Nie czują nawet, jak są wobec niej brzydki i śmieszni myśli Adam ona jest jeszcze dalszym ciągiem tej śmiertelnej pieśni...

Jest jakby śmiercią samą.

I tym mu jest dziwną, i tym mu jest niepojętą. A przecież zaczyna w niej powoli odnajdywać tę samą, która wczoraj odepchnęła go rozpaczliwym gestem, uciekając w ciemnicę. Przed chwilą, gdy patrzył na nią, jak ten, który ją poznał, który posiadał jej wielką, straszną tajemnicę odepchnęła go wzrokiem prawie nienawistnym.

Tym samym wzrokiem odpycha od siebie spojrzenia tłumu. Co więcej, prostuje się, podnosi głowę zagryza usta. Nieopisana ironia wykwita jej na wargi.

I pochyla się do swego towarzysza...

Zaczyna z nim mówić.

Białe perły zębów błyskają spomiędzy bladych ust.

Śmieje się śmieje się jakoś przykro, nieszczerze, wyzywająco...

Adam, który jeden może wie, jak ta kobieta płacze, doznaje jakiejś dumy.

Patrzcie na nią... podziwiajcie, jak ona się śmieje. Ja bladłem pod wrażeniem jej łez...

Towarzyszący jej mężczyzna rosły rasowy trochę łysy odziany w najnowszy kroju suknie, pochylił głowę...

Słucha, co ona mówi, patrzy na gazy, osłaniające jej ciało, patrzy na różowe goździki, pokrywające jej kolana. Ma niedużą brodę trochę siwiejącą i oczy o białkach krwią nabiegłych.

Z estrady w szalonym tempie biegnie hiszpański walc. Karkołomne igrzysko kłownowskie.

Rozplakane struny zgrzytają śmiechem roznamiętnionych Hiszpanek, potrząsających pomarańczową draperią szali i bijących o ziemię obcasami pantofli.

Oczy kobiety o dwóch cieniach przysłania coś na kształt namiętności.

Patrzy na swego towarzysza. Jest blada jak poprzednio, a przecież coś w niej płonie.

Może udaje...

Może ona jak te skrzypce. Wczoraj łkała rozpaczliwie w obliczu śmierci, w tej chwili błyska perłami zębów ludzkiej głupocie i oczom w nią wpatrzonym.

Kto wie może jak te skrzypce.

Gra na nich ich władca. Biedne skrzypce muszą...

A kobieta?

Tak myśli Adam. Sam nie wie, dlaczego chce znaleźć jakieś wytłumaczenie dla jej śmiechu.

To głupie... bo w gruncie rzeczy...

Stanął przed nim młody sekretarz. Jest zadowolony z siebie, ze swych wąsów, ze swego fraka i z tego, że inni są zadowoleni. Ma nadzwyczaj gładkie obojętne i dużo miejsca pustego w głowie. Ale on znajduje, że to „przewiewnie”... I bardzo mu z tym dobrze.

Stanął, słucha walca, oczy mu się śmieją spotkał nimi postać Nieznajomej.

Tiens!... zdarzenie dnia... przyszła. Dostrzega, iż Adam patrzy także w tym kierunku.

Wcale niczego tylko błada.

Adam chce go spytać znasz ją? Kto to? Ale mu słowa więzną w gardle. Żał mu stracić urok tajemniczy. Dowie się, że to jest pani lub panna X pozna jej stan cywilny posłyszysz jedną, drugą plotkę.

I to o kobiecie, za którą szły dwa czarne cienie jeden jej siostra bliźnia,
drugi, jak anioł wielki, rozwiewny, przejrzysty...

Lecz sekretarzyk już gdzie indziej błądzi oczyma. Radby wybijał takt
walca obcasami tak coś z hiszpańska.

Muszę kiedyś pojechać do Hiszpanii oznajmia, śmiejąc się już do tego
projektu.

Walc się kończy, oklaski krzyki...

Kobieta w gazach powstaje, jakby pociągając za sobą towarzysza. Inni
jeszcze siedzą. Czekają od artysty jałmużny naddatków. Ona kieruje się ku
wyjściu. Idąc śmieje się ciągle, szepcząc coś do mężczyzny i rzucając mu
słowa przez ramię. Profil jej wtedy rysuje się czarująco. Czyste linie nosa i
czoła mogą wprawić w zdumienie klasyka. Tylko usta, rozwarte jakimś
niedobrym, zmysłowym uśmiechem, brutalnie niszczą złudzenie
świętości. Adam aż oczy przymyka, aby tych ust nie widzieć.

„Kobiety zabijają się jedynie z miłości...”.

Tak, tak takie usta mogą zapragnąć miłości i śmierci. Dyszą nimi,
przepojone, jak owoc spragniony wieczornego chłodu.

Takie właśnie usta!... Jedynie miłość, która do szału i śmierci prowadzi.
Adamowi robi się bardzo smutno.

Dlaczego widział tę kobietę śmiejącą się, i to tak właśnie!

Była różnica pomiędzy jej śmiechem a śmiechem przeciętnej kobiety, ale
raczej na jej, według niego, niekorzyść.

Bo te kąciki ust, które opadały w uśmiechu, miały coś drapieżnego,
odślaniały kły...

Tamte śmiały się szczerzej, jakby pod drzewami rozpasał się nagle korowód spragnionych nimf tańczących płąsy miłosne.

Ona śmiała się... nie śmiejąc.

Coś było gorszego, bardziej strasznego...

Gdy Adam odsłonił powieki już jej w sali nie było.

Wiele jednak osób patrzyło za nią. Szeptano, mężczyźni się uśmiechali po swojemu.

Afiszuje się... choć...

To był szept małego sekretarzyka. I znów urwał, za co mu Adam był serdecznie wdzięczny. Rozległ się jeszcze jeden „taniec hiszpański” w podzięce za oklaski. Załopotwały kastaniety rozgorzało południowe słońce. Ole! Ole!

Muszę jechać do Hiszpanii postanowił ładny sekretarz.

Adam stał wciąż, jak przykuty, pomimo, że chciał uciec z tej sali która miała pozory lodowej groty, a gorzała w tej chwili namiętnością Południa.

Lecz lękał się spotkać jeszcze z Nieznajomą i widzieć jej śmiech, który odsłaniał drobne, białe kły.

Bo kobiety zabijają się jedynie z miłości...

Kobiety, które się tak śmieją...

„A ja ci mówię, mój kochany siostrzeńcze, że ten rok Pański będzie wyjątkowo fatalny. Susza pozbawiła nas paszy i oto będę zmuszony

wyzbyć się dwóch krów, a kto wie, może i pary moich biednych, starych koni. Dopust to Boży, należy go przyjąć bez szemrania, tym bardziej, że..."

Adam list złożył. Rozpachła się przed nim cała letnia krasa małej plebanii w nowosądeckiej ziemi. Tak niedawno wchłaniał w siebie ten żar złoty, pełen pyłów kwiatowych i brzęku pracujących pszczół.

Dopust to Boży... należy go przyjąć bez szemrania...

Ten żar ciszą przepojony świetlany, w którym kąpał swą żalobę z taką rozkoszą, był raczej plagą, za którą pokutować miały inne istoty.

To ostatnie rygorozum miało jakieś fatum ciężące nad sobą. Jakże wobec takiego listu przyjmować dalej te „spod serca” przysyłane pieniądze.

Ojciec mój był lekkomyślny przesuwając mu się przez umysł.

I on coś ma z natury ojca. Nie traci dobrowolnie tych drobiazgów, tej nędznej okruszyny, jaką mu los wydziela ale rozplywa mu się to w rękach. Nie potrafi liczyć. Czasem zarobi lekcjami, czasem jakimś

przekładem i to natychmiast gdzieś zniknie. Dziecięcą ma naturę nie może się wżyć w to, iż istnieje jutro głodne i zimne. Ogarnęła go ogromna

melancholia. Życie przewalało się potężnymi falami dokoła niego. Czuł to, choć zdawało mu się, iż nie brał w tym udziału. Utykał na

drobnostkach i zacieśniał się w nich. Wyrzucał sobie jakby popełnienie grzechu, iż nie biegnie z szarpiącą się gwałtownie masą naprzód i w tym nie ginie, tylko powoli dąży zamknięty w swych złudzeniach.

Nic nie wiem; niczym nie jestem... Dzisiejszego ranka list wuja spadł nań i zasepił go.

Jakże przyjmować dalej? myślał należy odłożyć rygorozum zarobić gdzieś... ale jak? Może prywatne sanatorium... może jaka tymczasowa posada...

Nie chciał zwracać się do profesorów. Razili jego naturę cichą i melancholijną. Mówili zbyt głośno, chodzili zbyt pewnie, mieli sposób chwytania narzędzi i zabierania się do operacji, który bolał go po prostu. Nigdy nie mógł pogodzić się ze sposobem klinicznym traktowania chorych. Ten wzrok profesorski, rzucony ostro z góry na rozciągniętego na stole pacjenta, przebijał jego ludzkie uczucia fatalnym wrażeniem. Połyskiwał zimno, jak wybornie wygotowane narzędzia, rozłożone za szkłem biało lakierowanych szafek.

W strwożonych oczach chorego błysk ten nabierał wrogiego odczucia. I płynął prąd nienawiści chwilowej strasznej, bo w obliczu śmierci. Adam te spojrzenia zbierał i odczuwał. Przez to nie mógł iść z chorą swą duszą do ludzi, którzy ból fizyczny drugich kopali chłodem i obojętnością. Lękał się, iż spotka się ze wzrokiem wyniosłym, „z góry”, podczas gdy on rozciągnięty będzie na szafocie szczerości. I lękał się jeszcze więcej tych bezwiednych prądów nienawiści, które wtedy ich oczy ze sobą zamienia.

Ktoś zastukał do drzwi.

Proszę!

U progu stanęła Minzowa. Odziana była w jakiś spłowiały szlafrok.

Trzymała w ręku tackę z herbatą.

Przynoszę śniadanie.

Dziękuję.

Wziął od niej tackę ona wszakże nie odchodziła. Bładymi oczami wodziła po nagich ścianach pokoiku.

Muszę panu dać do okna firanki... wyrzekła wreszcie, stojąc ciągle we drzwiach otwartych.

To niepotrzebne.

Zawsze będzie ładniej.

Czekał, aby odeszła. Chciał pozostać sam. Wspomnienie Nieznajomej zdawało się razem z tą kobietą narzucać jego mózgowi. Odpychał je.

Kobiety zabijają się jedynie...

Minzowa mętными źrenicami wciąż błędziła po ścianach.

Wie pan... zaczęła ja dziś znów nie spałam.
Tak, słyszałem. Czy chce pani jakieś proszki usypiające? Wzruszyła ramionami.
To się na nic nie zda... wyrzekła posepnie.
Dlaczego?... czy pani próbowała?..
Nie nie. Zawahała się.
Ale... widzi pan, są czasem takie myśli, które są silniejsze, niż wszystkie proszki... Takie myśli...
Zbliżył się ku niej, jakby pociągnięty tą głębią, która zaczynała mu się odkrywać.
A czy one dręczą panią, te myśli?... zapytał. Zakryła oczy ręką.
Tak... bardzo.
Adam przypomniał sobie to, co o Minzach mówiono.
Czy niepodobna naprawić? zapytał z cicha. Milczenie.
Pani mnie rozumie?..
Minzowa oderwała rękę od twarzy. Widoczne było, iż walczyła z sobą.
Wreszcie rzuciła.
Pan mnie się pytał... dlaczego kobiety odbierają sobie życie ja powiedziałam z miłości... ale cha!

cha!...
Zaczęła się śmiać.
Łkanie było w tym śmiechu.
Ale?..
Nic, nic. Ja już pójdę... Otarła oczy, twarz.
Nic panu nie trzeba?

Nic. Ale niech pani zostanie pomówi chwilę.
Nic, nic... mąż się obudzi! Odeszła, zamykając drzwi cicho.
Adam poczuł, jakby chłód powiał po pokoju, pomimo że z białego,
jesiennego nieba płynął do pokoju prześliczny blask.
Mówią, że ich pieniądze są skradzione myślał tak mówią on wszakże
jest spokojny, dlaczego ona cierpi? Czy kobiety bardziej i silniej czują
duchowe rozterki, jak mężczyźni?
Jednocześnie jednak zrodziła się w nim myśl inna.

Dowodzić to tylko może iż tradycje własnościowe silniej owładnęły
kobietą, jako istotą słabszą i bardziej impulsywną... Minz już poszedł krok
naprzód uważa się za właściciela tego, co posiadał, nie zważając, w jaki
sposób.

Rozumował tak, jakby chciał się zagłuszyć i myśli inne z siebie wyplenić.
Błada twarz, okolona czarnymi włosami, uśmiech niemal zwierzęcy i
anielski zakrój górnej części twarzy wypełniły jego wspomnienia.

Kto ona? już zaczął myśleć w jakim obraca się świecie? Ubrana
dostatnio, ruchy inteligentne, kulturalne. Kto był ten mężczyzna miał
wygląd człowieka, który przechodzi obok troski życia...

Zasmucił się.

Ten nie cierpi z pewnością nad tym, że musi przyjmować zasiłek
trzydziestu guldenów, oszczędzonych w plebanii, z której dachu cieknie, a
ganek łąta się z roku na rok...

Ten wzrok stalowy kobiety odczuwać zaczął tak jak wczoraj w sali
koncertowej.

Ona inaczej patrzyła na mnie, inaczej na niego.

Tak patrzą na chorego profesorowie, gdy leży zdany na ich łaskę i niełaskę. Myją ręce, i patrzą... patrzą... oglądają narzędzia i patrzą podwójnym wzrokiem... Stał, chłód nienawiści...

Odział się i wyrzekł:

Muszę poszukać możliwości życia paszy... skoro nas słońce jej pozbawiło... Mnie, bydło wuja... może poczciwe stare konie... Nie znał nigdy goryczy takiego usposobienia. Bolało go, a przecież podniecał się coraz więcej.

Ilu tu jeszcze dziś biegnie szukać tak paszy, jak ja w tej chwili! Każdy z nas ma jakąś tragedię ukrytą... i niesie się z taką troską, aby jej kto nie potrafił, nie zniszczył...

Zastanowił się.

Jaką ona miała tragedię? nie dowiem się nigdy! Doszedł do szpitala. Dźwigało się to wielkie, zimne, nieprzytulne. Przez oddział oftalmiczny szedł właśnie jeden z tych, którzy mieli za co przygotować się do rygorozów i dla których susza była obojętną.

Jak się macie?

Dobrze!

Adam patrzył na jego twarz rozjaśnioną, zdrową na małe wąsy zakręcone do góry. Modlicki był dobrym kolegą. Lubiano go. Ojca miał

bogatego. Kołtun był koronny, ale serdecznością rozbijał. Gotował się na lekarza specjalnego bogatych kołtunów. Karlsbad, Vichy dla ustępstwa Truskawiec...

Kopnął jakieś nosze o zardzewiałych kółkach, które sterczały w kącie.

Po co to na korytarzu?...

Jakiś posługacz, zmieniający spluwaczkę, spojrział na niego spode łba.

Modlicki był gościem, nie miał prawa wydawać rozkazów.

Może byście przejechali się na wieś? zapytał nagle Adama.

Jak to rozumiecie?

Ano, na jakie dwa, trzy miesiące... Jest coś do objęcia... mnie się nie chce.

Wesling potrzebuje asystenta, a potem trzeba tam zostać. Zapłacą... no?

Jakże?...

Adam zmieszał się, tak go ten zbieg faktów przejął do głębi. Zdawało mu się, iż los go zaprowadził za rękę, jakby małe dziecko, i postawił przy stole nakrytym jadłem. Nigdy jeszcze nie złożyło się coś tak po jego myśli, jak w tej chwili.

Musiałem pragnąć bardzo gorąco... pomyślał.

No i cóż postanowicie? Wesling nie jest miły, ale mieć go będziecie na karku dwa dni najwyżej. Potem zostanieie sami.

Chętnie. Tylko...

Co? Co? macie skrupuły? Jeżeli Wesling was bierze, to już bądźcie spokojni. Ja przecież byłem w sanatorium u Drzewińskiego rok cały, mając dwa rygoroza... Plujcie na resztę. Pięćdziesiąt fajgli i utrzymanie. Możecie uciąć romansik... To u Renierowej. Wiecie w Góranówce. Nie znacie? No no. Zresztą mniejsza. Chodźcie. Wesling jest gdzieś na górze. Stosuje sztuczne oddychanie... ktoś tam otruty fosforem. Jakaś służa. Zaraz pomówimy!

Przechodząc kopnął znów nosze.

Po diabła to na korytarzu!...

Szli po schodach kamiennych, startych tak, że z trudnością stopy się na nich trzymały. Cisza była zupełna. Cisza i osamotnienie. Raz tylko przemknęła się Siostra Miłosierdzia, ukryta w skrzydłach swego stroju. Otworzyła jakąś szafę i zginęła za jej drzwiami.

Na drugim piętrze dwie kobiety, odziane w strój szpitalny, siedziały na oknie rozmawiając. Postacie ich opromienione były blaskiem jesiennym. Jedna z nich miała śliczne rude, rozwichrzone włosy.

Napadła na mnie za to, że na noc zawinęłam sobie papiloty... no, moja pani! słyszane to rzeczy... mówiła ruda.

Właśnie co jej do tego...

Przecież pacierz zmówiłam, a że o te papiloty...

Umilkły, widząc nadchodzących mężczyzn. Odwróciły się od okna i zaczęły patrzeć na dziedziniec, na którym złościły się ogromne drzewa.

Gdzie profesor Wesling? zapytał Modlicki nie mogą mi panie powiedzieć?

Ruda odwróciła głowę i spojrzała przez ramię.

Dmucha powietrze w tę, co się struła odparła i równocześnie uśmiech rozjaśnił jej usta.

Adam aż drgnął.

Był to ten sam uśmiech, jaki miała na twarzy jego Nieznajoma pod takt hiszpańskiego walca. Małe białe kły zabłysły. Modlicki uśmiech ten obojętnie przyjął.

Zaczekajcie tu na mnie! wyrzekł do Adama schwyć go w przelocie i objaśnię, przyjdziecie na gotowe...

Wyszedł szybko, rozwiewając poły palta. Ten bił nogami flizy korytarza z impetem i siłą. Czuć było, iż się nie skrada, ale idzie przez życie.

Adam pozostał obok siedzących na oknie kobiet. Oddalił się od nich natychmiast. Lękał się dojrzeć

po raz drugi owe białe kły w ustach rudej dziewczyny.

Czekał niedługo. Zaszemrało przy drzwiach, prowadzących do sali chorób wewnętrznych, i wyszedł z nich profesor w asystencji dwóch młodych ludzi i Modlickiego. Był to słuszny, przystojny mężczyzna. Trzymał się prosto, zadzierał głowę do góry i patrzył ciągle przed siebie. Zdawało się, iż po bokach świat dla niego nie istnieje, tylko to, co przed nim i

naturalnie on sam. Włosy mu już siwiały. Był to człowiek bez uśmiechu. Usta miał wykrojone na powagę. Odzienie miał dostatnie i dorobek życiowy również. To było widoczne, bo niósł go z pompą, jak monstrancję przed sobą.

Gdy wszedł na korytarz, wypełnił go sobą i swoim blaskiem. Adam widział tylko jego wzrok, ten z góry na dół, który znał dobrze wzrok spod przysłoniętych rzęs.

Oczy profesora spotkały w ten sposób wejrzenie Adama. I zdawało mu się, że leży na stole w sali operacyjnej, w sali białej o podłodze gumowej, zlanej świeżo roztworem sublimatu.

Poza profesorem szedł Modlicki. Miał minę drwiącą, lecz zdawał się być cieniem Weslinga. Już niósł przed sobą swój dorobek i siebie po

równie wytyczonej ścieżce, która nawet dla niego była Prawdą. Szli obaj, jak kłownowie po linie. Drżało to pod nimi, lecz obaj usiłowali przybrać gesta i miny ludzi, którzy idą po pewnej i odpowiedniej podstawie. Lina była wzniesiona wyżej nad przeciętny teren i niosła korzyści.

Wesling na końcu korytarza dostrzegł sylwetki siedzących na oknie kobiet. One powstały i teraz stały pod ścianą wyprostowane, jakby złowione na gorącym uczynku.

Przeszedł mimo nich nieprzyjaźnie.

Ruda dziewczyna zemściła się natychmiast, pokazując na całą grupę język. Druga aż wpackowała kula w usta, aby nie wybuchnąć śmiechem. Lecz spoważniały nagle i znów uczepliły się okna ruchem uwieczonych małych.

Więc to pan? zapytał nagle Adama, stając na chwilę tuż przy nim dobrze, dobrze nie mam nic przeciw temu... operacji, zdaje się, nie będzie... Proszę być o czwartej na dworcu służący mój powiezie narzędzia nie trzeba się o nic troszczyć. Może trochę dermatolu, nic więcej.

Poszedł dalej. Już jeden z asystentów otwierał drzwi następnej sali. Spoza szafy wyrzała zakonnica jakby strwożona i nagle pobiegła za znikającą we drzwiach grupą. Rozwianie się jej kornetu wypełniło korytarz, jakby lotem gołębic skrzydeł i chłodną dobrocią.

Modlicki ujął Adama pod rękę.

Chodź! sprawa załatwiona. Masz bieliznę? kuferek podróżny? Jeśli nie, to ci pożyczę.

Mam!

Zeszli po schodach. Natknęli się na jakiegoś chłopca, który niósł na rękach dużą dziewczynę. Za nim szli posługacze. Nie pozwolił położyć córki na nosze. Woskowa twarz chorej zwieszała się na piersiach, okrytych kożuchem. Ponad nią stroskana, poczerniała bruzdami twarz chłopca. Minęli grupę smutną, złączoną bogactwem uczucia i nędzą życiową. Gdy wyszli na ulicę, Modlicki śmiać się zaczął.

No... jednego ci nie zazdroszczę to przebywanie ciągle z Weslingiem. Wykrochmalona bestia...

I przez zęby:

Stary piernik!

Adam wzruszył ramionami.

Ach! on sobie, ja sobie.

Tak ale zawsze, trzeba mu basować, a to diabli wziąć mogą tak znudzi. Wyjął z kieszeni fotografię w formacie wizytowym i zaczął się jej przyglądać.

Patrz, jaką ma tu inteligentną mordę! Adam dostrzegł na fotografii twarz Weslinga.

Po co ci to?

Każę powiększyć.

?...

Ano instaluję się przecież. Zawieszę w gabinecie jego portret niby, uważasz, jako ulubiony uczeń... Co?... dobrze obmyślane. Hi! Hi!... A to nadęty pęcherz...

Patrzył chwilę na fotografię, śmiejąc się prawdziwie i szczerze. Adama porwał także śmiech nerwowy

Dobry jesteś...

Pewnie.

Szli dalej rozweseleni. Szpital dwoma skrzydłami ich zagarniał ku sobie. Chwilę zdawało się, że są zamknięci w jakimś kole.

Na lewo pod zakratowanym, otwartym oknem stały dwie kobiety.

Rozmawiały z jakąś chorą, przylepioną do krat.

Jedna ze stojących na ulicy biadała.

Ona chce już wyjść... nie chcą jej puścić!... A ta zza krat podszłochiwała.

Ano... ano.

Modlicki natychmiast na nie napadł.

Co to za rozmowa na ulicy? Precz!...

Kobiety rozbiegły się, jak stado kur. Okno zamknęło się z trzaskiem.

Tylko kraty bieleły. Kobiety stanęły nieruchomo na tle krzaków skweru i z nienawiścią patrzyły na idących studentów. Były nędzne i ledwo odziane.

Jesienne liście leciały na nie, jak złote ptaki, a słońce olśniewające blaskiem wydobywało na jaw zmęczone ich rysy.

Poza kratami migała płamą blada twarz chorej i jej oczy wpadnięte, straszne, pełne tragicznej chęci swobody oczy pantery, zamkniętej w klatce menażerii. Oczy te śledziły złoto liści, blask słońca, przestrzeń nieokratowaną i buntem miłości do życia rwały się w świat po nowe nędze i cierpienia.

Z ust Adama spłoszył się uśmiech.

Pomyślał iż człowiek jest dziwną istotą, a zwłaszcza kobieta. Nigdy jej cierpień za mało. Nawet za szczęściem tak nie goni, jak za tym, co przynosi jej tragiczną kolizję życiową.

Łzy oschły...

Gdzie źródło nowych łez?

Przez pustynne, samotne, wycieńczające obszary, przez ścieżki pełne cierni, przez kłęby drzemiących, jadowitych gadzin, przez chmury, orane wstęgami błyskawic... do źródła nowych łez!...

Biegnie, gna, spieszy się pada i znów się dźwiga. Błada twarz spoza krat błyska, oczy pożądliwie szukają czegoś w przestrzeni.

Czego?...

Tragedii swego życia!...

I oto cała kobieta.

Kłęby kurzu... kurzu... kurzu... Spod kopyt czwórki zaprzężonej w lejce, spod kół powozu, jakby morze spienione, tak wali się ów kurz, piasek delikatny i sypki. Wszystko przybiera jego barwę. I płaszcz Weslinga, i palto Adama, i plecy siedzącego na koźle starego stangreta. Zady końskie szare, ich ogony za każdym poruszeniem wzbijają słupy kurzu.

Coś skandalicznego!... mówi Wesling.

Jego dobry humor i łaskawość, którymi obdarzał przez drogę Adama nikną. Siedzi zły i napuszony. Ten kurz wywołuje w nim uczucie, jak gdyby ktoś mu uchybiał.

Coś skandalicznego!...

Ruchem ręki dotyka łaską pleców stangreta.

A stańże, kochanie!... człowiek oślepl odetchnąć musi. Stary, odziany w jakiś zniszczony chałat z galonem, zatrzymuje czwórkę. Stanęli na polu. Na prawo i lewo przerażająca płaszczyzna. I nic, tylko zżęte ścierniska, po których skaczą wrony. Wesling ociera oczy.

Nie... coś podobnego!...

Adam patrzy na te równie i ogarnia go jakiś lęk. To południe senne jakby mdlało wszystko w naturze zwiesza się nieokreśloną melancholią nad bezkresem ziemi. Szare, dalsze plany zlewają się z bielą horyzontu. I tylko w oddali widać szereg czarnych sylwetek topól jakby rząd zapomnianych żołnierzy skamieniał w oczekiwaniu zaginionego bez śladu dowódcy...

Adamowi zdaje się, że cała ta ziemia nie należy do nikogo, że jest ona bez pana, bez tych, którzy ssać z niej soki mają prawo że rozpostarła się, jak ptak, znużony ogromem szarych skrzydeł. Pióra opadły i sterczy teraz trochę resztek jakiegoś dawnego pokrycia, które barwą ciepłą i żywą niebu się kiedyś śmiało.

Kochanie... mówi profesor, powstając w powozie i strzepując z płaszcza tumany kurzu kochanie, czy my jeszcze daleko tak jechać będziemy?

„Kochanie” odwraca twarz również szarą i niewyraźną, jak okrycie, które jego grzbiet zgarbiony pokrywa. Jest to stary schorowany człowiek, o wyschłej twarzy mumii, zakonserwowanej w piaszczystym gruncie.

A proszę jaśnie pana... to tam! Biczem pokazuje rzędy topól.
Wesling wydobywa nagle z siebie zapas rezygnacji.

Ha... to jedźmy.

Jadą znów jakiś czas w milczeniu. Adama coraz więcej przygniata ta olbrzymia kopuła jakby ze szkła mlecznego, poza którą wyczuwa się dopiero jakieś wolne, czarowne przestrzenie. Z górzystej okolicy rodzinnej rzucony nagle w rozręsknienie równin, na których sterczą tylko samotne krzyże z rozwianą płachtą ufnych wotów niespokojnych matek czuje jakąś straszną tęsknicę, grozę i poczucie nieubłaganego osamotnienia.

Kochanie... zaczyna profesor a czyje to pole?

Pani baronowej!...

To na lewo?

Także pani baronowej!

Jadą chwilę w milczeniu. Na horyzoncie nagle jakby zaczarowany wyrasta czarny las sosen. Niektóre wysunęły się wygięte rozpaczliwie w lirę, dwuramiennie swe cielska w górę rzucają ku mlecznemu niebu, stopą tonąc w piasku.

A czyj to las? pyta profesor.

Pani baronowej!

Za lasem nagle rozsłaniają się pola, na których rzędem stoją złote sterty, olbrzymie katafalki, jakby narzucone kapą ze złocistej lampy. Słońce w nich zapala migocące iskierki. Im dalszy rząd, tym są bledsze, aż wreszcie stają się srebrną zjawą, mającą dokoła siebie rozpyloną jakby poświatę, w której drgają niepewne białe światełka.

A to czyje?

Pani baronowej!

Dźwiga się to bogactwo, zebrane z ziemi, jakby ulgę jej nieść chciano, pozwalając promieniom słońca dotrzeć do niej samej. I znów bezkresna równina, tylko wszędzie złoto stogów, jakby stół bogacza zastawiono nagle setkami pucharów złotych, pełnych i oczekujących na spragnionych gości.

Więc to wszystko pani baronowej?

Głos Weslinga nabiera szacunku. Cóż znaczy jego kamienica w mieście, obciążona długiem, wzniesiona z mozołem i targiem z przedsiębiorcą a z której jest tak dumny.

Cóż to jest wszystko wobec tych pól, lasów, łąk, tych stert złotych tego bezkresu, zrównanego z linią nieba?

Jacenty z kozła biczem koło zakreśla.

To wszystko naszej pani!

I nastąpiło milczenie ciężkie rozmyślań i zawiści pełne.

Prawo posiadania prawo tak stare, jak dawną jest stopa ludzka, zajmująca szmat ziemi rozsunęło się dokoła w wielkim majestacie nie zwalczonej nigdy potęgi.

Trup człowieka kęs ziemi mieć musi. Nie zawiśnie nigdzie do ziemi dąży topielec ku brzegom ciągnie wisielec obsuwa się z przegniłego sznura, spopielali trup jeszcze się z ziemią pomieszać żąda. Zmarłemu starczy niewiele tej ziemi, żywy mieć jej chce więcej, nasycić się nią nie może. I teraz ponad płaszczyzną ugorów ponad ciemnym cielskim lasu, ponad zielenią delikatną łąk, z wrzosów szarych i szarych ściernisk powstawała postać tej, która to wszystko posiadała i była tu niewywłaszczoną panią dostatków prawdziwych.

Adama przejął lęk.

Jakieś ręce delikatne, przejrzyste ręce kobiece z kopuły niebios opuszczały się z wolna i zagarniały ku sobie szmatami całymi równie

nieprzejrzane, poznaczone krzyżami i złotem stert. Ręce te rozgarniały czarne kohorty ptactwa, które spadają z bieli podniebnej.

A kysz!... a kysz!... jakby słychać głos.

Ptactwo złąknione sznurkiem wznosi się w górę i tam zawisa, wając się na skrzydłach.

Czarne oczy utkwilo w glebę, w ścierniska, po których gdzieś może się coś ostało, w złote katafalki stert, które w oddali nabierają srebrnych tonów...

A kysz!... a kysz!...

W oddali spod lasu, spod sosen w lirę wygiętych wysuwają się szare postacie o pomarżniętych nogach. W fartuchach na plecach gałęzie... Taszczą do legowisk.

A kysz!... a kysz!...

Białe, delikatne, przejrzyste ręce odpędzają szare postacie. One odbiegają daleko i stają rzędem. Patrzą na las, na potężne konary sosen. Nad nimi waży się ptactwo...

To wszystko naszej pani! mówi Jacenty zakreślając koło biczem. Dojeżdżają do dworu.

Profesor pali cygaro milczy, coś sumuje. Żałuje może, iż umówił się o cenę honorarium.

Spod boków powozu wyrywa się nagle mały wózek, zaprzęgnięty w dwie kucki. Jedna siwa o drżących nogach, druga młodziuchna, czupurna, ciągnie ją z temperamentem. Na koźle wózczyka chłop w brązowej świtce, o twarzy ascety, o profilu wychudłym i cerze oliwkowej macha biczem.

Nu... babcia! nu!...

Sadzą polem. Na siedzeniu z trudem trzyma się poręczы lokaj Weslinga. Uważajcie... narzędzia... woła profesor. Ale asceta wali siwą kuckę biczem.

Nu... babcia! Pomknęli.

Z kozła odzywa się głos woźnicy:

To kucki panny baronówny.

Skrecają koło stajen. I już zaraz za nimi rozkłada się olbrzymi bukiet drzew jeszcze zielonych, lekko tylko podżółconych jakby jakaś oaza, wyrosła wśród piasku.

Powalone słupy, sztachety obłamane furtka ledwo trzymająca się, związana powróstem migają w oczach Adama. Zbłocona droga prowadzi do pałacu, pomimo, że deszcz, zda się, dawno nie padał.

Od kieratu, który olbrzymim placem poza stajniami się ściele, biegnie jakiś chudy mężczyzna w szarym surducie. Sadzi przez płoty i dopada ganku w chwili, gdy powóz zajeżdża przed front pałacu.

Jestem Tarajewicz, rządca... do usług pana profesora mówi zadyszany pan profesor pozwoli.

Podaje rękę Weslingowi, wysadza go z powozu. Profesor zaczyna nieść siebie, jak monstrancję, jakkolwiek „galerię” stanowi tylko pan Tarajewicz.

Pani baronowa poleciła mi, ażebym spełniał wszystkie rozkazy pana profesora...

Tak! tak!...

Wesling otrzepuje się z kurzu. Tarajewicz z powozu wyjmuję miotłkę. Ależ to skandal ten wasz kurz!...

Pan profesor nam darujeto już taki dopust Boży... taka ziemia... Adam stoi na ganku i okiem obejmuje gąszcz drzew, który wznosi się dokoła domu. Najpiękniejsza kępa białych, olbrzymich brzoź odcina się na tle rozrosłych lip. Jakaś

spróchniała ławeczka wali się u śnieżnych pni. Purpura zachodzącego słońca prześwieca przez nieruchome liście. Ten park z dala ma w sobie urok zaczarowanych, opuszczonych miejsc.

Pani baronowa kiedy powraca? słyszy pytanie. Tarajewicz rozkłada kościste ręce.

Nie wiadomo... daleko jest... Ale wróci z pewnością leczy się. W oddali zgarbiona do ziemi przypadła oficynka. Małe to i nawet do parku nie dotyka. Jedna część oficynki zaparta okna zamknięte okiennicami, zbitymi z nierównych desek. Coś dyszy pokorą i zapomnieniem z tej rudery. Naprzeciw, po drugiej stronie dziedzińca, kuchnia w formie greckiej świątyni z kolumnadą odartą z tynku. Widocznie przerobiona z altany. Jakaś dziewczka w czerwonej spódnicy stoi z wiadrem na tle białych słupów nieruchoma, znacząc się szerniałymi plamami nóg.

Ani się doczyścić... mówi Wesling.

Pan profesor raczy pozwolić do pokoju tam już się to zrobi... klekoce Tarajewicz.

Zgiął się i pod cienką tkaniną surduta odznaczyła mu się kolumna pacierzowa z przerażającą dokładnością. I on ma twarz jakby wysuszoną w piasku i cały jego szkielet obciaga ciemna skóra, podobna do skór trupów zeschniętych pod działaniem piaszczystych gruntów pustynnych.

Ot... i pański pacjent!...

Ręką wskazuje nową, szkieletową postać, która ukazała się na mgnienie oka we drzwiach kuchennych i zaraz znikła. Panie Rydzik!...

Lecz drzwi kuchenne zawarły się jakby same. Nikt się w nich nie pokazywał.

Rządca machnął ręką.

Boi się. Żartowali z niego w kuchni, że mu pan profesor, z przeproszeniem, żołądek wypruje...

No... no...

Weszli do wnętrza domu. Adam ociągał się jeszcze. Niespieszno mu było. Ten dom przedstawiał się nieprzytulnie. Oleandry ustawione na ganku skarżyły się szarością i nędzą liści na opuszczenie. Kilka bladych, chorowitych kwiatów zwisło ku ziemi.

Mimowolnie Adam we drzwi kuchni patrzył. Ta chuda postać, dla której obaj z profesorem pędzili w głąb Rusi, miała się poddać ich pomocy. W ruchu trwożnym, z jakim zniknął, było coś z drobnego

zwierzęcia, które czuje, że lada chwila będzie musiało oddać swe ciało pod nóż dobrze wyostrzony.

I żal go jakiś ogarnął żal i jakby wstyd.

Spadli tu w tę ciszę w tę purpurę słoneczną w te brzozy rozwiane rozkosznie ze swymi skalpami, lśniącymi niemiłosiernie z tą całą „wiedzą”, która nurzała się we krwi i całun rozpaczny za sobą wlokła. Nie wiedział nic o tym pacjencie, który na wyrok swój czeka. Wesling przez drogę nie poinformował go. Mówił specjalnie o kwestiach artystycznych, rozkoszował się nową sztuką, graną w teatrze, i wystawą szkiców o podkładzie japońskim. Zdawać się mogło, iż chce unikać na pewien czas grzebania się w swoim rzemiośle. Natracił tylko iż wypadek jest jeszcze niezdecydowany...

Dopiero on orzecze...

„Wypadek” tymczasem delikatnie drzwi od kuchni uchylił i trwożne oczy ku dworowi pomknęły, jakby na zwiady.

Adam za oleander się cofnął i patrzył litością zdjęty.

Powoli wysunęła się postać mężczyzny, który musiał mieć imponującej budowy szkielet. Tak jeszcze teraz, choć złożony, skurczony, zmięty, wspaniale się przedstawiał.

Lecz szkielet ten, to było wszystko.

Wyschły, chudy przewyższał swą budową Jacentego i Tarajewicza, a nawet i ascetycznego chłopa, katującego siwą kucykę, wleczoną przez zadzierzystą towarzyszkę.

Twarz tego człowieka była szara.

Tak szara i bezbarwna, że rysów w niej dojrzeć nie było można, mimo dziwnej przejrzystości dnia.

Odziany szaro, niestarannie z powykrzywianymi i obłoconymi butami, miał w sobie przecież jakąś tragiczność opuszczonej, wspaniałej budowli, którą kopnięto niepamięcią i na wichry i szarugi pozostawiono.

Pod pachą trzymał starannie jakiś garnek i teraz szedł, a raczej włókł się ku oficynie. Jakiś żółty, stargany kawał jedwabiu wisiał mu dokoła szyi.

Adamowi zamajaczyło, że ten człowiek ma zarost siwy, nierówny dokoła brody, jakby sam go strzygł nożycami i oczy zbolełego zwierzęcia.

A poza tym nic tylko ogromny smutek i melancholia, co się za nim wlokły.

Tarajewicz, który skończył lokować profesora, na ganek wyszedł.

Pan doktor może także wypocznie? pytał, uśmiechając się boleśnie.

Lecz Adam głową potrząsnął.

Nie jestem zmęczony. Chętnie się jednak przebiorę.

Proszę... proszę...

Dostrzegł teraz idącą szarą postać w stronę oficyn.

Rydzik! panie Rydzik!... Wołany ani drgnął.

Szedł ciągle, a nawet zdawało się, że kroku przyspieszał.

Skaranie Boże! Znów garnczek kapusty niesie...
Tarajewicz ku dziewczce, stojącej ciągle nieruchomo na tle białych słupów,
krzyknął:
Szczo win robił w kuchni? Roześmiała się.

Wził horneć kapusty! odrzuciła.
A psiakrew... zaklął będzie znów umierał!... Odwrócił się ku Adamowi.
No... widzi pan doktor! Chory ledwie żyje nic nie trawi, a jak zobaczy
kapustę, tak porwie garnek i wlecze do siebie... A tu odpowiedzialność!
Pani baronowa wróci i będzie na mnie. A czemu nie pilnowaliście... a
czemu pozwoliliście... jakbym teraz do niego doszedł, to by mnie uderzył.
Jak Boga kocham!...

Szara postać z garnkiem pod pachą dowlokła się do oficynki i drżącą ręką
starła się otworzyć drzwi. Purpurowe promienie słońca przeżarły się
przez gąszcz liści parkowych i pozapalały czarujące brylanty w okienkach
oficyny.

Postać Rydzika rozplywała się marą nieuchwytną w obramowaniu tych
ośniewających blasków.

Kto jest ten człowiek? zapytał Adam. Tarajewicz spojrział na niego
zdziwiony.

Pan doktor nie wie?

Nie.

To przecie Rydzik! Mąż pani baronowej!

Adam drzwi od pokoju zamknął tak go raził ten szereg komnat otwartych, z których ziało pustką i niezamieszkaniem zupełnym.

Mógł się przechadzać swobodnie po tych pokojach, które łączyły się w krąg i stały wszystkie otworem. Profesora umieszczono gdzieś dalej w jakiejś przybudówce o okrągłej werandzie, mieszczącej kilka jakby odrębnych pokoi.

Dla Adama oddano do użytku duży, narożny pokój, obciągnięty kretonem w niezliczone grupy dzieci, bawiących się nad pokreskowanym stawkiem łabędzi o spuchniętych głowach. Dzieci miały jednak wdzięczne i naiwne ruchy, a tło kretonu było jakby splukane lawendową barwą.

Pod ścianami stały duże kanapy z czasów drugiego cesarstwa, ciężkie fotele, obite tym samym kretonem. Kantorki, komody bombiaste

zalegały kąty. Był to ciężki styl, przypominający przedświt krynolin i feliksów, bramujących twarze kobiet. Była w tym jakaś nieszczerłość, jakieś skrepowanie i przygłuszenie namiętności brutalną, trywialną siłą brzydoty mszczącej się za delikatną, pastelową koronkę swobody uczuć osiemnastego stulecia lub za półgrecką nagość napoleońskich czasów.

To, co Adam dojrzał w szeregu pustych pokoi, było tym samym przepojone duchem.

Ciężar jakiś rozsadzał ściany. Coś z burżuazyjnej anemii zastygło po tych kątach.

Były jednak szczegóły, które uderzyły Adama.

Oto na ścianie wisiał jeden jedyny obraz. Przedstawiał on nagą kobietę w secesyjnej pozie z palcem na ustach uśmiechniętych z drugą ręką podniesioną w górę, odsłaniającą swawolnie draperię z czarnej gazy. Było to coś taniego, coś nie bardzo wytwornego na rynku sztuki nowego, ale była to jakaś swawola, jakby śmiech pusty spoza szczelnie zamkniętego grobowca.

W sąsiednim pokoju zawieszono portiere pluszowe bladozielone nie licowały najzupełniej z ciemnym obiciem, naśladującym doskonale skórę. Pod ścianami stały rzeczywiście bardzo stare stołki, obite

skórą prześliczną, wytłaczaną w złocistopurpurowe papugi. Pod jedną ścianą rodzaj sepeciku spowiadał się milcząco ze swych skrytek; w których damy z XVII wieku chowały swe ciężkie klejnoty.

I oto nagle, jak motyl różowy, roztrzepotany wznosił się na lampie z kutego żelaza abażur jedwabny strojny ze wstążki z paryskim szykiem ulepiony, jak sukienka baletnicy...

Adam patrzył i ogarniało go jakieś zdziwienie. Ten poważny, spokojny dom chwilami zdawał się wstrząsać od jakiegoś nerwowego dreszczu. Coś się tu snuło co spadało nagle, rozrzucało powiewne cacka i uciekało w odległe przestrzenie.

To nie jest harmonia życia, które wie już, jak się ułożyć powinno myślał Adam.

Cisza była zupełna.

Zdawało się, że tu wymarli wszyscy. Od stajen nawet nikt się nie poruszał. Okna pokoju Adama wychodziły na park. Usiadł na fotelu i patrzył na drzewa, niknące w powolnej ciemności wieczornej.

Dziewczyna, której nie widać było twarzy przez naciągnięcie na czoło żółtej chusteczki, przyniosła mu na tacy herbatę. Nie pił jej. Stała na stole nietknięta. Jakiś niepokój go ogarniał. Zamiast ukojenia, ten dach wydawał mu się wrogim...

A przecież właśnie w tej ciszy powinna by się rozmodlić dusza...
pomyślał patrząc ciągle na drzewa parku.

Wreszcie wstał, narzucił palto i wyszedł.

Obszedł klomb i znalazł się na kładce, prowadzącej w głąb ogrodu. Olbrzymie drzewa czarnym baldachimem rozsnuły się dokoła. Gałęzie ich wyciągały się jak ramiona olbrzymów. Zarosłe trawą aleje ledwo znaczyły się wśród grup młodych jaworów i kiści drzew owocowych. W cieniu powstającym jakby z ziemi barwy znikwały. Co chwila olbrzymi pień zagradzał drogę. Korona liści dźwigała się wysoko. Konary płątały się z drzewem sąsiednim i zdawały się wrastać w siebie z jakąś nienawistną siłą. Ten cały park z bliska nie miał w sobie melancholii opuszczonych ogrodów, on protestował, on rozpaczał nad czymś, co go uczyniło raczej złym i niosącym rozterkę w duszę tych, którzy się po nim snuli, niż przytulnym schroniskiem, cienia pełnym.

To był ogród nieprzejrzany purpurą drzew owocowych jakby krwią zardzewiałą poznaczony. Rdzawe pnie amerykańskich sosen miały jakąś zbrodniczą ponurość, a dęby umykały nieprzystępnie ku

górze, ku niebu, którego nawet i widać nie było...

I to znów snuł się duch opuszczonych gniazd...

Adam szedł powoli, wsłuchując się w szelest liści, szumiących mu lekko pod nogami. Nie było ich wiele. Jesień była łagodna i zaczynała się zaledwie. Wicher ustał i w powietrzu panowała ogromna przedwieczorna cisza.

Dlaczego jesteście nieprzyjazne?... pytała dusza Adama drzew.

Co jest w was? Coście przeżyły? Jakie smutki tuliły się do was, tak, żeście nimi przesiąkły i wyziewacie je gniewem na te nieśmiałe dusze, którym tak jak mojej później nadejść było przeznaczone?

Czy nie znacie miłosiernej ciszy i dobroczynnych cieni? Czy zawsze milczeń będziecie groźne, jakbyście zamknęły w sobie tajemnicę, zebraną z mgieł porannych i gwiazdzistych nocy? Oto ja marny twór, ułomny wobec was i brzydki odziany w wór nędzy i cierpień, przychodzę do was uczyć się rezygnacji, której nabyć nie mogłem. I zdaje mi się, że nikt prócz was nie ma w sobie buntów życiowych i tak słodko przyjmuje miejsce, jakie mu wyznaczyło przeznaczenie...

A przecież wieje od was goryczą i żalem...

Czuję to.

Czuję wyniosłość waszego buntu, który na wzór niepojętych usiłowań szlachetnych duchów odwraca się i dąży tam, gdzie cisza przedburzowa gromadzi wreszcie piorun, ściągnięty pragnieniem spłonięcia samobójczą śmiercią.

I Adam nie śmie wejść w głąb parku.

Zatrzymał się na ścieżce i stał tak nieruchomy, a dokoła niego bez szelestu od czasu do czasu leci złoty liść dotyka jego młodych lic i osuwa mu się do stóp.

To nie łązy za gasnącym słońcem nie łązy polnych grusz, przydomowych lip... te łązy, które zbiera się na dłoń i czuje się w nich naszą własną tęsknicę... myśli to jakby wyniosła z wyżyn jałmużna dla natręta. Drzewa tego parku skamieniały w bólu... nie rozpaczają za ciepłem i światłem...

One już poznały ludzki ból.

I teraz nim cierpią, przetrawiwszy go na rozpaczliwą nienawiść, wyniosła i gniewną.

Jedynie tam, gdzie brzozy, trochę jaśniej i cieplej.

Adam kieruje się ku białej kolumnadzie pni, które widać w oddali.

Pomiędzy gałęziami przebija dziwny szafir nieba i gdzieś tam światlany punkt gwiazdy migoce wśród liści.

Ktoś ciemnieje wśród białych pni.

Adam zatrzymuje się o kilka kroków i oto, co widzi niepostrzeżony. Na przewróconej ławeczce siedzi mąż pani baronowej. Siedzi w swym szarym, zniszczonym kubraku zgięty w pół, jakby przełamany. Wygiął dziwnie linię grzbietu, jak człowiek trawiony bólem wewnętrznym. Rękę wyciągnął i głaszcze nią łeb konia, który stoi przed nim, nieruchomy, z oczyma utkwionymi w pieszczącego go człowieka. Koń jest stary, prawie siwy.

Grzbiet ma wygięty tak samo, jak człowiek. Boki zapadłe, nogi zgięte. Jest to stary, zmęczony koń tragiczny tą starością, która zebrze o litość, jeszcze o jeden dzień... jeszcze o trochę słońca w imię dawnych zasług. Biedna... stara... biedna.... szepcze cicho Rydzik tyś jeździła dziś do kolei... po doktora dla mnie? ha co?... Przywiozła? Rzeźniki... będą krajać! Westchnął i ten dech z jękiem jakby drżącym w piersi mu zdawał się opadać.

Widzisz, stara... widzisz... co to ze mną!... widzisz!... Klacz oczy ciągle trzyma wlepione w szarą, ziemistą twarz tego człowieka. Zdawała się czynić usiłowanie, aby go przeniknąć, aby zrozumieć jego smutek i cierpienie. Rozumne oczy zwierzęcia, które już swoje przeżyło i nie dziwi się niczemu, nawet największemu ludzkiemu bankructwu, zbierały z twarzy człowieka jego słowa i trwogę.

Moja... moja... stara kucka...moja... Rydzik przytulił swą wyschlą twarz do łba konia. I pozostali tak oboje nieruchomi, złączeni z sobą, przytuleni w tej ogromnej ciszy parku który

czarem nieprzychylnym wokół nich dyszał.
Jedynie brzozy kłoniły się ku nim cmentarnie, długimi włosami, jak
płaczki, ku ich znędziałym ciałom...
Jedynie tylko brzozy.

Więc...
Rak. Stanowczo rak w przełyku.
Po konsultacji Wesling na kolej się spieszy, szybko sam układa sondy
którymi delikatnie zanurzał swą wiedzę w biedne, podzucane
spazmatycznymi drgawkami ciało Rydzika.
Rak!

Krótkie, urwane słowo.

Jeden krzyk, spazm, jęk. Śmierć głodowa coś żrącego, coś żywego w nas samych to straszne, grobowe za życia się dostało.

I oto wiedza stoi bezsilna bo zawarte są przed nią wrota prawdy.

Drogą od dworu do oficynki idzie Rydzik. Wraca do swego legowiska.

Nie wie o rezultacie. Słyszał tylko, iż kazano zaprzęgać, aby odwieźć profesora na dworzec. A zatem nie będzie operowany...

Oddycha.

Wie, iż poddać musiałby się tej operacji. Jeżeli tak doktorzy zdecydują... musi. A przecież jakże się lęka. Jakież dziecko trwożne dławił w sobie przez tę długą noc bezsenną!...

Teraz wpadł do oficynki i drzwi za sobą zatrzaskał.

Ma dosyć sondy, zanurzonej mu do żołądka. Gdy pomyśli, że mógłby to być nóż!...

Prostym, biednym umysłem swoim nie wie nic, jakby to było...

Ale wie, że by go „krajali”.

I drży, i lęka się o ten szmat ciała, które jest mu niczym...

Teraz dobrze się zamknął w swej oficynce i rzucił się na tapczan.

Czorci... czorci... powtarza, drżąc ze wzruszenia.

We dworze Wesling wydaje Adamowi wskazówki. Mówi długo, szeroko to, co Adam wie doskonale. Kładzie wagę na dietę.

Polecam to panu... powtarza, patrząc wyniośle.

Adam słucha, lecz wie, iż wszystko to na nic się nie zdało. Przedłuży tylko życie nędzne. Nic więcej. Chyba, iż komuś bardzo na tym zależy, aby Rydzik żył...

Baronowa mówi dalej Wesling bardzo poleca w liście zajęcie się chorym. Odpowiadam poniekąd za niego. Chciałbym, ażeby, gdy przyjedzie z Wiednia, gdzie leczy się na schudnięcie znalazła Rydzika w możliwie jakim takim stanie...

Adam ramionami wzrusza.

Jakże wstrzymać postępy choroby?...

Ach, nie... to niemożliwe ale pan rozumie, dotrzymać go, dotrzymać do powrotu...

Będę się starał.

Trzeba, trzeba. Widzi pan choć to niby się nie liczy, ale zawsze ona wzięła z nim ślub... Tak, tak prawdziwy ślub! Ach, to był skandal nad skandale! Cała Galicja trzęsła się od tego...

Profesor do lustra się zbliżył i zaczął delikatnie włosy sobie układać.

Zrobiła to na złość rodzinie... ciągnął na złość! Tak mówiła ale mnie się zdaje, że to w napadzie namiętności przyrzekła mu, no i dotrzymała.

Śmiać się zaczął.

No i dotrzymała! dokończył śpiewająco. Chwilę milczeli.

Adam nie chciał pytać o bliższe szczegóły tej sprawy. Było to grzebanie w tajemnicach domowych. Lecz profesor rad, że wraca do miasta, był w usposobieniu rozmownym.

Bo... nasza pani była namiętna... ho! ho!., wiemy coś o tym!...

zaczął z lubieżnym uśmiechem brunetka była, smukła. Rydzik, chłop wcale, wcale... A że ekonom e!... no, i tak... tego... Więc krzyki, wrzaski. Z ekonomem wdowa po baronie afront jeden, drugi. Ona temperament ma... Rozgniewała się. Czekaście, ja wam pokażę. I nagle ślub!... Rydzik zostaje mężem... tak...
Skończył czesanie śmiał się wesoło.

Komedie!...

Adam ogarnął smutek.

To słowo komedie to było tak bardzo od rzeczywistości dalekie.

Tu z kątów wydierał tragiczny smutek rzeczy przeszłych, z triumfem rozuzdanych namiętności i zapadających w cmentarny rozkład powolnej agonii.

Rydzik i ta nieznana kobieta, pełna temperamentu...

Szkoda, że nie zastałem panny podjął znów profesor śliczna i musi mieć coś z matki. Zapewne nie dzika. Tak przynajmniej twierdzą...

Przejrzał się w lustrze z zadowoleniem i obciągnął kamizelkę na cokolwiek zaokrąglonym brzuchu.

Widziałem ją kiedyś z daleka. Przypomina matkę... Tylko... no... Urwał, zaczął się odziewać do drogi.

Ja tu zajrzę, gdy przyjedzie baronowa. Pamiętaj więc pan. Dieta, okłady w razie pogorszenia odżywianie sondą... no i proszę się ze mną znosić...

Adam skłonił się. Profesor rękę mu podał.

Do widzenia. Zostawiłem panu mój termometr na wypadek. Do miasteczka daleko...

Dziękuję.

Więc... dotrzymać, dotrzymać... Do przyjazdu samej pani... Czwórka zajechała. Wózek z kuckami naprzód pojechał. Profesor otulił się szarym prochowcem, który Tarajewicz mu podał.

Ach! Te kurze wasze, to skandal!...

Pan profesor daruje...

Rządca się kłaniał profesor do kapelusza ręką dotknął.

Żegnam.

Powóz ruszył z miejsca. Za chwilę tumany kurzu płynęły kłębami po drodze wiły się i rozplywały w powietrzu. Wreszcie wszystko znikło. Na ganku Tarajewicz do Adama się zwrócił.

Proszę pana doktora jakże mam do pani baronowej napisać? Adam się zastanowił. Nie wiedział, co wiąże tę kobietę z chorym.

Wiedział, że namiętność i ślub. Lecz...

Napiszcie, że stan jest ciężki, że jest niedobrze i że przyjazd jest konieczny.

Po twarzy Tarajewicza przesunął się jakby uśmiech.

To na darmo. Pani nie przyjedzie tak prędko.

On chory.
Pani już nie była w domu półtora roku.
To trudno. Proszę napisać, żeby wróciła...
Ha... dobrze!...
Jeszcze jedno. Zabrońcie, proszę, w kuchni dawać mu jeść, tylko to, co ja
każę. Wczoraj widziałem, jak niósł garnek kapusty niech Bóg broni.
Tarajewicz ręce rozłożył.
Panie doktorze, to na nic. Zacznie się awanturować, będzie się bił z
czeladką kucharską... To skaranie Boże z tym człowiekiem.
Wydaje się bardzo łagodny.
Bo pan doktor go nie zna... My to go dosyć znamy. Żeby nie pani
baronowa, to już służba nieraz by go dobrze utraciła.
Ogromna nienawiść przemknęła się po twarzy Tarajewicza.
Ja go znam od młodości. My razem po majątkach służyli. To zawsze był
taki. On tylko się ułoży, jak się kogo boi.

Ja już z nim pomówię.

Rozeszli się. Adam od razu zrozumiał tę złość, jaką pałał Tarajewicz do Rydzika.

Dlaczego on, dlaczego nie ja aż drgało w intonacji jego głosu. Obaj byli rośli, przystojni, młodzi. Rydzik jeden był wybrany. Czy śmiałość miał większą, czy były od niego silniejsze prądy magnetyczne, którym oprzeć się ta kobieta nie mogła?...

W południe Adam udał się do oficynki. Zastukał raz i drugi.

Przez okienko wyjrzała nieufna twarz Rydzika. Zobaczywszy Adama, Rydzik zmienił się, tak go widok lekarza przeraził.

Otwórzcie wyrzekł Adam i zaraz dodał, jakby poprawiając się chcę z panem pomówić.

A... o czym?

O pańskiej chorobie o tym, jak się pan ma zachować.

To panowie jeszcze nie pojechali?

Pan profesor pojechał. Ja zostałem, żeby się panem opiekować. Rydzik milczał i coraz nieufniej na Adama spozierał.

Adama ogarnął lęk. Czuł, iż będzie mu ciężko zdobyć zaufanie tego człowieka.

Trudno, żebym dawał panu rady przez okno... proszę mnie wpuścić...

Oczy Rydzika oblatywały ręce i kieszenie Adama. Widocznie naiwnie szukał owych „noży” którymi miano go krajać.

Nagle spoza węgła oficyny wysunął się Tarajewicz.

Nie marudzić! wyrzekł szorstko otworzyć panu doktorowi. A nie to zaraz do jaśnie pani napiszę.

Rydzik spojrział na niego spode łba. Niepodobna opisać, co się mieściło w tym wzroku. I nienawiść, i pewna trwoga powalonego zwierza.

No... no... wyrzekł otworzę, jak będę chciał. Poszedł jednak do drzwi i otworzył je.

Niech pan wejdzie!

A widząc, że Tarajewicz gotuje się także do wejścia, drzwi zatrzasnął.

Kogo nie proszą, to kijem wynoszą! mruknął. Adam próg sionki przestąpił.

Trudno opisać, co zawierała ta ciasna przestrzeń, w której człowiek o szarej twarzy żył.

A przecież tam była historia jego życia.

Więc łoże wspaniałe, z napoleońskich czasów, obite brązami w wieńce i węzły na tle mahoniu.

A na łożu tym pościel nie zmieniana, brudna z rozdartą atłasową kołdrą, przetartą od butów, z poduszką bez poszewki, w łaty z płótna pokratkowanego na tle karmazynowego jedwabiu.

Łoże to zajmowało pół izdebki dawno nie bielonej. Koło łóżka stał prosty zydeł, a na nim świeca w butelkę zatknięta.

Tuż obok jakiś śliczny gracik, którym się odznaczało dziesięciolecie ubiegłe lekkie to pół szafka, pół kredensik obsypany wypalanymi w drzewie pękami kasztanów z liśćmi.

I było to zniszczone, połupane a zastawione flaszками i słoikami, w których wyschły płyny i maści.

Na półkach leżały brzytwy, kawałek stłuczonego lustra i prześliczna srebrna papierośnica z szafirem w rogu.

Na ścianie, z której wapno opadło zwieszały się pęki trawy, trochę zboża jakiś bat sierp...

Ogromny obraz Matki Boskiej, tani jaskrawy, przyczepiony czterema gwoździkami.

A pod nim duża, trochę spelzła fotografia kobiecej głowy.

To była głowa istoty widocznie bladej, tą bladością Idalii Słowackiego.

Twarz była trójkątna i po obu jej bokach ciekły czarne strugi włosów.

A były to włosy, które czarnością swoją aż ból sprawiają tym, którzy na nie patrzą.

Dusza tej głowy była cała w oczach.

Patrzyły dziwnie jakby pociągnięte mgłą, i miały w sobie głębię źródeł czarnych, nagle otwartych źrenicą dziwną wśród mchów i wykrotów, pod baldachimem lasów dziwu pełnych.

Usta znaczyły się leciuchną linią. Uchylone były jakby uśmiechem.

W kącikach jakby dwie perły małe kły.

I ta twarz trójkątna.

Jakby z czarnych mgieł.

Kobieca twarz.

A pod nią jeszcze z mgieł gazy czy złorzeczeń lub kadzideł ubóstwienia
dwie ręce wynurzające się.

Dwie białe, przejrzyste ręce... gestem posiadania rozpostarte.

Tak jak tam, nad ziemią szarą i bezkresną, nad stogami do złotych,
pełnych czar podobnymi, nad tłumem sosen w lirę wygiętych, nad łąką
wielką, szmaragdową wyspą wśród bezbarwności oceanowej
płaszczyzny...

Nad tym wszystkim co mocą faktów istnieje, i nad tym, co się wbrew
faktom wyłania i w życie ludzkie wchodzi.

Nad tym i jeszcze nad tym, co się czai gdzieś w niebycie, skrada się i ma
się stać dopiero przeczuciem najskromniejszego i najsmutniejszego...

Nad tym rozciągnęły się ręce kobiety.

Która posiadała.

Kobiety o twarzy trójkątnej, obramowanej czernią włosów tak czarnych,
że patrzący na nie czują ból...

Adam oczu od fotografii oderwać nie mógł.

To była Nieznajoma. To była kobieta o dwóch cieniach, samobójczynie banalnych kół tramwajowych, ta, która się śmiała w takt hiszpańskich kastanietów.

Tu nad tym barłogiem...

Musiał się ocknąć. W róg izby wbity stał Rydzik. Nieufny, chmurny.

A co pan doktor będzie ze mną robił? Adam do obowiązku się przywołał. Termometr chcę założyć.

A!...

Rydzik rękę wyciągnął i rozpiąwszy odzież, sam mierzyć temperaturę zaczął.

Straszna woń złego tytoniu przepajała powietrze. Ten człowiek zatruchiwał się powoli.

Muszę panu powiedzieć, że palić tak dużo nie wolno... Jakieś niewyraźne mruknięcie było odpowiedzią.

To w obecnym stanie zdrowia dla pana jest bardzo szkodliwe... Palić nie wolno, a jeść pan będzie to, co ja panu pozwolę.

Drugie mruknięcie, jeszcze bardziej groźne, jak pierwsze.

Żadnej kapusty, żadnej czeladzkiej stawy, przeważnie płyny. Wódki piwa wina także pan używać nie będzie. Czy pan mnie rozumie?

Milczenie.

Wreszcie głos ochrypły, jakby złamany.

Cóż? mam z głodu zdechnąć?

Nie. Będziesz pan pił mleko...

I zaraz...

A potem znów milczenie.

Adam czuje dziwną nędzę ludzką w tym skazańcu na śmierć straszną, który się jeszcze jadła czepia, nie mając widać nic więcej w istnieniu.

Bierze termometr notuje i spogląda twardo w oczy skazańca...

Musi pan mnie słuchać! Ja tu odpowiadam za pana zdrowie...

Zuchwalstwo przemyka po szarej twarzy.

O! musi... nic nie muszę! także!... musi. Nie ma musi... o! musi!...

Nienawiść aż tryska z wyblakłych od choroby oczu.

Adam czuje, iż będzie mu ciężiej z tym rozgoryczonym i drażliwym na punkcie swej zależności

człowiekiem, niż przypuszczał.

Więc pan nie chce wyzdrowieć? Lecz rozdrażnienie Rydzika rośnie.

Ja jestem zdrow! krzyczy z nagłym wybuchem zdrow... ino mnie dusi, a to nie żadna choroba... To oni, te ścierwa wymyślają, jako że ja chory żeby mnie...

Urwał pięścią w stronę kuchni groził.

Żeby...

Lęk śmiertelny mu po źrenicach przewiał i razem z nim wzrósł jego gniew.

Ścierwa, draby, chaładrygi, złodzieje krzyczał ja wam pokażę! Ja was nauczę... wy...

Proszę się uspokoić!...

Pan doktor nie wie... ale ja wiem, że to te ścierwa na mnie nastają... Teraz głodem chcą mnie zamorzyć... tytoń jeszcze był i to chcą wziąć... Ażeby was pomsta! Ażeby was cholera... ażeby was dziesiąta śmierć... ażeby... Zaniósł się dławieniem. Żyły mu na twarz wystąpiły. Zaczął pluć na podłogę, która cała była pokryta plwocinami.
Proszę przestać krzyczeć... zawołał Adam.

A pomór na ciebie wrzasnął Rydzik won mi z chałupy! to moje!... ja tu pan!...

Czepił się filigranowego mebelka wiedeńskiej roboty, lecz zaraz butem w niego huknął:

To moje!... jak pani przyjedzie, to was wszystkich rozegna. Ja powiem a pani mi krzywdy zrobić nie da, cholery jedne...

Adam z oficynki się wysunął. Przejął go mróz.

Zdawało mu się, że wstąpił w coś nieczystego, w jakiś kał że brodzić w nim musi.

Zażądam koni odjadę! pomyślał, idąc ku pałacowi ten człowiek przeczuł we mnie istotę zależną, jeszcze o niepewnym życiowym gruncie, i buntuje się. A potem, ta sytuacja jest straszna. Ten chłop kaprysem kobiety nie liczącej się z niczym rzucony do jej alkowy potem pozostawiony na łaskę losu szaleje...

Wstrętne... och, jakie wstrętne!...

Z daleka widniały drzewa parku. Adam stanął i z trwogą jakąś na nie patrzył.

Tu wszystko jest dziwne, straszne pełne jakichś niedomówień, jakiegoś zła, przepojonego

zmysłową rozuzdaną namiętnością która mijała, która nawet nie miała bohaterstwa pozostać na posterunku.

Odjadę!...

Wicher lekko nagle zakołysał brzozy. Pod nimi ławeczka czerniała bryłą.

To ohydne gniazdo... ja muszę stąd iść! Zawrócił, jakby do stajen, lecz przeszedł mimo. Wydostał się na pole.

I mimo woli w bezkres równi się zanurzył.

Drogą wiodącą daleko wśród ugorów szedł i zdało mu się, że pogrąża się w jakieś zupełnie oderwane i nie mające nic wspólnego z tym wszystkim istnienie.

Tylko od czasu do czasu mijał krzyż zwalony spróchniały podparty.

U stóp krzyża jakieś burzany, jakiś krzak...

Czasem leciuchno kołysze się czerwony kwiat spóźnionego ostu.

I potem znów równia samotna. Ani na niej drzewa, co to wyrasta sierotą i dzikim bukietem liści o sobie znać daje.

Ni to krasnego maku dziewczęcej spódnicy lub czarnej barankowej czapy parobczaka... Ni to wozu, sprzęgniętego końmi o łaciatych bokach.

Nic nic.

Równia, cisza i w oddali, jakby mleczny pas jakiś, dalsze plany podnoszące się ku niebu, które znów łaskawie równą linią ściska...

Wielka, spokojna bezmyślność...

Brak wszelkich uśmiechów nieba i ziemi, brak wszelkiej goryczy i smutków życia.

To, co się nazywa złem i dobrem: to, co się wydaje olbrzymie i straszne; to, co odpycha lub przeraża; to, co boli lub kocha wszystko to rozplywa się, jak ta linia kresu w barwie białej miłosiernie pochylonego ku niej nieba.

Adam czuje ogromne uspokojenie.

Nie chce myśleć o tym, co przeszedł, co go jeszcze czeka, jeżeli tu pozostanie. Odpędza od siebie

myśl o trójkątnej twarzy kobiecej, po której płyną pasma włosów, wypływających z czarnych oparów nad magnackim łóżem, na którym leży barłóg, rozkopany butami zbuntowanego chłopca. Zapomina o wszystkim, tylko nie o tym, że idzie, a raczej jest niesiony jakąś siłą w przestrzenie bezkresne i że w tych przestrzeniach wykwita tylko od czasu do czasu znak krzyża jako symbol, odgarniający zło wszelakie, z czterech stron się

czające i że te krzyże mają podobieństwo do smukłych, czarnych aniołów, które rozpostarły swe długie, wąskie, nieruchome skrzydła.

I pomimo postanowienia wyjazdu Adam pozostaje.

A sprawiły to równie ciche i spokojne, a sprawiły to brzozy, które wiatr poruszał lekko.

Wszystko to zło, przed którym się tak wzdrygał, wydało mu się małe, żadne, biedne.

To mu powiedziały równie i wyrastające z nich irysykrzyże.

A brzozy przywiały mu obraz ujrzany niedawno. Zgarbiony, chory człowiek i zgarbiony stary koń to wszystko w wieczornej ciszy przytulone bezbrzeżnym smutkiem do siebie... I te słowa:

Będą mnie krajali...

Adam uczył, że w tym krzyku Rydzika, gdy gnał go ze swej izby, była głównie trwoga szalona przed tym nożem, który wyczuwał swymi przeczulonymi nerwami.

Adam zaczął wnikać w jego straszny stan tropionego przez śmierć zwierzęcia.

On biedny jest mknęło mu przez myśl.

Spotkał się z nim w jednym z pokoi pałacowych. Rydzik cicho na palcach stapał po pełnych kurzu dywanach. Ręce przy sobie trzymał, jak dzieci, wpuszczone do muzeów. Adam, zdjęty nostalgią, także po otwartych pokojach błędził.

Rydzik wszedł do przedsionka, do którego prowadziły wielkie, wspaniałe schody, zamknięte i pełne spóźnionych much.

Na ścianie rzędem wisiały strzelby, torby ładownicze pasy i troki.

Niektóre strzelby były rzadkiej piękności.

Rydzik długo obmacywał je, wybierał wreszcie wziął trzecią z brzegu.

Schylił się pod stół, wyciągać zaczął paczki ze śrutem i z patronami. Pluł przy tym ciągle. Z furją szukał miareczki do nasypywania

śrutu.

Czorci nadali!...

Adam przez chwilę na niego patrzył.

Idzie pan na polowanie, panie Rydzik? zapytał, starając się mówić jak najłagodniej.

Rydzik drgnął ale natychmiast zaczął zgarniać wszystko, co wybrał, ku sobie i kierować się do wyjścia.

A idę... idę... odburknął cóż to, nie wolno?

Wolno, tylko niech się pan nie męczy. Rydzik był już przy drzwiach.

Strzelbę wziąłem, bo mija pani dała... tak, i śrut mój... bo dla mnie go sprowadzili... żeby pan wiedział...

Oczy mu gorączką płonęły.

A jakby Tarajewicz powiedział inaczej chrypiał to łże, ściervo...

Dubeltówka moja, bo mi ją dała... Przysięgnę...

I z ponurą fantazją dodał:

A potem tak mi się chciało!

Wyszedł, nie skradając się, lecz idąc już głośno, jakby chciał zaznaczyć, że on ma pełne prawo przebywać tu, w pałacu, tylko nie chce.

Adam patrzył na niego, jak się oddalał w amfiladzie pokoi na tle okna, świecącego jasno w ostatnim pokoju. Szedł zgarbiony, ściągnięty bólem, zżarty rakiem, tragiczny i smutny.

Wreszcie zakręcił i znikł.

Adam błąkał się dalej po tym osamotnionym domu. Wszystko tu stało otworem, jakby czekało ciągle na całą grupę ludzi, mogącą wypełnić tę pustkę. W sypialni samej pani ujrzał Adam takie same wspaniałe łoże mahoniowe, przyozdobione brązami, jak to, które stało u Rydzika. Pełno tu było cacek, fraszek, zwłóczonych ze wszystkich stron świata i urągających powadze starych mebli, rozstawionych z fantazją, niszczącą piękność ich linii.

Nawet delfin zasuszony pełen prochu walał się na toalecie a tamburyno, odziane siatką pomponów, zwieszało się na ścianie, czarniąc napisem:

Corrida de Toros.

Marmurowa grupa kobiety nagiej, podrzucającej na nodze kota, miała po bokach przepyszne kandelabry w kształcie burbońskich lilii. Nad łóżem zwieszała się wykoronkowana, przepyszna kotara z jedwabiu lionńskiego w cudowne bukiety piór pawich.

Adam cofnął się.

Czuł, iż zaczyna go ogarniać znów to uczucie, jakiego doznał, widząc zastygłe plwociny na podłodze izby Rydzika. Czuł, że mu pluje w czystość jego duszy chrapliwym wspomnieniem zwierzęcych uniesień. Nie chciał tego uczucia. Łączyło się z nim teraz wyobrażenie kobiety nieznanej, która mu sobą w duszę niezrozumianym dla niego węzłem wrosła.

Czyżby to była ona?... ta... Aż porwał się na tę myśl. Drzwi od sypialni zatrzęsnały.

Nie... nie...

A przecież ta twarz, tam, nad barłogiem Rydzika? Tak, twarz, ale ręce... ręce wyciągnięte gestem posiadania podczas gdy ręce nieznajomej spływały ku ziemi gestem zależności. I jeszcze jedno. Słowa Minzowej:

Kobiety zabijają się z miłości...

Prawda odwołane później. Ale kto wie, kiedy ona mówiła prawdę...

Więc z miłości.

Lecz tu żona Rydzika (bo przecież bądź co bądź baronowa była jego żoną) czuła miłość taką, jaka tu z każdego kąta wyzierała.

Namiętność ślepa...

Czy to pchnąć może do samobójczej śmierci? Czy raczej nie wskaże możliwości jeszcze silniejszego użycia, coraz nowego brnięcia w rozkoszy?

A więc niepodobieństwo.

A przecież to jest ta sama kobieta.

Ta sama.

Żona Rydzika.

Straszne!...

Adam zasłonił oczy i stał tak długą chwilę, aż go porwało coś i biec zaczął na oślep nie wiedząc, dokąd biegnie.

Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Były zamknięte.

Pierwsze drzwi, które w tym domu znalazł zamknięte.

To go oprzytomniło.

Zawrócił się. Znajdował się w wąskiej, długiej galerii całej białej oświetlonej rzędem biegnących wzdłuż jednej ściany okien.

Z galerii tej był widok na równie ponad którymi zapadała straszna, groźna purpurowa tarcza słoneczna.

Horyzont cały był ciemny, jakąś nieznaną, dziwną barwą. Jakby ametyst, pomieszany z szafirem i roztopiony w kotle czarownic. Równie gorzały tym blaskiem.

I było to morze barw, które zalewały wzrok i duszę i chłoneły, ciągnęły ku sobie, jak tajemniczy, wspaniały klejnot, który otworzył swe wnętrze i mistycznie chłonać chce życie, jego smutki i jego wybuchy.

Jakże inne były w tej chwili te bezkresy! Ileż w nich gorzało ciepła i blasku. Jakże się mieniły i grały fioletem i szafirem, roziskrzonym milionami drgających świateł. Jakaż to promienna namiętność przelewała się falą z nieba ku ziemi!...

Adam wzrokiem szukał krzyży.

Nie dostrzegał ich. Znikły, zatoneły w gorącej powodzi.

Łagodność czarnych aniołów o prostych, wąskich, nieruchomych skrzydłach pochłonał żar szafirów i ametystów, wśród których drżało namiętne słońce.

Adam oczy zakrył. Tak tu, w takich bezkresach mogła rozwinąć się istota kobieca, która śmiała się dziwnie wąskimi ustami.

Taka istota.

O trójkątnej, bladej twarzy i włosach, ból sprawiających tym, którzy na nie patrzą...

Jakież one były inne dziś, te równie. Jakie inne i jakie straszne...

Jakieś szybkie na kończy galerii kroki.

Tarajewicz idzie z pękiem kluczy. Idzie szybko i zdziwiony dostrzega wtulonego we framugę okna Adama.

Pan doktor tutaj?

Adam jakby ocknął się ze snu.

Chodziłem po pokojach... zbłądziłem...

Pan doktor się nudzi. Ja mógłbym dać książki ale to... takie sobie. Pani baronowa dawniej dla Rydzika kupowała. I kilka pism jest. Kazała prenumerować także dla niego!

Ramionami wzruszył.

On nigdy nie czytał. Tak się to tam u niego wala. Już się nie prenumeruje. To szkoda pieniędzy... Było tak że niby pani baronowa chciała go na uczonego przerobić.

Zmrużył oko i zaczął się śmiać.

A to z przeproszeniem pana doktora... dokończył ze śmiechem to pewna rzecz chłopu, a nie zegarek!...

Zadzwoił kluczami i do zamkniętych drzwi podszedł.

To mieszkanie panny baronówny. Trzeba tam porządek zrobić... może przyjedzie...

Padł gdzieś daleko strzał. Tarajkewicz uszami zastrzygł.

Co to?

Pewnie Rydzik poluje odparł Adam.

On?

Tak.

Skąd wziął naboje?

Adam milczał. Zaczynał pojmować sytuację i walkę głuchą tych dwóch ludzi, z których jeden miał władzę, a drugi, mając wszelkie pozory, nawet jej cienia nie miał w dłoni.

Pewnie znów był w pałacu!... mruzczał Tarajewicz muszę naboje i śrut pozamykać...

Słuchajcie wyrzekł nagle Adam dlaczego mu bronicie polować? On musi się czasami rozerwać. Tak z nim postępować nie można. Każdy gniewmu szkodzi, a ja zaczynam zauważać, że mu tutaj dużo na przekór robią. Jeżeli ja mu pozwalam polować, dlaczego wy mu zabraniecie?

On nie ma prawa do tych strzelb, co w pałacu wiszą odparł Tarajewicz. To są strzelby po panu baronie. On miał swoje. Pani baronowa w pierwszych latach to straszne zbytki wyprawiała. Sprowadzała mu z zagranicy Bóg wie jakie strzelby... On ma nawet Mannlichera. Jak Boga kocham. Jak zaczął w parku strzelać, to kule niosło kilometrami! A pani baronowa się śmiała. Ale... co... Wszystko z przeproszeniem zaflejtuszył, rdza zjadła spaskudziła, i teraz się dobiera do baronowskich strzelb. Na to ja nie mogę pozwolić!...

Adam próbował perswazji.

Skoro baron umarł... co wam do tego. A potem, nikt tu nie strzela... nikogo to nie obchodzi...

Proszę pana doktora... panna baronówna poluje a potem, jakby widziała, że on po tutejszych strzelbach buszuje, to niech Bóg zachowa...

Padł drugi strzał.

Gdzie on poluje?

A w kartoflach, pewnie kuropatwy straszy, bo gdzie jemu tam do polowania. Psa nie ma...

Zaturkotało coś poza stajniami.

Ktoś jedzie.

Tarajewicz wyszedł zły i gniewny.

Bronić go muszę słodząc mu te ostatki dni postanowił Adam.

Bezsilny jestem fizycznie... niechże odrobię pieniądze, które mi płacą, moralnie.

Nie chciał przyznać przed sobą, że coś go ku temu „brzydkiemu” ciągnęło. Że to, co poprzednio odtrącało go, miało teraz dla niego jakąś tajemnicę rozpadłego grobu.

Gdy odziany wyszedł na ganek, aby udać się na kartoflane pole, gdzie Rydzik kuropatwy płoszy ujrzał Tarajewicza, jak z uniozoną miną

stał koło małego wózka węgierskiego, zaprzęgniętego w dwa ładne karę konie. Na wózku siedział jakiś mężczyzna w kurtce brązowej grubej tyłem do Adama zwrócony. Kapelusz zdjął i chustką kark z kurzu ocierał. Tarajewicz przez szacunek także swój kapelusz w ręku trzymał.

Adamowi zdało się, że ten kształt głowy specjalny, wypukły u dołu, widział już gdzieś i wyróżniał go wśród tłumu.

Czymś mi się w myśl wbił pomyślał.

Kazała powiedzieć, że będzie jutro... niechże Tarajewicz konie wyśle...

Dobrze, będą.

Ja nie mogę po nią jechać, bo mam w Kliszowcach polowanie.

Słucham jaśnie pana.

Niechże więc Tarajewicz... Adam szybko przeszedł mimo.

Ktoś miał przyjechać, po kogoś wysyłano konie.

Pewnie baronowa myślał Adam musieli po nią telegrafować. Powinna przyjechać. Ostatecznie, to jej obowiązek...

Na polu, gdzie wlokły się liście spalonych kartofli, błędził Rydzik. Szukał teraz w krzakach czegoś. Zginał się z ciężkością, pluł i klął. Gdy zobaczył idącego ku niemu Adama, zaszył się w krzaki i

zginał w jakiejś kępie samotnie rosnącego jałowca.

Lecz Adam rozgarnął krzaki.

Cóż pan tam szuka?

Rydzik bokiem spojrział. Jego rysy orle wyostrzyły się nieprzyjaźnie.

Adam się nie zrażał.

Trafił pan? Słyszałem strzał. Pomogę panu szukać.

Rydzik natychmiast z krzaków wylazł i ścisnąwszy silnie w garści dubeltówkę, zuchwale na Adama spojrział.

A ja strzelby nie dam... mruknął.

Po cóż pan ma strzelbę oddawać?

No...

Co no? Nieś ją pan, strzelaj, rób z nią, co chcesz. Tylko trzeba czyścić i nie zaniedbywać, jak pan zrobił ze swoimi.

A to ścierwo! A to ścierwo!...

Kto?

To ścierwo Tarajewicz! Już powiedział. Cholera! Pomsta na niego!... Jakże miałem czyścić, jak mi czystkę ktoś ukradł...

Urwał i dodał złamanym głosem:

A potem byłem chory... chciałem, żeby mi Jędrych pomógł, ale i ten hycel nie chciał... I tak nawet Mannlichera diabli wzięli.

No... to i lepiej.

Rydzik aż poczerwieniał z furii.

Jak to lepiej? Pan wie, ile on kosztował? Pani baronowa zapłaciła paręsta papierków...

Adam oponował.

Nie powinna była żona sprowadzać panu Manlichera.

Na dziki...

Pan dzików nie strzelał, tylko kule kilometrami roznosił. Błady uśmiech przewinał się po ustach Rydzika.

A jakże... jak Boga kocham... Czasem strzełę w parku , niby do żurawi, albo tak do drzewa, a tu gdzieś czorci kulę pognają... Potem gwałt pan wie... takie miałem dum... dum... Heca!...

Rozjaśnił się.

Twarz jego zabłysła śladami ogromnej piękności, jaką czasem chłopi na Rusi się odznaczają. Piękność ta polegała na uroku uśmiechu, który usta w prawdziwą „krasę” barwił.

Niech pan tam idzie do parku... zaczął znowu tam het, dęby, lipy, sosny to wszystko poharatane... To ja... tak...

Głowę zwiesił, uśmiech zbladł.

Teraz, nic...

Adam zaczął odczuwać, dlaczego drzewa parku tak bardzo nieprzyjazne były.

Zranione posyłką kuli, którą słał rozbawiony i podniecony chłop zranione w majestacie swej wielkiej piękności i siły!...

Przykute do ziemi... bezbronne poddawały swe ciało na żer swawoli człowieka. A opodal śmiała się kobieta o pasmach czarnych włosów, które ból sprawiają, śmiała się, ukazując kły.

Nagle Rydzik się pochylił i pochwycił łapczywie ciepły trup kuropatwy.

A jesteś, gałganico!...

Krew mu ciekła po chudej ręce ciepła krew, świeża...

Jemu, który śmierć w sobie niósł ta świeża śmierć rozkosz sprawiła.

Zabiłem co?... zatriumfowałem. Psa nie mam. Moje wyzdychały, a ostatnią Haškę to mi ta szelma kucharka otruła. Żeby mi choć kiedy Milnę pożyczli. Ale co?... boją się Wiški. Nie da!

Kto jest Wiška! zapytał machinalnie Adam.
Córka pani baronowej.
Jakiś strach, jakiś szacunek brzmiał w jego głosie.
No... to pańska pasierbica!

Jak to?
Przecież pan jesteś jej ojczym, skoro się ożeniłeś z baronową? Spod nieokreślonego koloru brwi padło na Adama spojrzenie tępe i jakby cieniem bólu przepojone.
Rydzik otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, nagle splunął i odwrócił się. Bez jednego słowa zaczął iść szybko, o ile tylko mógł, polem dążąc ku dworowi. Po ubraniu ciekła mu powoli brunatna krew kuropatwy, uwieszanej u troków. Wlókł tak swego trupa ten zwycięzcapółtrup. Drobne ciało ptaszęcia zawisło bezwładnie u jego boku. Ponad nim niebo z ametystów i szafiru gasiło swój blask i rozpływało się w jakimś czarnym rozpyleniu. Tylko na zachodzie, tam, gdzie zapadło słońce, roztoczyło się czerwone zjawisko.

Rozłożył się po rzysku snop promieni o tęczowych blaskach i drżał półkolem i migotał, jakby tam paliły się wszystkie brylanty, z całej zgromadzone ziemi.

I znów krzyże miłosiernie wykwitwały ciemnią aniołów czarnych, o rozpostartych skrzydłach. Na tym tle, wśród tych anielskich krzyżów siedł Rydzik i nagle zwolnił kroku.

Pochylił się, zaczerpnął garścią ziemi i zaczął się jej miłośnie przyglądać. Ciekła mu powoli przez palce, ciekła razem z krwią ptaka, spadając na szerniałe i poskręcane liście kartofli.

I Adam, patrząc na niego, zrozumiał, że był to człowiek prymitywny człowiek ziemi i krwi, który instynktów swych pozbyć się nie mógł. Ziemia i krew!...

Na horyzoncie gasł snop promiennej poświaty.

Piła go ziemia tak, jak piła krew zabitego ptaka. Oddawała pochłonięte skarby żarem i życiem. Ze śmierci tworzyła życie. Ziemia i krew!

A straż trzymały anielskie krzyże, nieruchomo kwitnąc w przestrzeni.
Krzyże!...
Nad ziemią i krwią.

Adam postanowił pracować wiele i intensywnie. Cisza, spokój. Do wiedzy lekarskiej brakowało mu wykształcenia duchowego. Zużyć chciał ten czas, aby urobić w sobie charakter.

To przecież można... myślał zaczerpnę z innych to, co sam przejść byłbym zmuszony. Inni, gdy stanęli u kresu życia, zostawili nam doświadczenie swoje. Korzystać zeń będę.

Lecz nie robił wiele. Z podzielonego umiejętnie dnia nie odniósł wielkiej korzyści.

Obserwuję innych... ale nic nie przyswajam sobie. Wiecznie sędzę dlaczego? Kto mi daje prawo? Dlaczego nie mogę jeszcze wyplenić z siebie tych wstrętów, którymi zatravam sobie życie? Wszak

w głębi mnie już zrodziło się przekonanie, że nie ma ludzi złych, są tylko nieszczęśliwi!...

Aż drgnął, gdy sformułował te słowa, które pulsowały w nim zawsze od chwili, gdy przyszedł do możliwości klasyfikowania swych wrażeń.

Przypomniał mu się letni wieczór na plebanii u wuja. Szli pomiędzy ulami, które nieforemnie dźwigały się ciche i tajemnicze. Powietrze pachniało lekko rozpieczoną, gorącą wonią żyta dojrzałego, którego łany ciągną się zaraz za płotem.

Wuj szedł w swej wytartej sutannie, zmęczony pisaniem kazania na jutrzejsze nabożeństwo niedzielne. Tematem, jak zawsze, miały być grzechy i nieprawości ludzkie. Srogie, pełne gromów słowa potępienia miały spaść na głowę gromady, zebranej wśród ścian kościółka. Ci zjedzeni wódką i tyfusem ludzie, pół zbydlęceni przez fatalne opary małomiasteczkowej cywilizacji dzicy od dziecka, źle uczeni i kierowani nurzający się w nędzy i rozpuście potępiani byli co niedziela bez wniknięcia w przyczyny ich zła anatema, rzucaną z ust

starca, którego twarz pełna i dobrotliwa stanowiła nieokreślony kontrast ze słowami, które mu z ust gradem piorunów leciały.

Będiesz znów potępiał? pyta, jakby te myśli dławily go zanadto. Stary ksiądz milczy chwilę, wreszcie rozkłada ręce bezsilnym gestem.

Muszę!

Nie.

Stanęli u płota, poza którym złocą się fale zbóż i cicho ćwierkoczą chrząszcze, zapadnięte w las kłosów.

Jak to nie?... Jakże z nimi inaczej?... przecież wiesz, co to za obwiesie... Łagodne zadumanie powleka twarz Adama.

Zastanowić się mówi zastanowić się, dlaczego są tacy.

Boga w sercu nie mają.

Wypełń im serca miłością dobrego dla dobra... Zobaczysz rezultaty.

Mówi a dziwi się sam, że śmie. Od wuja zależy. Jednak czuje inaczej nie może.

Starzec ciężko o płot wsparty patrzy na niego spod brwi ściągniętych.

Uczę według tradycji... Sprawiedliwość...

Właśnie. O nią chodzi.
Sprawiedliwy rozdział kar.
Ach... ciągle te... kary!
Za występki musi być kara.
Na to już ludzie ustanowili kodeksy, prokuratorów i sądy... Cóż więcej?...
Błękit wszechświata nie zna krat. Boga w tym wszechświecie szukasz?
Tam wolność! Wuju...
Urwał na chwilę i dodał:
I dobroć!... bezmierna!... bezgraniczna... dobroć! Lecz starzec głową
potrząsał.
Nie, nie... kara... to jedyny hamulec.
Dobroć, to jedyny możliwy motor życia!
Szalencie!...
I zaraz ze wzruszeniem ramion dodał:
Twój ojciec był lekkomyślny. Milczeli długą chwilę.
W zbożu ćwierkanie wzrastało. W oddali z wikliny, która smugą się
znaczyła ponad linią błękitną rzeki, słychać było nawoływania rąbiących
chłopów.

Od wody przez łąk zboża płynęły jakieś opary.
Świat cały płonął w łagodnym rozmarzeniu. Zdawało się, iż nie ma tu
miejsca na występki i zbrodnie że wszyscy posiadli dumną miłość dla
dobra, które w sobie samym znajduje przyczynę i podniecie.

Tymczasem siwe oczy księdza wbiły się w twarz chłopca.

Więc dla ciebie nie ma występku?

Jest tylko... nieszczęście.

Nie ma ludzi złych? Podłych? Zbrodniarzy?

To są nieszczęśliwi.

To wszystko przypomina sobie Adam teraz w osamotnieniu ciszy, gdy
myśli o Rydziku, który krwią bezbronną ocieka, o jego żonie, rozszalałej
krwią i nerwami, o Minzach, którzy skradli mienie trupa, o Tarajewiczu,
którego złodziejstwo przeczuwa, o tej Nieznajomej, która śmieje się
wampirem i samobójczo ku ziemi się skłania, o samym sobie, który
jeszcze mimo wszystko porywa się czasem do sądu czynów innych i
wstrętem oddycha...

Krwiożerczość, mord... oto człowiek jaskiniowy. Dano nam pazury, kły
kobiecie dano nerwy, żądze i możliwość wzbudzania żądy dla stworzenia
cudu i chęć nagła powstała przeistoczyć ten

pęd naturalny i ponalepiać etykiety występki. Pazury obcięto i oszlifowano... kły same się starły samoobrona zbyt uczynna. Na to są kodeksy i paragrafy... Kobieta przetworzona...

Zatrzymał się myślą. Wionęły przed nim dziewczęta Fra Filippo i kasztelanka zaklętego parku.

Tych nawet występki są pięknem. Kto śmiałyby je potępić?... Kto śmiałyby je karać?...

Wicher jakiś szumiał po drzewach parku i rozwiewał gałęzie brzoź.

I wszystko człowiekowi stało się wrogiem... wszystko... bo chciał posiadać siłę i trwogę. Posiadał częściowo lecz jest znienawidzony. I dziś mści się na nim jad wściekłych zwierząt i żmij, mszczą się fale wód, tłocząc się w usta topielców, mści się skała, waląc dynamitem szarpane cielsko na mrowisko ludzi, które ją obsiadło, mści się drzewo, ściągając piorun na drwala, który się pod nie schronił, mści się wreszcie ziemia, wstrząsając się z obrzydzeniem i ziejąc ogniem i żarem na cuda i, wytwory piękna, które człowiek na jej powierzchni utworzył.

Nienawidzi nas wszystko!...

Głucha, straszna walka wre dokoła. I czoło człowieka ociekło potem; pełen wysiłków sprytu, aby tę nienawiść oszukać wymyka się ciągle z nienawistnych zasadzek, jakie to wszystko na niego zastawia.

Zemstą dyszy dokoła niego.

Zemstą za co?

Myśli te opadają Adama dziś więcej, niż kiedykolwiek. Gdy dziś rano przyszedł odwiedzić Rydzika wziął ze sobą trochę jakichś ilustracji, zwalonych w kąt izby. Przerzucając je, spotkał artykulik, traktujący statystycznie chorobę raka.

Autor dowodził, iż na raka chorują najczęściej i najwięcej ogrodnicy, rolnicy słowem, ludzie, mający do czynienia z ziemią. Udowodnił to statystycznie.

A więc ziemia mściła się na Rydziku za to, że ją wyzyskiwał ciągnąc z niej soki i podniecając ją do twórczości na jego korzyść tym, co ludzie zwą uprawą.

Gdy w młodości swej szedł za pługiem i pruł ziemię i rany w niej bezmyślnie czynił ona z zemsty pyłem swoim posłała mu jad, który go teraz zgniecie, rozrani i powali.

Nie tylko ziemia bo i... krew.

Krew zwierząt mordowanych bo Adam w księgach swoich czytał, że rak pojawia się u tych, którzy żywią się mięsem zwierzęcym.

A więc ziemia i krew.

I przed oczyma stanął mu Rydzik, jak, idąc w blaskach słonecznego widma, rękę wyciąga, a z ręki tej cieknie ziemia i krew.

Myśli te tak dręczyły Adama, iż nad wieczorem uciekł znowu w pole.

Lecz już nie szukał Rydzika, który znów błędził po kartofliskach i strzelał kuropatwy, pomimo protestu Tarajewicza.

Zemsta wszędzie, nienawiść, kara, potępienie... myślał Adam dlaczego? Dlaczego?...

Idąc wśród stogów słomy, widział szeregi mozolących się ludzi w szarych płótniakach, co najwyżej poznaczonych brązową barwą jakichś kaftanów lub mchową barwą spódnic kobiecych.

Trudno sobie przedstawić doskonalsze zharmonizowanie barw do ogólnego tonu krajobrazu ruskiej ziemi. Był to zespół kolorów idealny ani na chwilę nie wywodzący z nastroju. Ludzie szarzy jak ziemia, jak

pył zaledwie mchów sięgając nieśmiało, chęcią rozweselenia odzieży, mchów i pniaków sosen.

Jak oni mnie muszą nienawidzić myślał, uchylając przed nim kapelusza. Patrzyli na niego spode łba i bokiem. Nikt mu prosto w oczy nie patrzył. Nie mieli bowiem w sobie ani jawności swych myśli, ani uśmiechów.

Chciałbym, żeby mi który z tych ludzi wyrządził ciężką krzywdę myślał i żeby mi dał sposobność poświęcać się dla niego. Złamałbym w ten sposób resztę tego zła, które jest jeszcze we mnie!

Było to dziecinne prawie, jakieś niejasne może śmieszne ale miało w sobie zarys ideału moralnego w najczystszyim tego słowa znaczeniu.

Dobro dla dobra. Nic więcej.

O zachodzie zawrócił Adam i szedł przez ugory ku grupie drzew, która wrogo na horyzoncie ciemniała.

I drzewa nieprzyjazne...

Zranione i nadżarte kulami o niezagojonych bliznach.

Z tej strony pól park miał wysokie żelazne kraty w formie dzid.

Zardzewiałe od deszczu resztki dawnego opasania własności. Adam dostrzegł je po raz pierwszy.

Nie był jeszcze w tej stronie pól.

Poza kratami jak uwięzione grono rycerzy, w plen wziętych, ciemniały drzewa. Łamały rozpaczliwymi liniami swe konary i wyciągały je ku niebu. Nad nimi niebo przybierało dziś złote tony jakby roztopiły się nagle przeogromne masy złota i zalały przestworza. Złoto wchłaniało nawet w siebie słońce i zalewało je blaskiem. I nie wiadomo już było, co jest tą światłością co było źródłem rozlewającym złoto dziwne i jakby nadzieja nad beznadziejnością tych równin płonące.

Adam poczuł dziś po raz pierwszy jakąś łagodność, jakieś sfolgowanie grozy i rozpaczy, która go martwością rzeczy opuszczonych a mściwych tu ogarniała.

Kładzie się po ugorach cichy smutek i rezygnacja?

Kto wie.

Adam wpatrzył się bezwiednie w aleję, która poza dzidami krat przez park na jakąś polankę prowadziła. Łączyły się nad tą ścieżką gałęzie lip i tworzyły sklepienie liści żółkłych i delikatnych. Tylko plamy złote od słonecznego blasku padały na ziemię, zarosła zszarzałą trawą, i złociły się jak topazy, osadzone w ścianach, pokrytych platyną kosztownej

trumny. Na tę zieleń, na te blaski leciały wolno liście o ognistych lub
bladych tonach, padały bez szelestu jak wielkie krople złotego deszczu.

W marzeniach moich widziałem to wszystko myśli Adam i tylko...
Lecz dech mu zamarł w piersiach.

Stanął i zmienił się cały we wzrok.

Po ścieżce tkanej topazami i patyną o veronesowskiej zieleni pod
baldachimem gałęzi na tle jasnym, ku kratom złożonym i zjedzonym rdzą
idzie kobieta.

Ma na sobie długą wełnianą suknię ciemnozielonej barwy i dwa pasma
czarnych włosów okalają jej twarz białości alabastru. Oczy ciemne mają
nieprzejrzane głębie ciemne rzęsy cień na nie rzucają. W liniach jej
postaci, w spojrzeniu, w zagarnianiu szatą liści tulących się jak ptaki
konające u jej stóp jest bezbrzeżna melancholia dusz cierpiących, jakby
ludzkość w niej zamykała księgę swoich smutków.

Chód jej był tej, która idzie ku mogilnym zachodom przesmutnego
obszaru ziemi.

I ręce jej opuszczone...

Te ręce w poczuciu zależności opadły ku dołowi...

Ręce, które mogą się wznosić tylko w górę rozpaczłą linią lecz nie walczą...

Te ręce kobiety o dwóch cieniach. I o samobójczej myśli.

Adam stoi, patrzy i widzi przed sobą złączenie swych myśli, wrażeń pragnień i lęku. Idzie ku niemu wysniona kasztelanka z jesiennego parku za koronką złożonych dzid.

Idzie ku niemu kobieta, której namiętność musi mieć omdlenie skupionych w sobie dusz.

Idzie ta, która pragnęła śmierci...

I która ma twarz trójkątną.

Twarz dziwną, okoloną pasmami czarnych włosów, które, zda się, z niej całą barwę wypłyły. Kobieta doszła do kraty i zatrzymała się. Powolnym ruchem podniosła ręce w górę. Spłynęły ku ziemi długie, ciemne draperie jej sukni.

I pozostała tak nieruchoma z rękami wysoko uczepionymi krat z twarzą przyłgniętą do rdzy zapatrzona w bezkres równi i w roztapiające się w bladej już powodzi słońce.

Adam całą siłą woli oderwał się od miejsca i powoli, okrążając park, zaczął iść ku dworowi.

W głowie jego zapanował chaos. Nie wiedział, czy była to rzeczywistość, czy tylko zjawy.

Koło stajen spotkał Tarajewicza.

Panna baronówna przyjechała! rzucił, przebiegając. Adam dochodził powoli do ganku.

Cofnąć się nie mógł.

Spotkali się u stopni ganku.

Spojrzała na niego pierwszej, nim uchylił kapelusza. Ogarnęła go taką głębią spojrzenia, iż Adam uczuł prawie ból fizyczny. Lecz już wzrok jej stawał się obojętny, kąciki ust układały się szablonowo.

Czuł, iż musi przedstawić się.

Jestem Walkiewicz.

Skinęła mu głową i wstąpiła milcząc na schody.

Tam koło oleandrów zatrzymała się i raz jeszcze spojrzała na niego.

Był to wzrok, jakim operator patrzy na chorego.

Nienawiść błysła.

Nienawiść kobiety do mężczyzny?

Wieczysta walka dwóch płci?

Czy tylko człowiek, nienawidzący człowieka? Lub istota silna, nienawidząca drugiej istoty, która posiadała tajemnicę jej chwilowej słabości ducha?

Spoza węgła pałacu wysunął się Rydzik. Szedł z dubeltówką pustymi trokami z drugiej strony pól i przechodzić musiał koło pałacu.

Dojrawszy baronównę, przyspieszył kroku. Bardzo pokornie zdjął kapelusz i pozdrowił ją niezgrabnie. Ona nie zdawała się go widzieć.

Wzrok jej stał się szklanym. Tylko coś pod skórą przebiegło, jakby nerwy zadrgały.

Rydzik przeszedł mając pozór psa obitego. Stulił głowę w ramiona, dubeltówkę ukrywał na piersiach. Adam w ruchu tego człowieka uczuł, iż cierpi. Odwrócił się i szybko za nim iść zaczął.

Panie Rydzik zawołał.

Lecz ten, gniewny spojrział na niego tak nieprzyjaźnie, iż Adam pozostał na miejscu.

Równocześnie posłyszał suchy trzask drzwi wchodowych.

Baronówna weszła do pałacu, weszła nieprzyjaźnie.

Rydzik się od niego odwracał.

Park cały był mu wrogim drzewa go nawet przytulić nie chciały.

I ogarnęła Adama tak bezbrzeżna melancholia jak bezbrzeżne zdały się równie tej Rusi, która dokoła niego pierś swą szarą, bezbarwną równią smutną rozciągała.

CZEŚĆ II

Tak, to jej córka myślał Adam, pochylony nad łóżkiem Rydzika i mierzący mu temperaturę.

Oczy jego mimo woli codziennie biegły ku tej twarzy kobiecej, jakby zawieszanej nad łóżkiem chorego.

Twarzy dziwnej fatalnej.

Ni to upiorzyca, ni to lampa, co czuwa niby u wezłowia, a płomień jej oświeca źle i nieprzyjaźnie.

A przecież w tych oczach tkwi smutek przeznaczeń, tak ostro zaznaczonych, że woli, aby wyłamać się spod nich, nie ma...

Przynajmniej Adam chce ten smutek dopatrzeć.

Kto wie...

Rydzik chory od dni kilku pokłada się. Wbrew zakazowi, porwał z kuchni pampuchy z serem i

kartoflami i zjadł ich kilka. Pogorszyło mu się. Podłoga cała zapluta.

Adam nie jest w stanie wytłumaczyć i uprosić, aby pluł w spluwaczkę. Z trudem znalazł dziewczkę, która wyszorowała podłogę i zmyła ją sublimatem. Rydzik skurczony na łóżku z ironią śledził tę pospieszną dezynfekcję. Gdy dziewczka skończyła swą pracę zebrał siły i plunął z całej siły na podłogę.

Czarnawy osad podobny do kawy nieomylny znak raka, rozpostarł się na deskach.

Dziewka stanęła, popatrzyła i z ust jej rozległ się potok przekleństw, wyzioniętych piskliwym głosem.

Na te przekleństwa odpowiedział Rydzik chrapliwie jeszcze straszniejszą serią życzeń i zakończył je ponownym triumfalnym plunięciem.

Dziewka zabrała swe ścierki i kubły, groźnie błyskając małymi, szarymi oczkami.

Lecz we drzwiach ukazał się Adam i nakazał jej milczenie.

Cicho bądź... on chory. Dziewka pociągnęła na nos chustkę.

Chory... bo się nażarł.

I wyszła z łoskotem, waląc kubłami o drzwi i otwierając je nogą. Adam, prawie zniechęcony, zbliżył się do łóżka, na którym w brudnej kratkowanej koszuli leżał Rydzik.

Proszę zmierzyć temperaturę! wyrzekł, podając termometr. O, jakże chętnie byłby usiadł przy tym człowieku przemówił do niego z głębin swej najlepszej istoty wprowadził go powoli w świat pięknej, przedśmiertnej rezygnacji.

Lecz dość było spojrzeć na tę twarz wroga, w której cała potęga chorego i zamożnego siłaczachłopa biła jadem z pamiętnych i pooranych pazurami bólu rysów, aby zrozumieć, że chwila ta nie nadeszła i kto wie, czy nadejść może.

Na poduszki opadł leżał nieruchomy siny szary w oświetleniu poranka. Adam, który tułał się od chwili przybycia do tego domu między rzeczami o wrogich i smutnych podstawach zaczynał czuć fizycznie jakby

cierpienie na myśl, że tyle jakiegoś bólu, nieporozumienia
nagromadzonego jest w tej ciasnej przestrzeni i tłoczy tak życie ludzkie.
Najbliższy mu był Rydzik, gdyż obowiązek kazał mu się nim zajmować.
Nie wiem, jak wielką była doza jego szczęścia w życiu myśli, patrząc na
twarz prawie marwą i

od bólu ściągniętą to widzę przecież, iż ten człowiek jest najzupełniej
nieprzygotowany na to, co go jeszcze czeka...

I zaraz przychodzi pragnienie:

Ach! gdyby pozwolił się przygotować!

Adam nie szydzi z samego siebie w autokratycznych chwilach. I to mu
dopomaga do szczerych i trwałych postanowień. Sonduje się, sądzi lecz i
dla siebie ma miarę dobroci, która cechuje jego charakter.

I swoją duszę chciałby uczynić mniej smutną, gdy przyjdzie nań
zwątpienie, czy dobrze uczynił. Przez to różni się od przeciętnych ludzi,
którzy z taką furią i nienawiścią sami na siebie się rzucają.

Bo stało się modne teraz ostrzyć ironiczny jad nienawiści przede
wszystkim na samym sobie.

Modne.

Nienawiść, którą zioną jedni ludzie ku drugim kształcą na własnych „ja”.

Nienawidzę wszystkich zacząwszy od siebie.

I nigdy pobłażliwości, nigdy współczucia, nigdy sprawiedliwej miary.
Czyny wszystkie przez sito nienawiści, linie ciała i postępów, każda myśl
jeszcze nie sformułowana, wysmagana bez litości.
I nasze „ja”, nieśmiałe, skrzywdzone powoli staje się niezdolne do
pięknych objawów, lotnych i śmiałych.
Lęka się codziennej chłosty, ciągłej szpicruty, przecinającej dech,
świszczącej nieprzychylnością.
Bez buntu nawet ulega.
I wstydzi się potem nawet sięgnąć w region dobra, choćby lekkomyślnego,
i odruchów, nie zważonych na wadze rozsądku. Wlecze się, nie wzlata.
Ma pozór ptaka, któremu złośliwy a brzydki chłopak podciął skrzydła.
Szczególniej tak gnębią siebie... młodzi.
I zgnębiwszy nienawidzą milczącą ofiarę, którą za sobą wloką.
Znienawidziwszy pozbyć się jej pragną.
Przychodzi księżycowa noc.
Grają nerwy.

Chwyta się pistolet.

Na ziemię usuwa się trup.

Częściej całe życie wlecze się tak znienawidzone „ja” czyjeś i zajmuje miejsce, ku ziemi ciążąc. Takie biedne, sponiewierane „ja”.

Adam tego nie miał od dziecka.

Wyrósł wśród ziół, traw, pól.

A były mu tym wdzięczne i przyjazne, rosnąc koło małej plebanijki wieńcem w obramowaniu wzgórz.

Śmiały się doń lipy pachnące i strząsały swe białe kwiecie, mówiąc dziecku:

Patrz! jesteśmy piękne i dobre. Piękne i wspaniałe... dajemy woń, dajemy miód.

A macierzanka pod drobne nóżki dziecka się słała i szeptała z cicha:

Jestem miła i wonna ametyst nie jest w barwie piękniejszy, a woń moja orzeźwia i sił dodaje.

Pomiędzy zielenią łąk rwał się Dunajec, nad którym skakały po kamieniach małe śliczne ptaszki. I fale szemrały:

Srebrne jesteśmy srebrne, jak połysk ciała rusałki a w nas cały świat żyje i niesiemy go z gór w morską dal. Otulamy go sobą życie mu dajemy...

Nad nami słońce, a w nas tęcza...

Chłopiec błędził wśród tych śmiejących się i radych z siebie szeptów. I powtarzał bezwiednie:

Nade mną słońce we mnie tęcza.

Wyrósł z tym szmerem w duszy. Z przyrody, która mu była jakby matką, wziął jej melancholię srebrną i roz tęsknienia mgieł rannych. Smutny był lecz nie miał w sobie nienawiści ani jadu. Nie był sobie wrogiem przeciwnie, uważał siebie za swego nierozłącznego przyjaciela, którego chciał upiększyć i ulepszyć w jego brakach. Nie zniechęcał się chłostą ironii, lecz szukał przyczyn, dlaczego tak a nie inaczej.

Nie był więc modnym.

Lecz był za to na wskroś dobrym dla wszystkich, zacząwszy od siebie samego.

Pochylił się nad Rydzikiem.

Niech pan pozwoli...

Poprawił mu pościel. Czynił to nie jak człowiek, któremu za to płać, ale jak człowiek, który ma ten gest w sobie. Ręką wyczuł pod prześcieradłem jakieś drewno.

Na czym pan leży? Rydzik się zachnął.

To moja rzecz.

Na czym pan leży? Proszę powiedzieć, ja pana nie wydam. Milczenie.

Dlaczego mi pan nie wierzy? Ja przecież wiem i bez pańskiego powiedzenia: pan zabrał ze sobą dubeltówkę do łóżka, bo się pan boi, żeby jej panu nie odebrali.

Rydzika aż podniosło.

A gdyby, to i co? warknął.

Przede wszystkim proszę o spokój o... widzi pan już pana porywa.

Z ust Rydzika pociekła ciemnobrunatna ciecz.

A gdyby... dławił się to przecie moje ona mi darowała!...

Wskazał oczami na fotografię kobiety o trójkątnej twarzy.

Darowała!...

I nie dam... zabiję, a nie dam!

Padł na poduszki Adam otarł mu brodę i pierś. Podał mu parę kropel morfiny.

Niech pan to weźmie. Rydzik rękę jego odtrącił.

Won! krzyknął! nie chcę!... Strujecie mnie. Ja was znam. Ja zawadzam.

Rydzik próchno... Rydzika usunąć!... Co? Co?...

Nie miał sił się podnieść. Straszny był oczyma zakrwawionymi Adama przebijał.

Dużo ci za to zapłacą? Co?... Adam morfinę mu wciąż podawał.

Niech no pan to weźmie.

Won!...

Adam usunął się w kąt izby, lecz nie odchodził tak, jak to uczynił po raz pierwszy, gdy go Rydzik z izby wyganiał.

Jak on cierpi... myślał jak on cierpi podwójnie... a ja nic dla niego nie mogę...

Rydzik tymczasem bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa.

Wiśka...smerda... szelma, jak innio... uczyłem jeździć... powozić szelma.
Nie zna... wszyscy kopnąć... po co? Ścierwa...
W sieniach zachrobotąło.
Rydzik porwał się z pościeli rękami drżącymi dubeltówkę pod
prześcieradło zwleczoną zasłaniał.
Nie dam...
Na progu stanął Tarajewicz.
Po izbie się obejrzał.
Rydzik z wysuniętą naprzód szczęką czekał, dysząc ciężko.
Adam się wysunął na środek izby.
Pan tu po co? zapytał Tarajewicza. Rządca brwi zmarszczył.
Jednej dubeltówki brak... muszę mieć pod rachunek. Może jutro pan
Toczyski zechce polować...
Nie dam! ryknął nagle Rydzik.
Proszę pana stąd wyjść rzekł stanowczo Adam pan drażni chorego...
To jest dobro pani baronowej, ja muszę pilnować.

I znów ryk:

Nie dam!...

Adam zmusza Tarajewicza do wyjścia i sam z nim wychodzi.

Na Boga, jak wy z tym człowiekiem postępujecie! Dlaczego mu nie dacie spokojnie żyć?

Nikt mu nic złego nie robi. On sam jest nieusłuchany i dokazuje... Panna baronówna, jak zobaczy brak w strzelbach, to się będzie gniewać.

Ale pani baronowa, jak się dowie, że jej mąż nie ma należytego spokoju, będzie się jeszcze więcej gniewać.

Nieokreślony uśmiech przeleciał po twarzy Tarajewicza.

Ech!... machnął ręką.

Ja będę zmuszony zawiadomić.

Ja zaś muszę pańskiego dobra strzec. Adam szalenie się zniecierpliwił.

Proszę mnie tę sprawę zostawić, ja się zobaczę z baronówną.

Ha... skoro tak.

Tak.

Tarajewicz ku budynkom folwarcznym odszedł. Adam powrócił na chwilę do Rydzika.

Proszę się uspokoić wyrzekł ja zrobię to, aby panu strzelbę zostawiono.

No... to dobrze. Bo ja nie oddam, żebym miał ich wszystkich

powystrzelać. Ja z koromysłem na polowanie chodzić nie będę. Niech pan to tej ścierwoskiej Wiśce powie...

Adam ku fotografii oczami pobłądził.

To... matka tamtej, która się zabić chciała przemknęło mu przez myśl. Cała scena na ulicy, to usunięcie się w ciemny zaułek, jej spojrzenie, łzy i potem ucieczka stanęły przed nim z taką, jak nigdy, dokładnością.

Zabić się chciała! myślał, idąc ku dworowi.

Przeszło tydzień mieszkał z tą dziewczyną pod jednym dachem, a czuł się tak sam, jak poprzednio.

Nic nie zaznaczyło, że oprócz niego w tym domu jest jeszcze jedna młodość świeża, bujna, żywa. Czasem przemknęła się pokojowa w ciemnym fartuchu, czasem przeszedł Tarajewicz, lub poniesiono z kuchni tacę nakrytą serwetą. Raz dziewczka zbierała bratki, które rosły na zapomnianej grządce wokoło werandy i poniosła je w głąb domu. To było wszystko.

Tylko wieczorem z dwóch okien lewego skrzydła padała smuga światła i drżała na grządkach bratków, na piasku ścieżki. Smuga tego światła była dyskretna i delikatnie stonowana przez zapuszczoną roletę z białego płótna.

Adam widział tę smugę i przyzwyczał się łatwo do niej. W pierwszych dniach niepokoiło go. Teraz była martwa i zdawało się, że w tym świetle nie żyje chyba nikt, nie porusza się nikt... nie myśli nikt...

Adamowi ta kobieta stawała się równie niewidzialną, niedostępną, jak tamta na fotografii, nad łóżkiem swego mężaparobka.

Tak długo w niepewności mieszał razem obie tak długo mu były jedną, że teraz, choć wiedział, że jest ich dwie że jedna z nich jest blisko to przecież tak mu znikła, tak stała się dlań daleką, iż bliższą mu była ta

„matka”, którą widywał codziennie w czarnych mgłach, i czyny jej otaczały go nieubłaganym szeregiem faktów fatalnych i strasznych.

Wiśka... Wiśka... brzmiało mu teraz w uszach ścierwoska Wiśka... Sponiewierane, oplute widmo spoza złoconych krat parku. Doszedł do domu i zatrzymał się. Jakże mu się z nią zobaczyć? Teraz odbiegła go odwaga. Zdawało mu się, że popełnił względem baronówny jakiś czyn zły i teraz nie śmie spojrzeć jej w oczy.

Nie pójdę do niej... czekać będę może wyjdzie do parku. Usiadł na białej ławce, która stała niedaleko ganku. Patrzył na brzozy nasłuchiwał. Na próżno nie wyszła.

Doznawał zdenerwowania. Tłumaczył sobie, że to jedynie dlatego, iż głupia sprawa ze strzelbą przedłuża się niepotrzebnie i że Rydzik niepokoi się i szkodzi w ten sposób swemu zdrowiu.

Nadeszło południe.

Minęło słońce ciągle złotem zalewało park. Z kuchni zaniesiono do pokoju Adama obiad na tacy. Dziewka w chustce na głowie przemknęła, mówiąc:

Proszę na obiad!

Adam wszedł do domu i jedząc patrzył ciągle w okno.

Niepotrzebnie wmieszałem się w tę sprawę pomyślał wnosi mi to jakiś niepokój duchowy. Należało Tarajewicza zgromić, ale ją zostawić na boku.

Po obiedzie wziął książkę i znów wyszedł przed dom. Nie mógł jednak czytać.

Myślał o... Wiśce i o jej dwóch cieniach.

Czy ona mnie poznała?... Musiała poznać. Tam w Filharmonii przeszła mnie takim samym spojrzeniem, jak w owym zaułku. To samo tu, na ganku... Zresztą w takiej chwili wszystkie wrażenia odczuwają się podwójnie silnie więc i to...

Poznała mnie, nienawidzi czy ma wdzięczność za to, co uczyniłem?
Nie wiem już nie wiem nic.

I nagle zupełnie niespodziewanie otwarły się drzwi ganku i coś białego wionęło na ścieżkę, bramującą dokoła klomb środkowy. Adam zerwał się i patrzył zdumiony.

Ależ... pomyślał natychmiast to nie była ona... tamta, która umrzeć chciała...

Złotobłond ścieżką szła lekka i zwinnie smukła dziewczyna w białej sukni z lekkiego fularu.

Wolna, plisowana bluzka spadała na pasek ze złotego galonu. Spod paska rozplywały się ku ziemi drobne fałdeczki spódnicy, która rozwiewała się delikatnie i powiewnie, jak szaty Botticellovskich dziewic na freskach w paryskim Luwrze.

Włosy, odrzucone z czoła, zebrane u góry w modną fryzurę, odsłaniały szyję, równie piękną, i śliczne, zgrabne, prawie dziecięce uszy, ozdobione perłą.

Ogromny urok, czar młodości aż wiał z tej postaci i z oczów ciemnych, tryskających jakby światłem,

a patrzących z nadzwyczajną śmiałością prosto w słońce.

Była to „ścierwoska Wiśka”...

Na łańcuszku przetykanym perłami zwisał cały pęk breloków. Dzwoniło to, brzęczało miluchno. Baronówna miała na ramiona zarzucony prześliczny, jasnozielony szal w złote hafty. Zieleń ta odbijała przepysznie od bieli fularu. Wszystko to razem było eleganckie, kunsztowne, miłe dla oka powabne i wesołe.

A tak „wesołe”, że ów tramwaj huczący daleko na ulicy miasta i te dwa cienie, biegnące za samobójczynią, zdawały się śmieszne, dziwne... nieprawdopodobne.

Nie ona... nie ona... aż zawrzało w piersi Adama. Dziewczyna dokoła klombu krąży pod rezedami zapóźnionymi, na które jesienne liście padają.

Krąży w słońce patrzy. Raz przelotnie spojrzała na Adama. Nie zdążył ukłonić się. Wiśka już gdzieś oczami pobiegła.

Ku słońcu.

Adam stara się powrócić do równowagi i zaczyna iść ku niej pośpiesznym krokiem. Jakby chciał dogonić swą stanowczość, która przed nim pierzcha.

Pani pozwoli...

Zatrzymała się z podniesioną ręką, z której spływa zieleń szala. Patrzy na niego, oczy mruży banalnie. To go otrzeźwia.

Pan sobie życzy?...

Przede wszystkim przepraszam, iż panią zajmuję. Jest to jednak mój obowiązek. Dotyczy to mego pacjenta...

Nic nie zdoła opisać zmiany, jaka zaszła w twarzy baronówny. Postarzała się w jednej chwili. Jakiś skurcz zacisnął jej szczęki.

To do mnie nie należy wyrzekła sucho. Lecz Adam drogę jej zastąpił.

Przeciwnie odparł rzecz cała od pani zawisła. Będę zwięzły. Chodzi o strzelbę... mój pacjent chce polować nie ma dubeltówki wziął jedną z wiszących bezużytecznie na ścianie pałacu... Obecnie każą mu ją oddać.

Wiśka spojrzała spod brwi ściągniętych.

Spodziewam się! wyrzekła.

To drażni mego pacjenta.

!!!

Tak... Jest on bardzo chory. Nie należy go rozdrażniać. Proszę mu strzelbę zostawić.

Wiśka przez chwilę milczała wreszcie, z nieokreśloną ironią patrząc ostro na Adama, rzuciła:

Zdawało mi się, że pan jest doktorem.

Jeszcze nim nie jestem. Ale wypełniam tu jego funkcje.

Mniejsza o subtelności. Dubeltówki do środków leczniczych nie należą. Przeto muszą być w porządku i służba nie ma do nich prawa.

Powtarzam, że to mój pacjent wziął strzelbę...

A ja powtarzam służba.

Padło to słowo i w jednej chwili rozjaśniło sytuację. Dla baronówny mąż jej matki pozostał zawsze sługą niczym więcej.

Adama owikłał w tej chwili dramat, stworzony wolą, zda się, i chęcią ludzką. Nie chcieli uznać się wzajemnie, nie chcieli przyznać sobie praw, lecz wysuwali pazury i radzi wyszarpywali ze swego istnienia po kawałku ociekniętego krwią barłogu.

Wiśka szarpała białymi rękami ten barłóg nędzny, na który wdrapał się Rydzik. Z tego zajęcia utworzyła w sobie w tej chwili punkt środkowy czynów i myśli. Gdy tak stała w słońcu, śliczna, młoda, wonna zapomniała o przepychu jesiennego czaru, o kryształach przestrzeni, o barwach i jaśni swej własnej cudnej linii tanagryjskiej figurki, o liniach rąk, o płaszczu włosów zapomniała o tym, że wykwitła na świat, aby dusza jej rozjaśniła horyzonty moralne, a ciało niosło pięknem swoim uroki i czary rozpachnionych łąk zapomniała o wszystkim. I ogarnęło ją drobne, zaciśnięte koło czynienia przykrości drugiej, zależnej istocie. Fala ludzkich punktów widzenia.

Ludzkich...

Lecz z jakim podkładem?

Ach, zwarte koło drobnych strzał, maczanych w jadzie naszych dusz.

Gdyby nie było zapotrzebowania tego jadu przestałby zatruwać ściekiem swym nas samych.

Ten jad...

Na drugich trucizna mijających bezpowrotnie chwil.

Trucizna rzuconych strzał.

Przez nas... w drugich nas!...

O nic panią nie proszę, tylko o wstrzymanie egzekucji mówi Adam za parę dni strzelba wisieć będzie na tym samym miejscu.

Wiśkę jakby podrażnił ten ton łagodnego spokoju, jakim do niej Adam mówi.

Proszę pana mnie tym nie niepokoić. Postąpię tak, jak uznam za właściwe. Panu radzę także tym się nie zajmować. To są sprawy... oficyn! Skinęła mu głową i chce odejść.

Lecz on nagle czuje, iż dla jej dobra powinien od razu wyjaśnić całą sytuację.

To są sprawy pani ojczyrna!...

Cofnęła się. Jakiś niepokój przemknął po jej twarzy. Ostro zuchwale spojrzała mu w oczy.

Odnalazł ją w tej chwili taką jak w sali Filharmonii gdy z nienawiścią rzuciła mu w twarz spojrzenie istoty wściekłej za to, iż ktoś ośmielił się wdrzeć w tajemnię jej duszy.

I ręką uczyniła ten sam gest, którym w zaułku po zamachu samobójczym odsunęła go od siebie.

Bez słowa odeszła w głąb parku.

Adam patrzył na nią cały zajęty jedną myślą.

To ona!... ona!... poznałem ją znowu. Jej gest, jej spojrzenie... Zwrócił się do oficyn. Idąc, starał się uporządkować doznane wrażenia.

Obraziłem ją...

Trudno, niech wie, że ja Rydzika bądź co bądź uznaję za jej ojczyma.

Może to zbudzi w niej jakąś niepokojącą myśl... może...

Postanowił przecież zakończyć głupią sprawę ze strzelbą. Chciał, aby przyczyna znikła i tylko sam czyn pozostał. W dziedzinie abstrakcji ten czyn nabiera większej wagi i piękniejszej formy, niż marna walka o dubeltówkę.

Rydzik leżał z oczyma otwartymi. Dokoła niego pełno było płwocin.

Zdawał się ciągle coś żuć w zębach. Gdy Adam wszedł, nie poruszył się

nawet.

Ja do pana z propozycją zaczął Adam łagodnie napiszę do wuja, aby mi zaraz przysłał dubeltówkę, którą od niego dostałem, dam ją panu. Pan tymczasem niech odda tę dubeltówkę z pałacu co?...

Rydzik milczał chwilę, wreszcie wyrzucił:

Nie chyci.

Skoro panu mówię, że moja dubeltówka lepsza...

Nie chyci!

I że ją panu dam pod słowem honoru.

Nie chyci...

Nagle Rydzik dźwignął się na łóżku.

Gdzie pan idzie? Proszę leżeć.

Idę polować!

Drżącymi rękami wdziawał na siebie odzienie.

O!... ścierwajuz mnie chowają. O!... widziciea ja będę strzelać, co zechcę... a kto mi w drogę wejdzie, to i jego w łeb!... jak Boga kocham w łeb...

Machnął kołdrą uderzył rogiem fotografię baronowej.

Psia krew morowa! zaklął, spojrzawszy w tę stronę. Adam spojrział przez okno.

Koło kuchni stał Tarajewicz i rozmawiał z Żydem, który pocztę przywiózł.

Już Rydzik za próg trzymając dubeltówkę w garści wychodził.

Widoczne było, iż całą siłą woli powściągał ból i prostował się, aby „cholerom” nie dać się zjeść!

Było coś tragicznego w tym usiłowaniu, i Adam idąc za nim czuł nerwami ten wysiłek, jaki Rydzik musiał sobie zadawać.

Tarajewicz dojrzał go; puścił się pędem.

A o!... zawołał proszę oddać... panna baronówna kazała. Rydzik stanął.

Rysy twarzy zaostrzyły się. Silnie nogi wbił w ziemię.

Pomsta na was wszystkich!... ryknął.

O!... jaka to choroba... śmiał się Tarajewicz widzi sam pan doktor!...

Adam chciał pomiędzy nimi stanąć, gdy nagle strzał padł. Kula poszła światami ale strzał padł.

Zabijać teraz będzie! krzyknął Tarajewicz.

Lecz widział dobrze, iż Rydzik w powietrze dla ostrzeżenia widocznie strzelił.

Więc zejście mu z drogi zawołał Adam.

Rydzik już w pole szedł. Koścista jego sylwetka rysowała się silnie na złotym zachodzie.

Tarajewicz ręce łamał.

A to... a to... zaczął. Do czego to doszło! Jak się to rozzuchwalił. Ja dziś piszę do pani baronowej, że służbę rzucam. Nie będę życia ryzykował. A toć on nam wszystkim w łby postrzela...

Sami jesteście temu winni.

My?...

Tak.

No, no... A cóż mu za krzywda? Daje mu się jeść, pić. Ma doktorów przy sobie, tak, jak miał pan baron nieboszczyk. Tfu!... obraza boska.

On jest bardzo chory.

E! proszę pana doktora, każdy będzie tak chory, jak się obeżre. A to, z przeproszeniem, nie jadł, ale żarł na dwa stoły. Pani baronowa go karmiła delikatesami, a on potem szedł i czeladzkie jedzenie

opychał... On zresztą tak samo i z czym innym robił. W pałacu pani sama... a w kuchni byle pomyjak... et!... Zazdrość wykrzywiła mu usta.

I to zawsze szczęście padnie na takie coś... Adam smutno na Tarajewicza patrzył.

I dlatego się na nim mścicie...

Że?...

Że to nie wy. Tarajewicz się zmieszał.

O! także coś... ani mi to w głowie. A jej!... zresztą... gdybym był chciał... Spostrzegł się, że powiedział za wiele.

Zresztą... ja do pani baronowej napiszę i za służbę podziękuję dodał pośpiesznie.

Odszedł.

Adam powoli śladem Rydzika podążył.

Mimo woli ten „mąż pani baronowej” zaczynał mu być prawie sympatycznym. Czuł w nim duży ból i wiązać go z nim zaczynała nie sama anegdota jego dziwnych losów.

Pod lasem pastuch jakiś zapalił perz. Czarne bryły delikatne a płomienne żarzyły się na piasku. Dym

rozwiewał się w fantastyczne figury i okręcał w liry powyginane sosny. Rydzika nigdzie widać nie było.

Adam błądził wśród badyli. Natrafił na zdechłego chomiczka, który leżał z łapkami w krzyż złożonymi, z pyszczkiem zwróconym ku niebu.

Podniósł go i patrzył długo na tę małą martwą istotkę.

Byłeś i ty pełen nienawiści dla tych, którzy, jak ty, żyć pragną? pomyślał ze smutkiem.

Ściemniało się na ziemi podczas gdy horyzont dziwnym kontrastem rozpływać się zdawał w złotawej jasności.

Gdzie poszedł ten wyróżniony i na dno zepchnięty?...

Adam wydostał się wreszcie na równą zieloną łąkę, obramowaną z trzech stron lasem. Z daleka zdawało mu się, iż dostrzega wyszłego z lasu rogacza i dwie sarny, które nieruchomo stały na tle zieleni, jakby nasłuchując.

Może Rydzik jest tu na zasadzce! pomyślał. Nie pójdę dalej gotów strzelić.

Nie dokończył tej myśli, a wzrok jego padł na jakąś szarą masę, leżącą wśród traw na skraju lasu.

Był to Rydzik. Leżał bezprzytomny z ręką wyciągniętą. Trzymał w niej dubeltówkę. Widocznie idąc padł i nie miał siły się podnieść. Adam ku niemu poskoczył. Szybko zbadał jego stan. Było omdlenie. Plwociny ciekły mu po brodzie z ust wykrzywionych. Adam ułożył go wygodniej i do dworu szybko pobiegł. Zarządził nosze na prędcie z prześcieradeł i dragów. Z trudem zebrał ludzi do przeniesienia chorego. Gdy wreszcie na miejsce przyszli, Rydzik leżał ciągle nieruchomo, ale lżej oddychał. Próbował bronić się, gdy mu Adam strzelbę z rąk odbierał, lecz sił mu nie stało. Adam strzelbę za noszami sam poniósł.

Gdy przechodzili powoli ku oficynom z parku wracała Wiśka.

Szła wolno otulona zielonym szalem, jakby zziębnięta. Widząc niosących nosze ludzi, zatrzymała się, nie rozumiejąc. Widok Adama wytłumaczył jej wszystko. Wyprostowała się brzydko wydeła wargi. Szybko weszła na stopnie i zniknęła w głębi domu.

Adam po ułożeniu chorego Hańkę przechodzącą przez dziedziniec zawołał.

Odnieś to pannie! wyrzekł, podając dziewczce dubeltówkę.
Zrobił to umyślnie, chcąc zakończyć tę sprawę, lecz uwidocznic i
uwypuklic czyn.
Dziewka poszła i za chwile wróciła bez strzelby.
Miał ochotę zapytac co panna powiedziala! Powstrzymał się jednak.
I ogarnął go jakis niepokój. Dlaczego chciał wiedziec, jakie to na niej
wrażenie zrobilo?
Co mu bylo do tego?
To juz był łańcuch wiążący jego samego z tą kobietą. A tu przecież szło
jedynie o... czyn.
I czyn ten sam powinien dzialac za siebie, wycofując jego z linii dzialania.
Gdy Adam wszedł do pałacu, aby zabrac to, co mu bylo potrzebne do
spędzenia nocy przy Rydziku, rzucil wzrokiem na szereg strzelb
wiszących w przedsionku. Byly juz wszystkie na miejscu. Żadna szczerba
nie świeciła na tle makaty. Baronówna kazala dziewczce zawiesic zdobytą
dubeltówkę na dawnym haku.

A może zawiesila sama.
I Adam z jakas nieokreślona przykrością wyobrazil sobie te delikatne ręce,
migocące wzduż ściany triumfalnie...

Takie to było małe, żadne w porównaniu z ich wielką pięknnością i z dobrocią, jaką siał mogły.
Te dwie białe, kobiece ręce...

Nie podpatrywał, nie chciał nic widzieć, a przecież raz, wieczorem jakby coś mu się zamajaczyło. Wyszedł przed oficynę, aby zaczerpnąć trochę powietrza. Piątą już noc spędzał przy Rydziku. Choroba nagle się posunęła. Rak zdeklarował się zupełnie. Adam, patrząc na Rydzika, coraz częściej doznawał wrażenia:

Ziemia i krew...

Mściły się obie potęgiżrac tych, którzy je żarli tocząc tych, którzy im łono pruli.

Takie myśli opadły Adama, gdy stoi w noc księżycową przed oficynką. Oparł się plecami o ścianę i patrzy. Roztęskniło się w nim serce pod tragicznością przeznaczeń codziennych.

Z ziemi zrodzony ten chłop, ten Rydzik do ziemi lgnął... i dziś ziemia mu katem.

Jeżeli...

Bo kto z nas coś stale twierdzić może?

Przypomniał mu się bardzo stary profesor, który mówił do nich z nieopisaną melancholią:

Panowie! Całe życie starałem się dowiedzieć... i dziś, pamiętajcie, co wam mówię ja nic nie wiem!

Uczciwy głos z głębi duszy, która przyznaje się przed sobą do próżnych wysiłków.

Uczciwy głos.

Więc i tu nic, nic. Jedynie tylko to, co z serca nabrać możemy i sercem w drugich cierpiących wlać...

Aby spokojnie odeszli.

Nic więcej?

Dla drugich, a... dla siebie?

Wzrok Adama ku białej smudze światła, padającego z okien Wiśki biegnie.

Dlaczego właśnie tam?

Nie wie, dość że biegnie.

W oknach światło ta smuga wpływa w błękit księżycowego blasku.

Pomyśleć... że i tamta cierpi, bo pod stopy mi niemal padła owej strasznej nocy, śmierci pragnąc...

I zrozumieć nie chce innego bólu...

A przecież sama musi przechodzić jakąś przeogromną mękę... Nagle od lasu leciuchny turkot.

Jakiś lekki powozik sunie jak widmo w tumanach mgiełki polnej.

Zatrzymuje się daleko od dworu i jakby czeka.

Cały ten powozik ma pozór widma.

Jakaś postać męska snuje się otulona długim, jasnym płaszczem.

Dlaczego dalej nie jadą? myśli Adam.
W oknach baronówny przemknął się cień. Chwilka ciszy. Skrzypnęły lekko drzwi wejściowe. Potem

po stopniach, wśród koronki oleandrowych gałęzi zbiega Wiśka...
Adam poznaje ją dokładnie, choć i ona ma pozór widma. Odziana w jasny płaszcz kapturek podniesiony na włosy. Zanurza się lekko w srebro księżycowego światła jak w topiel lazururową.
I wypływa na srebro drogi.
Adam widzi ją, jak biegnie szybko w stronę oczekującego widmapowozu. Łączy się z jasną postacią męską, wskakuje do powozu i za chwilę znów leciuchny turkot...
Widmopowozik znika w mgle polnej.
Adama przejęło dziwne, nieokreślone zimno. Nagle wychłócił ciałem i duszą.
Dlaczego nie miałyby poruszać się jak człowiek żywy, skoro żyje?
I jakaś gorycz wypełnia serce Adama.
Dlaczego teraz pełna siły i życia wionęła od niego z daleka nie wie nawet, że on istnieje? Czy tylko jedynie wtedy łzami zalana mogła się zabłąkać razem ze swymi cieniami na jego drogę?
Cisza panuje dokoła.
Tylko gdzieś daleko ujada jakiś pies porywa się i ustaje.

Adamowi jednak zdaje się, że ciągle słyszy turkot leciuchny na drodze.
Pojechała w mleczną białość równi...

Z kim?

Mniejsza, co mu do tego? Dość, że pojechała. I nagle pałac wydał mu się dziwnie samotnym.

Czyż wypełniała go tak swoją obecnością ona, której dostrzec nie można było dniami całymi?

I teraz snuje się po równinach dokoła, zakreśla koła rozwiewa się we mgle.

Adam wyrwał się z tej zadumy, w którą jakby w jar zapadał i do chaty powrócił.

Usiadł opodal łóżka Rydzika.

Lecz z nim powróciła razem myśl o zbiegłej w mgłę dziewczynie.

Ogarnęła go jakby niewidzialnym welonem i wtuliła się w każdy jego nerw. Oprócz niej jeszcze było coś więcej, coś bardziej silnego była to matka, która zdawała się błądzić zawsze po tej izbie, snuć w długich szatach rozwianych i luźnych.

One obie... obie...

Rydzik nie spał. Adam uczył jego szklany wzrok utkwiony w przestrzeń.
Ponad nim trójkątna twarz

bielała z pasem czarnych włosów. Adam chciał się otrząsnąć z jakiegoś czaru, który go jakby chwytał, jakby nalatywał nieproszony.

Pan nie śpi? zapytał półgłosem.

Rydzik zdawał się dopiero teraz budzić zupełnie.

Nie! odparł chrapliwie.

To nie było przecież jakieś różne od zwykłych powiedzeń chorego. Coś tam uratowało w tę noc księżycową, coś z tęsknoty chłopskiej, co spać po chałupach nie daje, na siano wypędza albo przed próg...

Adama opanowało zuchwałe pragnienie.

O czym pan myśli, panie Rydzik? pyta. Milczenie.

Może tęskni pan... Urywa.

Chce się go spytać po prostu, bez omówień.

Może ty, mężu, tęsknisz za swoją żoną pragniesz ją zobaczyć w przeczuciu śmierci. To przecież naturalne.

A w naturalności swej monstrualne.

Zapytać tego parobka, wciśniętego w barłóg na książęcym łożu czy tęskni za tą z mgieł wypływającą kobietą która może teraz o księżycowej nocy wonna, smukła opływa jakąś przestrzeń duchową i materialną swoją istotą, opływa...

Jak tamta, jak Wiśka.

Nie nie można się o to pytać.

I dlatego zapada znów milczenie.

Nagle Rydzik ściszone głosem pyta:

Proszę pana doktora...

?...

Czy ja... prędko... będę zdrowy?

Ile razy on już słyszał to pytanie ile razy na nie odpowiadał wieczystym kłamstwem jałmużną w trumnę rzuconą!

I zawsze serce mu się ściska.

. Jakby ktoś kazał mu być Pierrotem i schwyciwszy gitarę, skakać po grobach, śpiewając:

Nie dla was grób!...

Dziś przecież nie umie czegoś, nie może. Milczy. Szuka słów, aby skorzystać z tego otwarcia się jakby wiecznie zamkniętych podwoi duszy Rydzika.

Czy koniecznie pragniecie tak długo żyć? pyta wreszcie czy spodziewacie się jeszcze wiele radości, że tak dążycie do wyzdrowienia?... Rydzik unosi się na poduszkach.

Jakże to? Jakże to? bełkoce zmienionym głosem. Adam uspokaja go skinieniem ręki.

Nie lękajcie się polepszy się wam. Ja tak tylko pytam. Ot niby, że wszyscy musimy umierać. I wy, i ja...

Ręka Rydzika konwulsyjnie szarpie koszulę na piersiach.

Ale ja nie chcę! Nie chcę!...

Ach Rydzik nic wam to nie pomoże.

Pan jest od tego doktor.
Czy sądzicie, że doktorzy nie umierają?

Bo są durnie... ja... żebym się tak w chorobach gmerał, to bym przecież coś na śmierć wynalazł... No to bym zrobił majątek... Wszyscy by mi płacili bogactwami za to, żeby nie umierali... A jakże!

Adam wzruszył ramionami.

Nie, Rydzik nie. Byliby tacy, którzy płaciliby wam właśnie za., śmierć.
!!!

Tak. Ci, którym źle na świecie, którzy mają życia dość.

E!... takich nie ma.

Adama ogarnął przestroch na myśl, jak szalenie silne przywiązanie do życia wiąże tego człowieka ze światem zewnętrznym.

Przed tym trzeba śmierć zasłaniać! pomyślał zbyt ciężka byłaby walka. Niech napadnie go nagle i powali...

Jak jałmużnik więzienny, który sobą zasłania gilotynę skazanemu, tak on musiał twarz swoją układać odpowiednio. I twarz, i słowa. Więc powstał szybko i prawie wesoło zbliżył się do łóżka.

No... a teraz weźmiecie krople i spać, aby jutro mieć siły. Rydzik go za rękaw przytrzymał.

Panie doktorze!... zaczął cichutko ona strzelbę wzięła, co?...

Tak. Strzelba wisi na dawnym miejscu, dostaniecie nową. .

Od kogo?...

To mniejsza.

Bo... tamta mi nie przyśle... Oczami ku fotografii rzucił.

Skąd wiecie? Gdybyście napisali.

Jakiś wyraz jakby upokorzenia przemknął po twarzy Rydzika.

Gdzież pisać?... nie wiem, gdzie jest. A potem ona nie chce, żebym do niej pisał. Gniewa się.

To ja za was napiszę.

Nie, nie, panie doktorze. Już niech będzie tak. Ręką wykonał gest rezygnacji i na poduszki opadł.

Może przyjedzie... wyszeptał.

Chcielibyście? Chwilę trwało milczenie. Wreszcie Rydzik wyrzekł:
Tak!

Z mgieł czarnych spływa kobieta.

Ku niej ręce wyciąga mężczyzna.

Nic więcej, tylko kobieta i mężczyzna, którzy dążą ku sobie, gnani przedwiecznym prawem, przeciw któremu iść im nie wolno.

Cała seria pokoleń wyrobiła w niej smukłość połączeń ściosała szkielet wydobyla na wierzch i rozegrała przez to nerwy w jej ciele. I to się nazwało rasą.

Szkielet jego pozostał silny i zgrubiał prawie na wicherze, śnieżycy i słońcu. Prymitywna odporność nerwów, a siła mięśni rozwinęła go w tego, co ciężko po ziemi stąpa i odwala skiby, szukając ziaren.

Na pozór byli oboje tak bardzo od siebie różni, że nic żaden najlżejszy łańcuch nie drgał pomiędzy nimi. Szli odrębną drogą. Ona wśród estetycznie wyrobionych marmurowych kolumn on po miedzach, wśród szelestu zbóż, które do rąk mu się garnęły.

A przecież zeszedli się na rozgorzałej ścieżce wspólnych pragnień.

Stanęli naprzeciw siebie i oboje utonęli we własnej sile i uroku.

W ramiona padli.

Przy ustach zawiśli.

I stali się tak jedną błyskawicą wśród pasm wspólnych rozkoszy.

Ci dwoje!...

Tacy dwoje.

A przecież tak było.

Nigdy tak jasno, jak w tej chwili, oczom Adama nie przedstawił się ten ubiegły moment z życia Rydzika, jak w tej chwili.

Stoczony śmiercią ten człowiek mówi „tak”.
Otulało go dwoje gładkich, wonnych ramion.
Jego upartą, chamską głowę!
Jakie on słowa musiał słyszeć w takie noce księżycowe, słowa, które mu
pocałunkami na ustach konały.
Wchłonął je w siebie i ma je w głębi pomimo, że zije obelgami z lat
młodych.
Dlatego mówi tak!...
Adam leciuchny turkot słyszy.
Wiśka nadjeżdża.
Kto wie...
Co? Co?

Adam potarł czoło. Co to za myśli!. Skąd? A zresztą. Gdyby nawet.
Nie och! Nie.

Noc po nocy jasna. I co noc Adam wysuwa się przed oficynkę, o ścianę
opiera i słucha.
Widmo powozika turkoce lekko. Zatrzymuje się we mgle pól.
Z ganku poprzez koronkę gałęzi oleandrów zbiega Wiśka.
Szary płaszczyk rozwiewa się jak skrzydła.
Biegnie dziewczyna och! jak biegnie.
Po co?...

W Adamie rośnie pragnienie złączenia się z nią w tym biegu. I on tak samo leciałby swą młodością, swą siłą w tę mleczną białość niezmierzonych mgieł.

Pochwyciłby widmo dziewczęce za rękę i biegł. Dziewczynę Fra Filippo Lippi.

O rozwianych włosach.

O rozwianych szatach.

O rozwianych pragnieniach.

I myślach brylantami tkanych. I lotnych uśmiechach.

I duszy, co biegnie w przesłanki.

Taką dziewczynę za rękę by ujął i biegł z nią biegł.

Tymczasem Wiśka dopada powoziku, jakiś cień mężczyzny łączy się z nią na chwilę i giną oboje we mgle polnej.

Adam czuje, iż te dni kilka odebrały mu możliwość zajęcia się tym, co dawniej jego świat stanowiło. Chce, pragnie powrócić. Nie jest w stanie.

Ciągle teraz żyje tym, co się dokoła niego dzieje. Te dwie kobiety, ich czyny, ich miłości, ich nienawiści cała konsekwencja ich pragnień ziszczonych lub nieziszczonych oplata go coraz silniej.

Jest ich dwie a właściwie jedna.

Bo Wiśka jest jakby ciągiem dalszym namiętnego szeptu, który się po baronowej tu jeszcze pozostał.

Jedna chwila dała to poznać Adamowi.

Był to drobiazg. Nic. A przecież wryło się weń jak rysa pałaca i głęboka.

Trzeciej nocy Adam stał przed oficyną i czekał na powrót Wiśki.

Tak po prostu czekał na jej powrót. Chciał raz jeszcze dojrzeć, jak się przesunie mglisto wśród koronek gałęzi i zniknie w drzwiach pałacu.

Nagle spoza stajen wysunęła się wysoka postać Tarajewicza. Obchodził budynki przystawał. Patrzył dokoła.

Adam obserwował go, i ta czarna sylwetka, odcinająca się ostro na jasnym tle, zaczęła zajmować go po malarsku.

Wtem od pól doleciał turkot. Adam poznał natychmiast, że to Wiśka wraca widmowym powozikiem. Tarajewicz jednak stanął i słuchał uważnie.

Stał na ścieżce, prowadzącej do ganku. Wiśka będzie musiała przejść mimo niego. I rzeczywiście za chwilę ujrzał Adam, jak szybko zbliżała się dziewczęca postać w rozwianych szatach. Ani na

chwile jednak nie przyszło mu na myśl, że Wiśka cofnie się przed spotkaniem z rządcą. Tymczasem, tak się stało. Baronówna zwolniła kroku i nagle skreśliła w cień drzew, rosnących przy drodze.

Tarajewicz nie poruszył się i ciągle drogę do dworu barykadował. Adama ogarnęło nagle jakieś uczucie przykrości na myśl, że ta dumna dziewczyna kryje się w tej chwili ze swym postępkiem przed własnym sługą.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, szybko wyszedł ze swego cienia i podszedł do Tarajewicza.

Dobry wieczór panu! wyrzekł, dotykając jego ramienia. Rządca drgnął i odwrócił się na chwilę.

Dobry wieczór. Nie mogę spać. Obchodzę budynki.

Księżyc świeci. Nie ma strachu o złodziei.

Tak... Jeno, widzi pan, są rozmaite rodzaje szkodników.

Jak to pan rozumie?

E! nic, nic!

Adam usiłował Tarajewicza skierować w głąb zabudowań, aby dozwolnić Wiśce wrócić do domu.

Chodźmy się przejść.

Ni, ni. Ni mogę.

Czemu?

Pan czuwa nad chorym, ja też mam nad czym czuwać no... i czemu się czasem przypatrzeć.

Aż zgrzytało coś ironią w głosie rządcy.

Toteż pójdziemy się przypatrywać.

Ni, ni...

Nagle stała się rzecz niespodziewana.

Z cienia drzew wyszła baronówna i powoli, nie spiesząc się, szła ścieżką ku domowi.

Adam patrzył wprost jej w twarz, która coraz wyraźniej wynurzała się z księżycowej topieli. Była czarująco piękna i zdumienie ogarniało go nad tą niezwykłą urodą. Aż coś ciągnęło ku głębi jej oczu i wyrazowi ust rozchylonych wzgardliwie. Zdawało się Adamowi, że sekundę, mgnienie bez tchu zawisła mu cała u źrenic. Lecz gdy nadeszła tuż przed nich lodowaty, wyniosły wzrok oszpecił ją całą. Nic nie zdoła opisać, z jakim to gestem usunęła rozmawiających ze swej drogi.

Adam ten gest znał.

I zrobiło mu się strasznie przykro na myśl, że został w jej umyśle pogrążony w jedną linię z

Tarajewiczem.

Nie ze względu, że była to „oficyna”.

Ale, że u Tarajewicza była złośliwość czynu, podczas gdy przeciwnie on miał najlepszą intencję.

I dla obu był jeden i ten sam gest.

Gdy Wiśka weszła do domu i ciężko za sobą drzwi zamknęła Tarajewicz po chwili rzucił:

No., tak...

Co tak? zapytał rozdrażniony Adam.

Panna baronówna także lubi chodzić po księżycu.

Jak to... także?... Pan, ja czuwamy z konieczności.

Ach! Ja nie mówię o nas. Ta pani baronowa spaceruje, jak tylko księżyc świeci...

Adam uczył, iż pełza ku niemu gadzina plotki.

Dobranoc panu! Zwrócił się do oficynki.

Pan już nie chce się przejść?

Nie. Boję się, że Rydzik mnie potrzebuje.

Że też panu doktorowi chce się tak z nim męczyć!

Adam nic nie odpowiedział i szybko do oficynki odszedł.

Także... myślał więc dawniej, po mgłach, po polach, w księżycową topiel, widmempowozikiem snuła się matka.

Teraz córka. Matka? Lecz nie sama. Może z Rydzikiem. Czyżby i ta...

Już myśl się formuje, kształtuje. Trzy dni temu przesuwała się ledwo, ledwo. Teraz jest prawie cała przed nim.

Adam zatrzymuje się w sionce, prowadzącej do izby Rydzika. Wąski pasek światła po ziemi wstążką się ściele.

Więc... z Rydzikiem matka. A córka?...

Wstręt nim szarpnął. Natychmiast jednak przyzwał do pomocy swe zwykłe siły moralne.

Gdyby nawet... atawizm, idzie utartą drogą prymitywnych instynktów. W ślad za tamtą.

A przecież jakby go za serce ścisnęła straszna ręka o stalowych szponach.
Tak wyniosła, tak piękna w liniach...

Taka Fra Filippo Lippi...

I spoza krat złożonych ogarniająca miłośniczo zziębłe liście jesienne i
ludzkie smutne zwątpienia.

Czemu ona!

Zgasło słońce, złożone jesienią.

Rozsnęła się nad równią szara, dziwna opona jakby płaska kopuła, lekko
poorana żółtymi pasmami.

Zadrżało wszystko zimnym dreszczem, który wypłynął z lasów i
wrzosami, co na skraju rosły, jakby przez wstęgę morową się przewinał.

Dreszcz ten niewidzialny duszę przyrody całej w melancholię wtrąca.

Zdaje się, że nagle powstaje z ziemi cała jej szarość nieprzyjazna, mściwa,
i rozpościera się, jakby zrozpaczona kobieta swe siwe włosy nad grobem
tego, który wyzyskał jej młodość.

Deszcz nie pada wicher się przyczał i nie zawodzi nawet nocą po kominach. Tylko ołowiany smutek wisi w przestworzach. I nawet liście padać przestały. Przybierają teraz barwę miedzi. Pod szarym niebem płonąć zaczynają.

Adam dogląda Rydzika. Zastosowuje przepłukiwania kwasem borowym. Stara się oszukać siebie i chorego. Rydzik nagle złagodniał. Widocznie zaczyna nabierać zaufania do Adama. Patrzy mu w oczy i stara się wykonać jego polecenia. Widać, iż czepia się życia rozpaczliwie i że zaczynają nachodzić nań zwątpienia. Raz zastał go Adam popadłego w głęboki smutek. Leżał, patrząc w okno. Dawno niemyte szyby nie przepuszczały zewnętrznych obrazów. Adam sam szyby przecierać zaczął. Odrazą chwyciła go do utarczek ze służbą. Wolał tę drobnostkę wykonać sam.

Rydzik intencję jego zrozumiał.

Widzicie już dziedziniec? pytał Adam. Chory odparł:

Pan doktor jest bardzo dobry człowiek.

Adama ogarnęło wzruszenie. Odwrócił głowę. Od chwili przybycia tutaj było to pierwsze dobre słowo, które go spotkało. „Dziecko” w nim żyło, to wieczyste „dziecko”, które jest w pewnych ludziach. Muszą być czasem głaskani, tuleni...

Choć z daleka słowem.

I zwłaszcza, że to przyszło z ust, które mu tak wrogie były.

Sprawiam wam przecież dużo przykrości odezwał się, pokrywając
wzruszenie nie lubicie, gdy idę do was z sondą.

Rydzik machnął wychudłą ręką.

Aby tylko to... wyrzekł.

Nie dopominał się już o strzelby, o polowanie. Siedział na łóżku straszny,
pożółkły w swej rozmamranej koszuli. Szklanymi oczyma w szybę
patrzył.

O!... jak to zesypują te kartofle... jak przyjdą mrozy do cna wymarzną.

Na dziedzińcu, koło stodół, kręcili się ludzie, ubijający słomę i ziemię na
podłużnych kopcach kartofli.

Ścierwa!...

Słowa jeszcze ostre padały, ale ton był melancholijny. Siła życiowa
wartko odbiegała.

Nagle głowę podniósł.

A cóż ta tam we dworze! Adam już wiedział, o kim mowa. I nagle się
przeraził.

Serce zabiło w nim żywiej. Jakiś kurcz go jakby schwycił za gardło.

Cóż? Ona?...

Nic odparł z trudnością.

Kręci zawsze na mnie nosem?

Nie wiem.

Rydzik pokręcił głową.

To i z panem nie gada?

Jakaś duma szarpnęła Adamem. Nie chciał stanąć w jednym rzędzie z Rydzikiem, do którego „Wiśka ścierwoska” także nie gadała.

My nawzajem ze sobą nie rozmawiamy! Lecz Rydzik głową ciągle kręcił. Jaka to cholera... jaka to... Ona panu fumy stroi, bo pan mnie leczy... O!... Pociemniał na twarzy.

Ona by chciała, żeby mnie tak bez ratunku, jak parszywego psa, na zdechniecie zostawić...

Jakże tak możecie myśleć...

Cała nieprzebrana gorycz przez oczy Rydzika potokiem smutku przebłysła.

O ha!... pan ich nie zna... One obie... no... Urwał nagle jakby przerażony. Po raz pierwszy odezwał się z goryczą o tej niej... o tej żonie... I zaraz do Wiśki się zwrócił.

Ona źle skończy... Pan doktor się przekonaźle skończy... gorzej, niż jej matka... sto razy... Pan zobaczy... na psy zejdzie... Ja coś wiem. Ona już lata... Ten Toczyski... to... on koło jej matki latał, a teraz z nią... Ale on ją wykieruje.

Pięść zacisnął i z trudem podniósł.

Pan Bóg mnie pomści!...

Adama przeszedł dreszcz.

Dajcie spokój... po co się denerwujecie. Wreszcie za co ma Pan Bóg się mścić? Panna baronówna krzywdy wam żadnej nie robi.

Aha! co pan wie. Ona póty nosem kręciła, póty wyrabiała, aż i matkę na mnie podszczyła i matka wzięła ode mnie uciekać.

A to wszystko bez to, że się ludzie od niej odwracają.

Wypieki mu wystąpiły na twarz. Z daleka słyhać było jakby oddalony łoskot gromu, huk zsypywanych po dołach z wozów kartofli.

A no... odwracają się. Nikt z nimi nie chce żyć! chrypiał dalej nikt. Niby to beze mnie nosem na nich kręca. A choćby. To i co? i co?... Ja to za nią latał? Ja?... Wszędzie, gdzie nie posie, tam była... A Rydzik tu, a Rydzik tam... a przy żniwie, a w stodole, a w stajni... Niby przez gospodarstwo... A ja? Co?... z kamienia? I potem na mnie, że się ich parszywe państwo od nich odwracają!...

Aż drżał cały w rozżaleniu. Widoczne było, iż przez chorobę nerwy mu odmawiają posłuszeństwa i rozprzęgły się zupełnie.

A niech ich!... a niech ich obie za moją krzywdę!...

Na poduszki padł już cicho, jakby gałęzie schnącego drzewa z wiatrem się niezdarnie borykały, wyszeptał:

Ja im się ustąpię... ja im już niedługo ustąpię. Pójdę ziemię gryźć... będą mogły bale wydawać i z hrabiami hulać.

I umilkł.

Coraz większa melancholia wynurzała się z kątów i szła na Adama.

Siedział cicho w kącie kufra i

patrzył, jak maska twarzy Rydzika zastygała w półśnie. To wszystko, co w tej chwili z duszy swej wypluł ten chłop o starganym, życiu zdawało się rósć dokoła jakąś nieprzeniknioną gęstwiną złośliwych i pełnych jadu chwastów.

Z gęstwiny tej wysuwały się kolejno szeregi, obrazów dawnych, przykrych i rozwiewały się dokoła. Dominowała tu potęga tej strasznej żywiołowej namiętności, która gnała kobietę rasową, kobietę o kulturze pewnej, choć powierzchownej, w pościg za roslym mężczyzną i rzucała ją w objęcia bezprzytomną, nie przewidującą, co z tego szalu wyniknie. Jak burza waliło się to wszystko w odmęt życiowy, druzgotało słabe baterie układów społecznych i urągało triumfalnym okrzykiem przerażonym a żyjącym w zgodzie z tymi układami duszom...

Cichł jednak ten krzyk powoli. Na noce pełne błyskawic i żaru zapadał stopniowo całun przesytu... Szmer pocałunków milkł i nagle powstawał protest jakiegoś dziecięcego głosu.

To... Wiśka.

Tak rosło to w atmosferze żywiołowych namiętności i prostą, prymitywną duszą dziecka nie ogarniało dna całej sprawy. Garnęła się do parobka, który chwytał dziecko silną ręką, oklep na konia rzucał, lub

na stertę słomy za sobą dźwigał. Dziecko rosło i w miarę gdy przedłużały się suknie i warkocze, w miarę gdy Wiśka rozumieć zaczynała, czym Rydzik był dla jej matki głos protestu się wznosił i oto nienawiść, żal, groza rosły i olbrzymiały na tej równi, po której szarymi kwiatami widm wznosiły się samotne krzyże. Jęczały drzewa parku wyniosłe i ranione kulami rozwydrzonego parobka, jęczała dusza dziecka, raniona w godności dziewczęcej i dostojności swego wiekowego wyszlachetnienia przez żywiołowy popęd hulającego po ogrodzie ekstaz miłosnych matki. I w oddali nieprzychylny, drwiący, wzgardliwy śmiech... świata. Tego, co dla nich stanowił właściwy... świat.

Jak różgi, jak uderzenie bicia po twarzy.

A dziecko rozwinęło się w kobietę i protest był tak silny, że aż rozerwał to, co się zdawało silne i nierozzerwalne...

Rydzik pozostał sam.

A dokoła niego powstała i rozsnuła się nędza ludzkich istnień najtragiczniejszych, bo nie próbujących nawet już walczyć z potęgą swych przeznaczeń.

Adam powstał i cicho wysunął się na dziedziniec. Było mu duszno.

Zdawało mu się, jakby to on sam

zapadał w taką ciemnicę straszną, w której dusza łka i wyje, i ma ulgę smutną w drobnych złościach, którymi piwa na przeogromną jamę swą mogiłną.

Tak!... myślał, idąc w stronę dworu to jest wielka tragedia ta ekspiacja dziecka za rozpętanie namiętności matki. Wiśka pozostaje sama jak zadżumiona w tym dworze, który niegdyś służył za przytułek zwierzęcym popędom, kojarzącym dwie istoty, rozdzielone od siebie wszystkim, co wytworzyć może kultura wieków, złączone jednak na jednym punkcie niezwalczonej i wiecznie triumfalnej cielesnej miłości.

Dziecko dojrzało... i przejrzało...

Adam widzi tę drobną dziewczynkę o czarnych włosach powoli wkraczającą w tajniki życia. Widzi ją, jak poznaje wszystko, jak przestaje być tą Wiśką, uganianą po stertach i polach a stojącą drżącą, niepewną na progu świątyni miłosnej. I zarazem z wnętrza tej świątyni, która winna powiać ku jej dziewiczej duszy czarem łagodnego uroku dobywa się krzyk zwierzęcy. Wiśka odczuwa w tym krzyku to, co miłość ma w sobie najboleśniejszej szpetoty, i w szpetocie tej widzi własną matkę...

Ona to wtajemnicza dziewczę wtajemnicza bezwiednie w męty smutne i straszne.

I bunt się rodzi.

Bunt przestraszny. Wiśka, oszalała, zrozpaczona za to, że odebrano jej wszystkie złudzenia, że rzucono ją z taką bezwzględnością w brutalną rzeczywistość mści się...

Krzykiem swym rozrywa ohydę, buntem swym wypędza niejako tego człowieka, który pomimo błogosławieństwa kościelnego, według niej, był zawsze tylko kochankiem jej matki... mści się dalej dalej lecz drobną, małą złością...

Nic więcej uczynić nie może.

Jest bezsilna. Ogrom przeznaczenia zwałił się na nią. Matka uciekła w świat do ludzi którzy nie wiedzą, a ona pozostała tu sama, zadżumiona... na pastwę samotności i, kto wie, jakich instynktów...

Straszne...

Nad cichy, samotny dwór naleciały szare chmury.

I nagle wypłynął na ich tło klucz żurawi.

Czarnym ostrym kątem pruć powietrze.

Krzyk żałobny rozległ się nad równią.

Ptaki przepłynęły nad wierzchołkami drzew parkowych przepłynęły wolno, prawie bez poruszeń skrzydłami.

Opadały ku ziemi, zwiększały się zmieniały linię.

Wreszcie zapadły za drzewa parku, na łączkę, tuż obok dróżki, wiodącej w pola.

Adam z dziwnym uczuciem na dwór patrzył. Wiedział, że samotna siedzi tam dziewczyna, nosząca na sobie piętno wyodrębnionych istot.

Dlatego jest tak dumna... dlatego ten wzrok, dlatego...

Jak błyskawica przebiegło mu przez umysł.

I... dlatego się chciała zabić! Z dumy?

Tak, tak. Ona do tego zdolna. Zresztą, to nieprawda, aby kobiety zawsze zabijały się tylko z miłości. Sama Minzowa powiedziała to, gdy wyjeżdżał. A więc on bezwiednie posiadłby całą tajemnicę duszy tej dziewczyny.

I zdjął go lęk.

Jej duma nie ścierpiałaby tej pewności, iż istnieje ktoś wiedzący coś więcej o niej, niż ona pozwolić chciała.

Nigdy jej nie dam uczuć postanowił nie będzie wiedziała, że ją na wskroś zrozumiałem, że wkraczam w nędzę jej życia.

Nigdy!

Lecz równocześnie z tym postanowieniem bić mu w serce zaczęła inna żalosna myśl.

Nie będę miał do tego sposobności... znać mię nie chce nie cierpi mnie... Zaturkotało lekko na drodze.

Adam przyśpieszył kroku. Nieledwie biec zaczął w stronę parku. Wolał iść między nieprzyjazne drzewa. Było mu bowiem tak dziwnie, jakby go kto zranił i drwił z niego. I potem, jakby coś nagle w rękach swych niósł coś bardzo kruchego i doskonale pięknego, o delikatnych liniach, jakby wazon sadzony przepychem drogocennych kamieni, a w nim rozkwita nieśmiało bladej barwy roślina.

I jakby z tej rany właśnie czerpały się soki do rozwoju rośliny konieczne... Takie dziwne uczucie!

Ledwo, ledwo że z niego Adam sobie sprawę zdać może.

Turkot staje się bliższy. Powozik lekki, a raczej wózek węgierski pomyka i spomiędzy zabudowań do dworu sunie. W jasnym płaszczu siedzi na wózku mężczyzna. Zajechał przed ganek.

Lejce rzucił siedzącemu za nim chłopcu, poskoczył pomiędzy kolumny i znikł we drzwiach wchodowych.

Adam nie zdążył przejść drogi. Wózek mignął mu przed oczami. Poznał go. W mgłach wieczornych, w księżycowym świetle rysował się zaledwie delikatnie a przecież Adam go w siebie wchłonał.

To był ten sam wózek, ten sam mężczyzna.

I więcej jeszcze.

Poznał w nim Adam towarzysza baronówny w sali Filharmonii, na koncercie skrzypka. Zapamiętał uśmiechy ludzi, które w ślad pobiegły za nimi obojgiem, gdy wychodzili z sali.

A więc...

Mignęły przed nim słowa Rydzika:

Ten pan Toczyskino...ja wiem, latał za matką, teraz za córką... To trywialne słowo „latał” a przecież w nim jest świat cały.

Bo jeśli za kimś „latać trzeba”, toć znak, że tamten ktoś ucieka.
Więc pościg myśliwca za tropionym zwierzęciem. Rozpaczliwy wysiłek
umykającej istoty przed zgubą, przed śmiercią, przed zanikiem
bezpownym spokojnych dni i nocy przespanych; źrenic, które łzami nie
witają zorzy; ust, które przesmutnym łukiem ku ziemi nie dążą.
Pościg taki smutny, gorączkowy śmiechem sztucznej radości pokryty;
pościg mężczyzny za kobietą, za jej młodością, wonią, siecią złotą włosów
i błękitną delikatnością żył...
I pościg za jej duszą, która się wtapia w swe istnienie, z której się bierze
czar zdziwienia, czar bezpamiętnego zapomnienia, czar jej całej
niepewnej, a na wszystko zdecydowanej.
Na oczy, na serce zarzucone pęta...
Jęk prośba...
I potem milczenie, poddanie się pokorne.
Sił brak.
Pościg skończony.
Pęta zaciskają się coraz silniej i nagle budzi się jedna więcej nędza i
hymnem żalu w niebiosy bije.
Lecz echa nie ma.

Gdzieniegdzie słyhać śmiech, słyhać zgrzyt...

Więc i za nią ten Toczyski „lata”.

Tak się spieszył, skacząc z wózka! Jak wpadł szybko do wnętrza dworu!
A tam ona choć nie ukrywa się materialnie to przecież musi objąć się
trwożna o ściany swej moralnej klatki, w której ją życie zamknęło.

Tak jak jej matka...

Zresztą sama do niego już biegnie. Najlepszy dowód te księżycowe noce i jej wycieczki w dal widmową wśród mgły.

Lecz Adam natychmiast znajduje inny punkt widzenia.

Ten pościg nie ogranicza się jedynie na ciągłym narzucaniu się swą osobą. Przeciwnie, najstaranniejsze, najniebezpieczniejsze jest to wabienie na odległość gdy zmysły zdają się całe roztopiać w jakimś duchowym rozmarzeniu i tęsknocie, i gdy ze srebrnej dali ciągnie coś, prosi, błaga nieledwie.

Tak ten pościg najstraszniejszy.

A więc o srebrnych nocach może biegła na białą w mgle rozwianą steczkę... tamta.

A teraz tą drogą znów ta.

Bezmierny smutek ogarnia Adama. Dlaczego taka wydeptana już droga dla tej ślicznej dziewczyny? Dlaczegoż w mgłę księżycową jakby cień biegnie za matczynym śladem?

A przecież taka dumna!

I taka zrozpaczona.

W ramiona mu upadła czarną nocą tam w mieście. W zaułku cuchnącym wybuchnęła płaczem...

Na dwór mimo woli obejrzał się Adam.

Cichy był zamknięty jakby nikt z żyjących tam nie oddychał. A przecież tam właśnie był ten pościg straszny, to tragiczne umykanie ciała i duszy przed przeznaczeniem swoim.

Po Adamie dreszcz przebiegł.

Więc to byłoby i jej przeznaczone? Czy rzeczywiście ten chłop skrzywdzony, wydarty w chwili fantazji swemu środowisku, miał prorocze objawienie? Czy widział jej dołę, tej, „ścierwoskiej Wiśki” która się na nim mściła za rozwiane dziewczęce swe złudzenia?

A więc...

I Adam poczuł, że ta rana, którą mu zadał ktoś niewiadomy, zaczyna się rozszerzać i sprawiać mu

ból coraz wyraźniejszy. I ten delikatny kwiat, wyrastający z gwiazdy drogich kamieni, który mu w sercu jakby widmem promienieć zaczynał pięknieje z przerażającą szybkością i rwie go w jakieś dalekie, pełne tęsknoty przestworza.

Co ze mną? Co ze mną?

Pod drzewa parku wszedł. Lekko nimi kołysał wicher jesienny. Nie spadały przecież liście, pomimo że ich pełno jeszcze było na gałęziach i wisiały jak grona dojrzałych jagód. Zdawało się, że te drzewa wypłakały już z siebie dosyć łez i teraz zachowywały je te liście łzy, na jakieś większe katastrofy czające się dokoła.

Adam ku brzozom się skierował, które widmom jakby krąg taneczny osobny i wytworny tworzyły. Rozwiały nad nim przedelikatną kopułę swych gałęzi, które zdawały się drzeć od chłodu i przeczuć tragicznych. Adam na ławce zwalonej usiadł i starał się wmyśleć w swój dawny świat, w świat pracy i tego, co ona mu przynieść miała.

Przejdę cicho, spokojnie... czeka mnie życie długie mozolne, bezbarwne...

W szarości jesiennej, od dworu od parku, coś się jakby nań czaiło.

Tamto ich przeznaczenie...

I zaraz przemknęło mu przez myśl.

Dlaczego ona z nim nie walczy? Dlaczego pada pod śmiertelne koła? W oczach jej przecież tu gdy okrążała trawnik lekka i młoda była siła, była chęć, było wszystko życiowe?

Czemu ona nie walczy?

Zamyślił się i znów wyrwał się z koła swego świata, aby krążyć dokoła tego dworu, który tragicznie cichy, tajemniczy, przez kratę brzóz rysował się w oddali.

Nie ma ciągłości tej siły, tej chęci. Nalatuja na nią demony zwątpienia...

Biedna!

Dziw się z nim stał.

On uczył się także w tej chwili tak biedny, jak ona, której żałował serdecznie. Przytulił się do pnia brzozy i gorycz przepelniała mu serce. I on był jakiś odtracony, wyodrębniony.

I ku niemu skradała się cicho tragedia tego dworu, tego parku, tej równi bezkresnej, szarej, tonącej we mgle jesiennej.

Adam oczy przymknął i tak bez ruchu pod kopułą drżących od zimna i przeczuć gałęzi białych brzóz został.

Późnym wieczorem Adam siedział nad książką i starał się pilnie studiować w niej zawarte hipotezy. Rozszepptały się jednak dokoła niego milczenia

owego dziwnego domu. O kilkanaście ścian czuł, iż dzieje się przedwstęp rzeczy złej, zgubnej której Kalwarię widział tyle razy dokoła siebie, rozełkaną w krzyku lub milczeniu kobiet, mdlejących mu w rękę w bolesnych godzinach męki niewysłowionej.

I wszystko przynosi ze sobą taki pościg rączy, szybki jak ten, który tu, w tych ścianach dworu, na ścieżce w księżycowej mgle wszędzie dokoła się snuł.

Może nie być szpitalnych ścian, może nie być szczęku operacyjnych narzędzi, może nie być samobójczej grozy może nie być...

Tak. Lecz będzie zawsze Kalwaria. Ta lub owa, ale Kalwaria. I będzie w danej chwili precudne objawienie prymitywnego ducha w źrenicach zasłoniętych mgłą łez.

To będzie zawsze.

Adam ręce splótł i na nich czoło oparł.

Zdawało mu się, że ogromna troska opadła nań i ciśnie go ku ziemi.

Wicher się rozjęczał, i teraz drzewa parku szumieć zaczynały jakby przestroga.

Do pokoju Adama weszła Haśka z kolacją na tacy. Z opalonej twarzy zsunęła się chusteczka, którą zawsze pod brodą miała zawiązaną. Włosy płowe, źle wyczesane, spadały kosmykami na zielone duże oczy. Pierś zdrowa i dość kształtna zaznaczała się pod cienką tkaniną z miejska skrojonej bluzki.

Nogi miała bose o czarnych, stwardniałych piętach.

Postawiła spóźnioną kolację i snuć się zaczęła po pokoju. Słała łóżko, przygotowywała zapałki. Poruszenia jej były leniwe. Zdawało się, że na coś czeka. Zielone jej oczy biegły wciąż w stronę Adama.

On na nią nie patrzył, ale wyczuł od razu, iż dziewczyna dziś silniej niż kiedykolwiek krąży dokoła niego chęcią miłosną. Przejął go jeszcze większy smutek, patrząc na tę młodość, która tak kornie słała się w trumnę dobrowolnych cierpień. Miał myśl pełną swych wizji kalwaryjnych. Ta dziewczyna z niepokojem żądz, które ją owiewały, zdawała się wpraszać do ich szeregu.

Pójdiesz... pomyślał ale nie przeze mnie. Nie ja będę cię miał na sumieniu!

Haśka, która już nadzieję zdawała się dostrzegać w przelotnym wejrzeniu na siebie rzuconym, zasumowała się nagle. Adam odwrócił się od niej, usiadł i pił herbatę, czytając swe książki.

Dziewka wydeła wzgardliwie wargę, potarła czoło, piersi nasunęła chustkę i wyszła, plaskając stopami po posadzce.

Adam czuł jej wzgardę. Wzruszył ramionami.

Wolę myślał niech mówi teraz durny niż żeby potem jej prymitywna dusza miała słać ku mnie żal tragiczny i straszny...

Wicher rósł i potężniał. Ciemnica za oknami była wielka. Jedyne z okien apartamentu baronówny były strugi żółtawego światła. Jakaś rosnąca samotnie jarzębina, co to niby sierota zabłąkała się na

dziedziniec przed okna i do gruntu przyczepić się zdołała, a potem rozrosnąć cienka i nędzna czarnymi, dziwacznymi gałęziami słaniała się pod siłą wichru po tych jasnych strugach.

Jakby potwór jakiś o pajęczych ramionach, zdawała się chcieć dosięgnąć okien i w niemocy swej zamiatała tylko piasek.

Słaniała się, padała ku ziemi i wznosiła się, jakby porwana szyderstwem z tego, co danym jej było widzieć za szybami okien.

I Adam, patrząc na te ruchy pajęcze drzewa, miał uczucie, jakby i on uczepił się gałązek i ku szybom wichrem gnany pędził, ziemię zamiatał, tafli dotykał i znów w górę się wznosił. Tylko wtedy, gdy już był przy tych oknach oświetlonych, zaciskał powieki, aby nie widzieć... nic. Dlaczego miał to uczucie?

Dlaczego się tak słaniał w tej smudze, a dojrzeć prawdy nie chciał?

Z powodu wielkiej ilości w lecie much pierwsze okna w całym domu miały w ramach zamiast szkła siatkę. W pokoju Adama jedna z tych siatek oderwała się przejeżdżoną rdzą i teraz biła delikatnie o tafelę szyb wewnętrznego okna, wydając dziwny, jęczący ton.

Jakby jakiś konający, oślepy od jesiennej wichury motyl skrzydłem trącał.

Lub jakby dusza świeżo pochowanego ciała z cmentarza wiejskiego zbiegła i do światła, do ludzi się jeszcze ciśnie...

Niby mało jej łez i niedoli ubiegłej.

Jeszcze... ciągle...

Kochała swe cierpienie...

Wżyła się w rozkosz smutku...

Cichy turkot zajechał przed ganek powozik Toczyskiego.

I (nieprędko) otwieranie drzwi kilka słów zamienionych, niewyraźnych
potem szybkie kroki przez sień i znów turkot powozika.

Gość odjechał.

Adam doznaje jakby ulgi. Sam nie wie, dlaczego.

Siada teraz przy stoliku.

Tak będę mógł teraz pracować!... myśli. Chce się pogрузić we śnie.

Lecz zdaje mu się, iż cieniuchne niteczki jakieś w mózgu rwą się, pomimo
iż on je namotać znów usiłuje.

Nie mogę dziś!... nie mogę!...

Lenistwo go ogarnia. Przypadł na łóżko odziany, pali papierosa. Nie
rozbiera się. Ma wrażenie, że powinien na coś czekać, że go coś lada
chwila spotka.

Może Rydzikowi jest gorzej. Pójdę zobaczę.
Lecz nie idzie. Leży ciągle i niepokój jego wzrasta. Myśl przebiega puste i
ciemne pokoje, biegnie wzdłuż galerii, zatrzymuje się u drzwi...
Adam i Wiśka są sami.
Sami w pustym, dużym, cichym dworze.
O szyby dzwoni dziwnie, lekko siatka ni to motyl, ni to duch cmentarny.
O myśl Adama dzwoni jakieś nieuchwytnie wrażenie wyczekiwania, a
potem, jakby ktoś o nim bardzo silnie myślał, coś chciał, pragnął...
Szybki szelest bosych kroków i pukanie.
Proszę... proszę... Adam się porywa.
Co tam? Idzie do drzwi.
Niech pan nie otwiera proszę się ubrać i zaraz przyjść do mnie... na drugą
stronę domu.
Co się stało?
Sparzyłam sobie rękę. Nie ma nigdzie służącej. Jestem sama. Niech pan
się śpieszy, bo bardzo

boli!...

I znów szybki szelest nóg bosych po posadzce, oddalających się w głąb
domu.

Adam bierze podręczną torbę, w której ma dermatol, pastylki
sublimatowe, watę i bandaże. Sam nie wie, dlaczego ręce mu drżą.

Zapala świecę i przebiega puste pokoje. Idzie jakby jakąś smugą woni rozwianych szat, ciepłego kobiecego ciała. Wzruszony staje u drzwi są na wpół otwarte. Popycha je i wchodzi.

Na tle wysokiego szarego, w duże irysy parawanu stoi postać kobieca ledwo otulona w jakąś jasną wełnę. Szczelnie zebrała fałdy dokoła bioder i owinęła nimi nogi tak, że kończyny jej rozpływają się w nieuchwytnych liniach jakby żółtawego bloku. Tylko tors wykwita jakby kwiat przepyszny jakby górna część smukłej amfory o najdoskonalszych kształtach.

Sparzoną rękę Wiśka trzyma wzniesioną ku górze. Różowy abażur wykoronkowanej lampy ją oświeca. Pąsowe obramowanie konturów przegląda przez palce. Młoda krew czarowną linią w świetle się znaczy.

I zaraz długa śliczna linia obnażonego wonnego ramienia i wtulona weń głowa o masie rozpuszczonych, puszystych włosów, które zakrywają twarz zupełnie i spadają całą falą na ledwo okryte piersi.

Co to? Jakże się to stało?

Zapałki... zapałki...

Proszę pokazać.

Aż dławi w tym pokoju od jakiejś niespokojnej, zmysłowej atmosfery. Niskie meble porozstawiane w nieładzie. W cieniu na podłodze majaczą koronki zrzucanych szat i pantofle wschodnie, nabijane złotem.

Adam prostuje się i ogarnia go zawodowa gorączka.

Proszę o rękę...

Tu, tu...

Rzeczywiście, palce oparzone silnie skóra wzdęta. Wiśka podsuwa się pod lampę. Cała drży.

To nic, nic...

Boli!...

Ja wiem. Ale to na razie. Zaraz przestanie.

Całe pudełko... zapaliło mi się w rękę... przyłgnęło mi do skóry... paliło się na mnie... Niech pan wypali, wytnie. To przecież siarka, fosfor czy ja wiem... Zgangrenuje... ja... umrę.

Ależ nie, nie. Założymy opatrunek.

Ale panie... ja przecież od tego mogę umrzeć!...

Tyle trwogi w głosie, w drzeniu konwulsyjnym całego ciała że Adam spogląda na Wişkę prawie zdumiony.

Proszę się uspokoić. To nieszkodliwe. Nic się pani nie stanie.

Ja słyszałam...

Pani słyszała, ale ja wiem...

Baronówna milknie na chwilę. Adam zręcznie oczyszcza rękę posypuje dermatolem.

Czy nie ma oliwy?

Jest, jest.

Oczywa Wiśka przebiega pokój.

I wtedy Adam dostrzega że, w głębi koło kominka, na którym dogasa ogień, stoi... mały stoliczek.

Taki sobie zwyczajny stoliczek, niski, o trzech nóżkach, okryty białym obrusem.

Na nim nakrycie dla dwóch osób. Jakiś pasztet butelka odetkana czerwonego wina, do połowy wypróżnione kieliszki, trochę winogron jakieś ciastka...

Serwety zmięte rzucone na ziemię.

I dwa foteliki przysunięte do siebie blisko, jakby się spowiadały z rzeczy bardzo tajemnych, lecz zarazem bardzo miłych.

Na stoliku, w ślicznej rżniętej szklance, moknie trochę werbeny na popielniczce dużo niedopałków papierosów.

I to wszystko rysuje się w świetle dogasającego ognia. Jest bardzo bliskie i bardzo dalekie. Ogromna kobieca troska o miły, cichy kącik, prawie domowego szczęścia we dwoje, i zarazem jakieś tchnienie zmysłowości ukrytej, lubiącej wygodne zacisze.

Ten „stoliczek” Manony i Des Grieux'a.

Ten wieczysty „stoliczek” wielkich rozkochanych, którzy w kąciku ciepłym podają rubinowy lub topazowy kieliszek w omdlewającej od uścisków dłoni.

I szept cichy, biegnące przez stolik pocałunki jak motyle na wywiady, i te uśmiechy, słowa

niedomówione... aż wreszcie zbliżenie się dwóch fotelików i dwojga ust...
Cały poemat krąży dokoła takiego stoliczka...
Cały poemat.
Adam odczuwa go, choć nie dane mu było zasiąść przy stoliczku Manony.
I zdaje mu się, że nie ma prawa zbliżyć się tam, że to jakaś daleka wizja,
niedościgniona dla niego, i że...
Wiśka sama podchodzi i zdrową ręką sięga do srebrnego serwisiku, z
którego wyciąga flaszczykę oliwy.
Proszę...
Adam zajmuje się znów raną. Milczy, i tylko słyszeć od czasu do czasu
jęk Wiśki.
Boli...
Przepraszam...
Nic, nic...
Chwila milczenia. Jarzębina z pewnością słania się po szymbach, zagląda i
szydyczko w górę uchodzi.

Wreszcie znów głos Wiśki:

Czy pan jest pewien, że gangrena się nie wda?

Najpewniejszy.

Bo...

Urywa. Lecz on teraz podnosi głowę znad ręki i patrząc jej prosto w oczy, pyta:

Czy pani tak się boi umrzeć?

Sam nie wie, jak sformułowało się w nim to pytanie. Wie tylko, że kłębiło się w nim od chwili, gdy Wiśka objawiała tak szaloną trwogę przed ową „gangreną” a ewentualnie przed śmiercią.

Jak to? Więc ta kobieta, która dobrowolnie, z dużym namysłem rzucała się pod tramwaj, aby zginąć ohydną śmiercią tak bardzo lęka się i trwoży na myśl o możliwości zgonu? Byłaby ciąglą sprzecznością czynów i pragnień?

Patrzą się sobie w oczy pod czerwonym blaskiem lampy. Jest to krótki moment, lecz jakby odrzucili precz od siebie wszystkie łupiny cielesne i przejrzeni się w najczystszych źródłach swych istot. Mgnienie oka i mrok znów zalega. Wiśka z jakąś dziwną dumą istoty nieznoszącej, gdy ktoś wdziera się w jej tajemnie, ściąga brwi i cofa już obandażowaną i opatrzoną rękę.

Dziękuję panu! mówi wyniośle.

On prawie złękniiony, że dotknął jej tajemnicy czuje się nagle winien wobec niej.

Może... jeszcze będę potrzebny.

Nie. Wolę sama zostać.

Adam czuje, że jeszcze chwila, a uczyni ten sam gest, jakim z drogi usunęła go tam w mieście, w zaułku.

Ona gestu tego jeszcze nie czyni, ale już go myślowo nakreśla.

Skłania się i odchodzi.

Już jest na progu, gdy słyszy rzucone za sobą słowa:

Nie, panie, ja się umrzeć nie boję! To psuje mu wrażenie.

Idzie galerią, idzie całym szeregiem ciemnych pokoi i myśli.

Dlaczego kłamie? Dlaczego chce się wydać silniejszą w mych oczach...

Przez chwilę drży na myśl, że to „śmiertelne” a zaraz za mną rzuca „nie boję się”.

Wolę, że tak jest. Ta dziecinna niekonsekwencja kobieca wprowadza go w jakiś świat bardziej realny. Wraca do swego pokoju, lecz od razu

widzi, iż tej nocy spać nie będzie. Wlepia wzrok w okna Wiśki i teraz dopiero odczuwa wrażenie, jakie wyniósł z bytności w jej apartamencie. Z samotności, w której przebywa od tak dawna, wszedł nagle w ciepłe gniazdo, w którym jak ptak rajski, odziany w swą śliczność i czar mieściła się kobieta, przepojona wykwentem, urokiem, gracją i owiana powiewem melancholii, potracającej o krańcowe zrozpaczenie. Jak zbyt silne wino lub górskie powietrze upiła Adama ta krótka bytność w bliskości Wiśki.

Jaka ona dziwna, jakaś inna... jakaś nieuchwytna. I zaraz z głębi duszy mu wypływa:

Taka sama... taka biedna...

Adam siada przy oknie i teraz dopiero czuje, jak silnie wchłonał w siebie choćby najdrobniejsze szczegóły pokoju Wiśki i tego, co ją otaczało. Widzi niskie meble, obrazy na ścianach dziwne, niewyraźne, jakby wizje o zielonych oczach pół kobiety pół ptaki, widzi nieład artystyczny walające się po ziemi poduszki, na których haftowane pawie rozkładają swe wspaniałe pióra. Coś z haremowej odaliski, coś z dziewczyny wędrującej z piosenką na ustach i sukienką naszytą srebrem blaszek od sceny do sceny i coś ze dworu o dawnych tradycyjnych wazonikach rozmarynu i mirty w oknach panińskich pokoi. Wszystko tam jest, cała kobiecość, cały urok cały

czar...

I taka sama!

Nagle światło w oknach Wiśki zaczyna migotać przesuwać się niespokojnie. Adam wstaje z miejsca.

Kto wie, może ma gorączkę... należy się dowiedzieć. Zapytam u drzwi. Cicho przebiega pokoje.

Wypełniam obowiązek tłumaczy się jakby przed sobą. U drzwi się zatrzymuje.

Słyszy kroki Wiśka nie śpi. Chodzi widocznie po saloniku. Adam puka.

Kto tam?

Ja chciałem się dowiedzieć, jak się pani miewa.

Chwila milczenia. Jakby zdziwienie, jakby ktoś się wahał. I wreszcie szybkie otwarcie drzwi.

A co! A co! Pan sam się boi...

Na twarzy baronówny znów przestach i groza.

Adam ją uspakaja.

Widziałem, jak migotało światło. Czuję, że pani się denerwuje.
Chciałem po prostu uspokoić.

AL.

Zaręczam słowem honoru.

Wiśka teraz patrzy bystro w twarz Adama. Coś widocznie nowego nurtuje ją i jakieś jakby podejrzenie wywołuje.

Przy tym, pani tak sama... Dziewczyna przygryza usta, ściąga brwi.

Tak... jestem sama...

Wyprostowała się, płomień przebiegł jej skórę. Widocznie potworne podejrzenie falą bije w jej mózgu.

Więc cóż, że jestem sama?

Sądziłem... Że?

Że się pani lęka!

Ach! Ach!...

Zły, przykry śmiech i fatalne błyski w oczach przeszywają Adama.

Taka dziwna twarz taka stara nagle twarz, w obramowaniu czarnej masy włosów. Coś jakby nagle

zwiędły kwiat wodnej lilii, która zapada w cień.
Och! Te twarze dziewcząt, przez które przesunęło się życie z całą farsą
swej szpetnej, zgniłej prawdy!
Och! Gwiazdy, odbite w błonistej, czającej się wodzie, okolonej
jadowitym wieńcem trujących roślin...
Anielski śpiew o porannej zorzy, zgaszony wrzaskiem hien, które się
korowodem za smutnym trupem ludzkiej duszy wloką.
I szelest skrzydeł odlatujących w dal ptaków, które ponad jasnością
majowych pól krążyły!
I łkanie jakieś dalekie, jakby z wyżyn majestat istotnej piękności kobiecej,
czyhając po krwawych urwiskach, w głąb przepaści spadał...
To wszystko ma w sobie twarz młodej dziewczyny, która nagle się
zestarzawszy, ujawniła, „że wie” że ona już wie...
To wszystko łka, mieni się, jęczy w takiej twarzy.

To przenika uderzeniem sztyletu w umysł Adama, gdy Wiśka stoi przed
nim i patrzy nań i mówi: „ach! ach!...”

Teraz Adam widzi wszystko dokładnie. Jej strój zaniedbany, a przecież wytworny stopy ledwo obute stoliczek Manony, lampę przyćmioną woń cygaret butelki szmaragdowe Menthe glace i purpurę Abricotiny... Serce mu się ściska. Lecz tak, tak. W tym otoczeniu, z myśli tej kobiety mogło powstać tylko podejrzenie takie, jakie w niej powstało. Szybko Adam usuwa teraz Wişkę ze swej drogi wchodzi do pokoju i zbliża się do stolika.

Proszę więcej nie pić! mówi twardo, zatykając butelki.

!!!

Gorączka się powiększy. Rozumie pani?

Ja jestem przyzwyczajona.

Wiška idzie w ślad za Adamem i opiera się o sofkę. Przybiera jakąś dziwną pozę wyzywającą, ironiczną, wzgardliwą. Czuć przecież, że w niej się coś łamie.

To źle, że pani jest przyzwyczajona. Zresztą nie o to chodzi. Zakazuję pani pić dziś przynajmniej.

Vraiment?

Scena ta przybiera fatalny, niesmaczny charakter. Adam nie spodziewał się jej zupełnie. Wytrąca go z równowagi. Żal jednak jakiś przeważa. Ta ironia, z jaką Wiška wbiła w niego swe oczy, nie obraża go. Ileżby dał za to, aby ona zrozumiała, jak jest w tej chwili nieszczęśliwą.

I zapanowuje nagle milczenie oboje nie wiedzą, co przemówić, tak stanęli obok siebie na pozór srogo i nieprzystępnie. Za oknami zrywa się wichur i jarzębina o siatki ocierać zaczyna swe gałązki drżące. Ten przejmujący jęk

widocznie oddziaływa na Wiśkę, która zupełnie niespodziewanie wybucha płaczem i wali się głową na plusz sofy.

Och! Och!... jęczy dziewczyna...

Och! Och!... jęczy drzewo...

Adam uczuwa radosną prawie ulgę. Tak lepiej. Niech płacze nad sobą, nad swą dolą, nad osamotnieniem, nad tą całą tragedią, która dokoła niej się wznosi. Cała „kobieta” zbudziła się w niej i łka, i wyje, i skarży się sieroco w pustce tego dworu.

Delikatnie zbliża się ku niej Adam ociera skronie, poi wodą układa wygodnie. Odchylił okno, wpuścił trochę powietrza, wicher wyrzucił popiół i niedopałki papierosów i cygar. Ona przyjmuje to

troskliwe krzątanie się z początku jakby ze wzgardą, lecz powoli topnieje w niej to „złe” i oto z pasm czarnych jak noc, włosów, wykwita żalсна twarzyczka, blada i łzami zalana.

Ja się boję... boję! szepczą drobne usta.

Adam pochylony ku niej tuli ją, głaszcze, jak drobne, małe dziecię.

Nie... nie. Jestem z panią!

Sama!... Boże!... sama!...

Dlaczego przy pani nie ma nikogo?

Kto? Kto ma być? Mama za granicą. Krewnych nie mamy, a potem... oni tu nie przyjadą.

I znów fala łez i monotonna skarga dziecięca, jak szmer fal bijących o piasek.

Sama... jestem sama!...

Ujęła rękę Adama silnie, nerwowo.

Niech pan nie odchodzi.

Nie, nie. Pozostanę przy pani! Okryję panią szalem. Tak... proszę zasnąć!
Ból panią zmęczył i rozdrażnił.

Z bladej, trójkątnej twarzy dwie czarne źrenice spojrzały Adamowi wprost w oczy.

Och!... nie sam ból!

I znowu cisza. Wiśka leży, przymyka powieki łyzy płyną jeszcze czas jakiś i nieocierane spadają po dwu stronach twarzy w puch włosów, na których lśnią jakby brylantową rosą. Wiśka zasypia.

Jej lekki oddech płynie z ust różowych na wyciągniętej w górę bródce lśni się światełko, podczas gdy rzęsy kładą jakby ciemne półkola pod oczami. Ciało smukłe, wężowe ułożyło się lekko wśród szmaragdowego atłasu poduszek. Na tle bladozielonego jedwabiu widać szpiczasto zakończony turecki, haftowany złotem pantofelek, kryjący nogę.

Adam złączony z tą prześliczną dziewczyną uściskiem rąk, siedzi nieruchomo na niskim pufie obok sofy. Nieraz zdarzało mu się uspokajać zdenerwowaną chorą pozostaniem przy niej późno w nocy. Lecz ten wypadek zarysowuje się w jego umyśle ogromną wyjątkowością. Przede wszystkim góruje w nim olbrzymie uczucie litości. Nie nad osamotnieniem tej dziewczyny bo rzecz ta może być zbiegiem chwilowych okoliczności lecz nad tym wszystkim, co się składa na jej moralne istnienie, a co się wysnuwa jeszcze niejasno, przecież nadzwyczaj groźnie ze wszystkiego, co ją otacza. Co się złożyło na taki

wieczór, jak dzisiejszy? myśli Adam z czego powstało jej zło i jej nędza jej uśmiech wzgardzonej ironii i jej łzy? Jakiż łańcuch wlecze się za nią! Jakiż łańcuch!...

Wiśka ciągle śpi.

Od czasu do czasu wzdycha ciężko brwi marszczy i skarży się jak małe biedne dziecko. Adam swą rękę wysunął delikatnie z jej dłoni lecz nie odchodzi.

Siedzi, czuwa patrzy na trójkątną twarz tonącą w puchu włosów i słucha, jak za oknami śłania się i jęczy jarzębina i jak cichy głos Wiśki wtóruje osamotnionemu drzewu.

Sama jestem... sama...

Zegar dzwoni kwadrans, godziny. Jakiś zegar swawolny z bulwarów paryskich zwleczony. Kobieta półnaga igra z kotem, a ma twarz podobną do śpiewaczki Lise Fleuron. I głos zegara dzwoni ironicznie a łaskotliwie, kojarząc się siłą kontrastu z cichym jękiem Wiśki i tajemniczym szumem sunącej po siatce okna zziębniętej jarzębiny.

Adama powoli przejmuje dreszcz. Gorąco jest nawet w tej klatce, a przecież on ziębnie. Powstał i zaczyna cicho po kobiercu chodzić. Ogarnia go niewysłowny smutek, nie ten, który jakby koił w

nas burze i niepokoje, lecz ten, który cienkimi pazurami dobiera się do wnętrza naszej istoty, skrada się jak ten wicher, zaszyty w trawę, i potrząsa najcichsze skrytki, kryjące w sobie tajemnice czarowne naszej życiowej równowagi.

A a a!... jęczy Wiśka.

Adam zatrzymał się i na uśpioną patrzy.

Odwróciła się całym ciałem i leży tak prosto z oczyma przymkniętymi i jakby zaciśniętymi.

Na końcu pantofelka migocze teraz światełko, ręce utonęły w fałdach tkaniny.

I rzecz dziwna.

Gdy Adam spojrzał na Wiškę zdawało mu się, och! na mgnienie oka że Wiśka na niego patrzyła.

Czarne, dziwne źrenice spod rzęs mignęły i zakryły się powiekami pośpiesznie.

Dlaczego go śledziła cichaczem, udając śpiącą?

Niewysłowione uczucie przykrości ogarnęło go.

To był jakiś podstęp; jakaś zdrada i jakieś pełzanie po takim ślicznym dziecięcym nastroju prawie równocześnie z nim...

Odsunął się od okna usiadł na krzeselku i zaciął usta.

A może mi się zdawało... zakołatała w nim jego wrodzona dobroć.

Lecz już lękał się spojrzeć w stronę uśpionej baronówny.

Wolał widzieć ją wspomnieniem, niż rzeczywistością, bo wiedział, że przynajmniej go to wspomnienie nie zawiedzie.

CZEŚĆ III

Poczekaj!... czy to śniadanie dla pana doktora?

Tak.

Stój tutaj. Czekaj na mnie.

Wiśka, ująwszy w rękę sukienną angielską spódnicę swego sportowego kostiumu, przeskoczyła obramowanie klombu, dziko zarośniętego resztką kwiecia i zielska.

Haśka z tacą, na której stygła kawa, patrzyła na nią zdziwiona.

Stój, mówię ci!

Baronówna pochyliła się i zerwała parę zapóźnionych werben i bratków.

Dobierała starannie liliowe werbeny i bratki. Strzepnęła z nich rosę i zbliżyła się do dziewczyny.

Dawaj tu tackę.

Złożyła kwiatki obok filiżanki.

Zanieś to panu doktorowi. Haśka spojrzała Wiśce w oczy.

No i co?... czego stoisz? Ruszaj.

Dziewczyna, nic nie mówiąc, zawróciła ku dworowi. Nic nie zdoła określić wyrazu ironii, z jaką Haśka patrzyła teraz na kwiaty. Była w nich ukryta myśl że jeśli Adam nie złakomił się na Haśki rosłe i pełne kształty, to już nie na panny kwiatki nabrać go można.

Taki... do niczego! określa go Haśka, łomocąc bosymi nogami o dawno nie froterowaną posadzkę dworu.

Tymczasem Adam stał w oknie i widział, jak Wiśka o wczesnym ranku, o Bożym ranku słonecznym, jesiennym, na trawnik wbiegła i kwiaty rwała. W zielonej wełnie, z narzuconym na plecy brązowym pledem, zharmonizowana cudownie w barwach z jesiennym kolorytem krajobrazu, była smukłą, śliczną, rosłą i dziwnie życiową. Spływając się z barwą i liniami drzew, nabierała od nich jakby sił i mocy do pięcia się mimo wszystko w górę.

Tak, mimo wszystko!

To głównie uderzyło Adama w jego myśli.

Jaki los... jakie warunki... jak te drobne stopy krążą dokoła przepaści bez żadnego powstrzymania i w pełnym morał insanity.

Ale jak jest piękną!

Oto gnie się tam wśród zszarzałej zieleni jak palma smukła. Wykwita lirą bioder z fałd sukni, a tors jej ma wdzięk kosza, pełnego rozkwitłych kwiatów o czarnych irysach jej włosów. Ile w niej wdzięku bezwiednego i tego ślizgania się po powierzchni w zachowaniu nieskazitelnym piękna!

Haśka stawia poza nim tacę ze śniadaniem i przepelnia pokój atmosferą kuchni i przykrego, cywilizacją nie ujarzmionego potu kobiecego.

Adam, nie patrząc na dziewczkę, którą doskonale wyczuwa nadąsaną i chmurną, a nawet ironiczną chce ręką sięgnąć po kwiaty. Chwilkę

pozostaje niezdecydowany. Aż drze go do tych kilku roślinek, rzuconych ręką Wiśki pomiędzy masło i cukier. Siwe oczy Haski śledzą jego ruchy.

Boi się być śmiesznym, a czuje, że nie biorąc kwiatów, ośmiesza znów w umyśle dziewczki Wiśkę.

Jest to drobne, nikłe, małe ale jest mimo to i wiercić zaczyna moralną istotę Adama jak robak nagle

zbudzony.

Taka trwoga niewytłumaczona mężczyzny przed kobietami.

Trwoga w drobiazgach, w zerach życiowych.

Gdzie idzie o fakt silny, tragiczny, druzgocący zanika wszelkie rachowanie się. Lecz gdy trzeba wykazać coś z uczuć wewnętrznych przed kobietą najobojętniejszą a tyczących się drugiej, zaczyna się obliczenie...

Czy to jej nie sprawi przykrości?

To już jest bezwiedne, przylgnięte do męskiej natury, często dziwne i niewytłumaczalne.

Dla dziewczki folwarcznej poświęca się dobry odruch serdeczny, ciągnący w inną stronę.

Tylko dla dziewczki folwarcznej.

Bratki i werbeny na tacce wędzną nie dotknięte. Haśka z łomotem ściele łóżko. Adam powrócił przed okno i patrzy na niknącą pod drzewami parku Wiśkę.

Idzie wolno rozgarnia fałdami sukni złote liście. Adamowi przychodzi nagle na myśl, że świat kobiecy da się podzielić na dwie części.

Jak ogród, jak ogród kwiatowy, pomieszany z sadem.

I na grzędach rosną rośliny, te zwykłe, najużyteczniejsze, codzienne pomieszane dziwnym kaprysem fantastycznego ogrodnika z całą masą najczarowniejszych, wonnych kwiatów.

Naokół w słońcu latają motyle.

A wieczorem snują się ćmy.

I ten kobiecy ogród, sad rośnie, rozwija się, zbudzony słonecznym blaskiem, skąpany w rosie, rozmodlony w ciszy przedwieczornej.

Rośnie, otoczony złotym lasem strzał.

Lecz kobietykwiaty, kobiety wonne i piękne dla piękna w jakimże celu zabierają słoneczne promienie i ciągną soki z ziemi?

Tamte, pożyteczne, codzienne, zwykłe jadalne, te, które są trawą i stanowią podstawę życia, robią wrażenie, że służebnicami są tamtej połowy kobiecego rodu. Patrząc w ten sadogród, przede wszystkim widzi się przepych triumfalny kwiatów; czuje się ich woń, ku nim dążą myśli, ręce,

pragnienia...

A dopiero następnie, u stóp tamtych, rozwiewają się przymioty istot potrzebnych, o poświęcających oczach, pełnych gorzkości, oczach, które mówią:

A my? A my?...

Przychodzą bowiem te poświęcenia, to zapełnianie konieczności, zwykle za późno, po to jedynie, aby zbierać wspomnienia triumfujących woni i dziwnej piękności kobietkwiatów...

Tak myśli Adam i myśli, że Wiśka i jej matka to są jedne z tych triumfujących i bezpożytecznych czarów życiowego ogrodu. Ku nim przecież dążą pragnienia i myśli. Ku nim dąży nawet smutna dusza Rydzika, choć on nie potrafił z całą umiejętnością znawcy, poety, zmysłowca wyrafinowanego lub estety wykorzystać swoje dziwne zbliżenie się do tych właśnie kobietkwiatów. Jakież jest ich przeznaczenie, tych kobietkwiatów? Pięknieć, promienieć, rozrzucić blaski i wonie, być pieśnią o czarującej zmysły i duszę melodii, przepływającą w oddali, brylantami gwiazd o cichej poezji nocy, napoić czarem i rozmarzyć podać usta, podobne do kielicha granatu, ręką o delikat

ności liści lilii upieścić do snu, rozsypać nagle płaszcz złotych włosów,
jakby harfę o tysiącu strun rzucić w przestworze i zniknąć...

Zniknąć!...

Tak. Kobietakwiat, kobieta Wiśka zniknie jak jej matka, jak jej podobne
zniknie, przepadnie i pozostanie po niej niejasna smuga wspomnień!

Oto jej matka i prostaczego serca konający, fantazją z nią splątany chłop.
Idzie ta smuga, tragiczną znaczoną tęsknotą. A ona nawet wiedzieć o niej
nie chce...

Może kiedyś, kiedyś na starość, gdy opadnie na nią zmora uwiedła i siwa,
i weźmie ją w taniec przeklęty i ostatni ta kobietakwiat zacznie chodzić
po ścieżkach tej tęsknoty, wsłuchiwać się w nią, zbierać jej okruchy.

Po kim Wiśka zbierać będzie okruchy tęsknoty, aby odegnąć od siebie
precz rozpacz ostatecznego, starczego zapomnienia.

Kto ją kocha? Kto ją kochać będzie?...

Toczyski.

Ten nieład porzuconych resztek kolacji we dwoje, te butelki likierów do
połowy wypróżnione i te jakieś dziwne, nieuchwytnie, a przecież fatalne
spojrzenia, jakimi Toczyski jeszcze w sali Filharmonii obrzucał Wiśkę,
czy to miała być miłość?

Po Adamie przeszedł dreszcz. Czuł, że coś strasznego rozsnuwa się tu i że popełnia się jakaś zbrodnia, niczym już nie naprawiona, zbrodnia na pozór codzienna, a niemniej przecież tragiczna i straszna.

Te kobietykwiaty są przeznaczone do miłości, jedynie do miłości... ona musi snuć się dokoła nich, musi

Czy Rydzik, czy Toczyski...

Ale to przecie straszne.

Wzrok jego pobiegł w ślad za Wišką.

Zniknęła w parku, tylko drzewa octowe złote i purpurowe gięły swe wiechy, jak cały tłum poddanych kornie kłonił się w chwilę po przejściu swej królowej.

Taka cudna!...

Jak pieśń...

Jak pierwsza gwiazda, ta srebrna, przejrzysta, podczas gdy błękit kryształem się mieni.

Jak żywa myśl, gołębiem jasnym przelatująca nad melancholią zapadłych w tragiczną czerń konających dusz.

Jak śmiech dziecka, wpleciony w jęk wiecznie chorego starca.

Jak powiew wiosny, ciągnący od pól, od łąk, od siól...

Jak dźwięk wieczornego dzwonu, który nad łąką przelata.

Jak pieśń...

Jak sama tęsknota.

Jak wielkie, niezwalczone niczym Piękno!...

Proszę wielmożnego pana pić kawę, bo ja zaraz tacę zabiorę. Haśka z szumem wodę z miednicy do kubelka zlewa. Terroryzuje Adama.

Kobiecym sprytem odgadła w nim wielką dobroć.

Poczekaj, ty ścierwo! myśli ja ci za dziesiątą skórę zalezę. Nie przeszkadza przecież że gdyby Adam pozwolił sobie na jakiś śmielszy gest Haśka, nie będąc dnia tego erotycznie usposobiona „prasnęłaby go w gębę"... jak to już w piekarni głośno zapowiadała.

Niech tylko... ja go zaraz prasnę...

Rydzik to posłyszał, gdy jeszcze przed położeniem się do łóżka kraść kapustę z garnków do piekarni przychodził. Popatrzył na Haškę spode łba i syknął:

On ta za twoją kiecką latał nie będzie.

Ij?... latał nie będzie?... mężczyzna każdy lata, nie ma strachu.

A on nie będzie! upierał się Rydzik

Spoza gęstwy polepionych tłuszczem włosów Haśka pokazała Rydzikowi język.

To nic... skrzypiał głos Rydzika a on nie będzie!

Otóż będzie!

Jęzor sobie wywalaj, a on latał nie będzie.

Czemu?

Nic nie zdoła opisać wyrazu, z jakim Rydzik obrzucił Haškę.

Była w tym wzroku wzgarda tego, który nie tylko u złoconych krat saduogrodu stał, lecz któremu wolno było zbliżyć się do klombów, skąd wspaniały, triumfalny kwiat wykwitał odurzający i pełen piękna.

On nie zrozumiał, że to piękno, ale było to tak potężne i silne, że on je wchłonał i czuł...

I teraz pozostała mu tylko wzgarda dla tego, co było w kobiecie fizycznym brudem i szpetotą.

Haška nacierała z oczyma roziskrzonymi.

Czemu?

Bo on takich placków, jak ty, nie potrzebuje!... rzucił jej, cofając się ku drzwiom.

Już odchodził do oficynki, kiedy słyszał jeszcze wrzask rozwścieczonej Haški.

Śmiał się i cieszył.

Plucha... plucha... powtarzał.

Miłość własna Haški była tedy obrażona i dlatego to podwójnie wzrosła teraz jej nienawiść do Adama, który śmiał obchodzić się bez „zaczeplania” jej ciała.

Adam ze swej strony czuł się jakby winny względem Haški...

Szybko zbliżył się do stołu, kawę jednym haustem wypił.

Kwiaty Wiśki leżały jeszcze ciągle na tacy.

Haśka zbliżyła się i zręcznym ruchem, pod pozorem strzepnięcia okruszyn, kwiaty na ziemię strąciła.

Adam brwi zmarszczył.

Podnieś to! kazał jakimś nieswoim głosem. Haśka udała, że nie słyszy.

Szeroką, zeskorupiałą w brudzie nogą aksamitne bratki i werbeny rozgniotła.

I z pokoju wyszła.

Adam pochylił się kwiaty podniósł. Brutalnie były zniszczone. Ogarnął go smutek i wstyd.

Zdawało mu się, że coś bardzo wykwintnego poświęcił obryzganemu błotem zwierzęciu. Zbliżył się do łóżka. Chciał kwiaty w wodzie zamaczać i postawić ze szklanką na stoliczku.

I znów go coś wstrzymało kwiaty obmył po Haśce, ale ukrył w kartach książki...

Gdy szedł do Rydzika, spotkał powracającą z parku Wiškę.

Jakże ręka?

Kołowało mu przed oczami. Po prostu, gdy zbliżył się do niej, czuł się pijany.

Wiśka uśmiechnęła się.

Już dobrze... brzydko tylko wygląda to owinięcie. Dobierała kolory materii, którą owiażywała watę, do koloru sukni. Adam patrzył na śliczny kolor ciemnozielonego adamaszku.

Pani nawet w chorobie nie zapomina o elegancji.

Ach!... o elegancji?
Rozciągała to słowo jakby z niesmakiem.

Nie... nie... źle się wyraziłem. O pięknie.
Tak wolę.
I ja także.
Dlaczegoż od razu pan tego słowa nie użył?
Bałem się, aby pani mnie nie posądziła o pretensjonalność. Spojrzała na niego badawczo.
Elegancja sto razy więcej pretensjonalna, niż piękno. I zewnętrznie, i wewnętrznie elegancja minoderia, a piękno naturalne.
Pani przecież jest elegancka. Zatrzymała się.
Na tle octowych purpurowych krzaków, które płomieniami aż biły poza nią, była niezrównanie smukła, blada i czarująca.
Ja nie jestem elegancka...
!!!
Nie ja jestem piękna!
To było powiedziane z prostotą, ale z całą głęboką wiarą w rzeczywistość tego, co było wyrzeczone.
Wolno od oficyny włókł się Rydzik.

Polepszyło mu się o tyle, że Adam pozwolił mu wyjść na słońce.

Wlókł się pod brzozy.

Strasznie był zmarniały i nędzny. Chylił się i giął coraz więcej. Jakby go kto pościągał i pozwiązywał. I twarz zmieniała mu się teraz w dziwny sposób z dnia na dzień. Często Adamowi się zdawało, że zastaje w łóżku innego człowieka. Rysy wydłużały się, to znów kurczyły. Oczy wyrazem szklane były, to znów jak przepaść głębokie.

Znać było, że już się tam coś wkradło ze śmierci lecz jeszcze walczy i jeszcze zdobywa sobie powoli szmatami terytorium, gdzie wreszcie bezpodzielnie zawładnie i zwali w czerń to, co opierać się chciało i na krawędź tragicznie się darło.

To bezpośrednie przeniesienie wzroku z triumfalnej piękności kobiecej na zgniecioną, garnącą się do grobu postać starca aż szarpnęło Adamem.

Nigdy może nicość zewnętrznego piękna nie uprzytomniła mu się z taką brutalnością. Kto wie... może jesieni temu kilkanaście rosły, silny junak dźwigał się tu, na skraju lasu, i mówił do zapatrzonej w niego, w jego urodę kobiety:

Ja jestem piękny...

Dziś mknie krzakami, pokorny, cichy, zgarbiony... Trochę świeżego ciała i rusztowanie niekruchych kości, a oto twarz butnie ku słońcu zwrócona i wyzywający krzyk!...

Wiśka ukośnym spojrzeniem Rydzika dostrzegła. Natychmiast, jakby ujrzała jakieś brzydkie zwierzę, skreśliła się i ze śmiechem rzuciła:

Chodźmy się kąpać w złocie!...

Na polankę parku, gdzie rosły nieprześlągane lipy i dęby, wbiegła lekka i zwinna. Majestat swój cały zdawała się zrzucać z siebie razem z szalem, który padł na ścieżkę jak ogromny brązowy chart i tak pozostał zwinięty, oczekując na swą panią. Na polance zaszemrało suchym nieokreślonym szmerem. Stopy Wiśki tonęły w masie nagromadzonych liści.

Było to całe morze liści zeschniętych już i jeszcze delikatnych, miękkich, zaledwie jesienią dotkniętych. Były tu liście dębów, olch, jesionów, grabów, buków nawet delikatne liście brzoź, przyniesione z wichrem. Jak do wgłębienia morza topielce, tak padały na tę polankę, ponad którą poprzez coraz więcej nagie gałęzie drzew przeświecał delikatny turkus nieba...

Złoto biło aż do nich, bo każdy ten liść z osobna zdawał się być wypracowany misternie w jakiejś

jubilerni czarodziejskiej, umiejącej nadać złotu tysiączne odcienie, barwy i tony. Od spalonego, miedzianego cienia zeschniętych dębowych liści, suchych i groźnych do przezczystej, prawie białej jasności olchowych

listeczków, miękkich i przytulnych, były to całe gamy, cała orgia złota, tryskająca przepychem klejnotów, rozsypanych na dnie tajemniczym i obramowanym kolumnadą surowych i pełnych melancholii pni drzewnych.

W jednej chwili Wiśka wpadła w ten przepych, w to szumiące bogactwo i rzuciła się na ziemię, wpław, owinięta w zieloną wełnę swych sukien. Zanurzyła się z jakąś rozkoszą, z jakąś furją w te fale liści, gromadząc je szeroko rozpostartymi rękami.

Złote!... Złote!... wołała radośnie.

Osypywała nimi twarz, włosy, piersi, rozrzucając je kaskadami w przeczystość powietrzną. Delikatny, żółtawy pył zaczął unosić się dokoła. Wirowały w nim liście i biała ręka Wiśki. Była to kąpiel, złożona z pocałunków złotych, które biegły ku leżącej na ziemi jak niezliczone stada zbudzonych ze snu złoconych motyli.

Złote!... Złote!...

Młodość aż biła urokiem z tego krzyku, śmiało, otwarcie, jasno. Adam zbliżył się i jak zahipnotyzowany przykląkł opodal Wiśki. Nigdy jeszcze nie widział takiego bujnego rozpętania się młodości i siły kobiecej.

Trójkątna twarz blada dziewczyny pokryła się rumieńcem jak gdyby ktoś wewnątrz niej lampę zaświecił. Oczy natomiast pociemniały i miały niepokojący, dziwny wyraz bezkسیężycowych nocy podczas których słysząc w oddali jakieś jęki, szepty urywane westchnienia lub cisze straszne... przeczuć pełne. I nagle Wiśka rozgarnęła liście i białość jej zębów błysnęła jak ostrze noża.

Życie jest piękne... co?... zawołała.

Tak.

A przecież...

Urwała, zachichotała lekko, dwuznacznie.

Są głupcy, którzy sami na siebie godzą którzy chcą sobie to życie odebrać...

Patrzyła bystro w oczy Adama. Zmieszał się nieprzygotowany. Ona usiadła nagle pośród liści i ciągle pilnie mu w twarz patrzyła.

Są głupcy... według mnie... tylko głupcy...

Nie, nieszczęśliwi! Zaśmiała się długo, przeciągle.

Nieprawda. Nieszczęście można zgnieść czymś silniejszym... choćby trucizną... Bóg wie... ale czymś, co zgłuszy. Nie mam racji?... Belladonna najeść się do przesytu... Co? Jak?...

Rzucała krótkie zdania, podniecając się, nozdrza jej się rozdymały.

Wciągała w siebie upajającą woń liści.

Przyszłam teraz do tego przekonania! zakończyła triumfująco. Padła znów na wznak. Zielona wełna jej spódnicy owijała ją ściśle.

Na końcu lakierowanego bucika migotało światelko. Adam uczył trwogę.

Dlaczego truciznę? zapytał wszak można znaleźć ukojenie... Przerwała mu gwałtownie.

Nie, nie... Szał! Tylko szał!...

Ależ to krótkotrwałe i nie leczy zła radykalnie.

Po co radykalnie... Upajać się, aż zginąć! z ust młodej, niedoświadczonej na pozór dziewczyny te słowa padały jak zwarzone i przedwcześnie dojrzałe kwiaty. Nie miały ani woni, ani barwy. Były zgniłe w zarodku.

Co pani wiedzieć może!... bronił ją Adam przed tym wrażeniem, które go bólem i trwogą przejmowało.

Czarne jej oczy otwały się szeroko. Wbiła je w gałęzie drzew uciekające ku niebu.

Ja... wiem, ja dużo wiem! Ja wszystko wiem!... wyrzekła niskim głosem. Żal jakiś, ból zadźwięczał w tych słowach. Z góry, z drzew padały wolno, lecz ciągle liście padały na twarz dziewczyny, na czerń jej włosów, na jej rozchylone usta, na jej piersi drobne i tak piękne kształtem jak dwie czary, na jej całe ciało, będące akordem harmonijnym.

Tak... pani możesz wiedzieć nie przeczę podjął Adam ale wiedzieć, to nie jest czuć...

Ach!... często dowiedzenie jest sto razy jaskrawszym ujawnieniem prawdy, niż wszystkie skradające się przeczucia.

Nie w tej dziedzinie, o której pani mówi.

Niby w zmysłowej? Co?...

Rzuciła mu to zupełnie śmiało, tonem wyzywającym i brutalnym.

Tak! odparł, a jakby wstyd za nią i za siebie ogarnął go całego.

Właśnie, co do zmysłów... aby się dowiedzieć. Reszta sama naleci na człowieka jak stado

demonów... Byle się dowiedzieć... poinformować. Tak, po prostu, bez żadnych udawań, delikatnych grymasów... Tylko prosto obuchem w serce... w głowę... w to, co jeszcze dziewczynie pozostaje z iluzji, z tego, co życie ma pięknego... Prosto!... nie nie zedrzyć wszystko...

Urwała przeciągnęła ręką po czole.

Tak najlepiej.

Nie, najgorzej.

?...

Najgorzej, bo potem przez życie taka dziewczyna będzie się wlokła ze zranioną duszą, sercem...

A cóż to będzie kogo obchodzić!...

Usiadła znowu, ale była zmieniona. Podniecenie, które barwiło jej policzki, znikło. Była znów bardzo blada. Oczy przygasły.

Przede wszystkim ją samą!

Nie powinna o tym myśleć nigdy, słyszy mnie pan, nigdy. Lecz Adam przeczył gorąco.

Przeciwnie. Powinna wniknąć w siebie. Może wtedy...

Co? Co?

Może...

Szaleństwo. Nic! Rozumie mnie pan, nic jej ocalić nie może. Gdy zacznie wnikać w siebie, stanie się... głupią. Pan mnie zrozumiał.

Nie patrzyła mu w oczy. Ale on ją rozumiał doskonale. Stawała się głupią... a więc kobietą o dwóch cieniach, wlokącą się powoli pośród ciemni nocnej z myślą samobójczą. To widocznie Wiśka nazywała głupotą...

Adam jakby w skarbcu swego życiowego dorobku szukać pośpiesznie zaczął. Czym odegnąć właśnie taką myśl od tej, która za wcześniej się dowiedziała?

I nic nie znalazł, tylko tę swoją pierś biedną młodzieńczą, do której ją tam na ulicy przytulił chwilę jedną, gdy ją spod kół tramwajowych wydarł.

Tę jedną biedną pierś!

Pani się myli... zaczął niepewnym głosem są przecież...

Co? Co? przerwała mu środki, porty, przystanie? Złudzenie! Nie ma nic, nic. To, co pan myśli, to dziecinne stawianie fortu z piasku. Pan nie był nad morzem i nie widział, jak dzieci co dzień sypią

wały, fortece, pracują dzień cały na wybrzeżu, sądząc, że ich słabe budowle oprą się sile żywiołu. I przyjdzie srebrna fala morska i zgarnie w jednym mgnieniu dziecinny trud... To samo! Przyjdzie jedna fala piekielnego bólu i zgarnie taki dziecinny trud...

A to, co pani przeciwstawia, są zmyśłów, o ile dobrze zrozumiałem czy tego nie zgarnie fala piekielnego bólu?

Zamąci się przede wszystkim! Będzie mniej piekąca, mniej zżąca. Błoto wszystko zamąci.

Więc pani wie, że to... błoto.

Patrzyli sobie prosto w oczy. Ona aż uklękła wśród liści naprzeciw niego i brzóz.

Wiem! odparła hardo.

W takim razie... Przerwała mu znów.

Nie mów pan nic... to bezużyteczne. Wiem, że to błoto bom do niego przywykła.

Oczy jej pobiegły jak dwa czarne ptaki w stronę, gdzie pod brzoziami na ławeczce zgarbiony, skulony szarzał Rydzik.

Błoto!... powtórzyła z nieporównanym wyrazem tragicznego bólu, przymykając oczy i pochylając w tył głowę.

Na oczy jej spadł nagle drobniuchny deszcz złotych listków osiki, zawirował i osunął się po twarzy, czepiając się włosów.

Błoto!...

Od wsi leciuchny doleciał turkot kół.

Adam poznał go natychmiast. To był wózek Toczyskiego, który jechał do dworu.

Zjawienie się tego człowieka w tej chwili, jakby związane nicią niewidzialną a fatalną, przejęło Adama nieznanym mu wzruszeniem.

Silna wola może wszystko! wymówił, czując sam, że mówi rzeczy banalne, małe w porównaniu z prawdziwie tragiczną sytuacją tej odartej z ułud dziewczyny.

Zdawała się go nie słyszeć. Od chwili już jak zahipnotyzowana zwróciła się w stronę, skąd turkot wózka dochodził. Nagle silnym, sprężystym ruchem porwała się z ziemi, strząsnęła z siebie liście i z

dziwną ironią po raz trzeci zawołała:

Błoto!...

Szybko, rozsypując dokoła tumany wirujących liści, zaczęła biec ku dworowi. Już wózek z Toczyskim wynurzał się spoza stajen i dążył do pałacu. Wiśka biegła szybko, a siedzący w wózku Toczyski witał ją, powiewając kapeluszem. Adam przez chwilę dostrzegł różowożółtą plamę jego łysiny, rozwiane szare skrzydła prochnera i na ich tle smukłą, ciemną sylwetkę Wiśki. Za chwilę znikło wszystko za ognistą purpurą drzew octowych, które zdawały się płomieniami wybuchać z ziemi. A z drzew spadały ciągle powoli, cicho, bez szelestu liście i wkrótce pokryły złotą jasnością miejsce, na którym niedawno leżała Wiśka. Adam wciąż siedział na ziemi i coraz mu było dziwniej, coraz ciężiej. Błoto!... dźwięczało w powietrzu.

Zaledwie do wieczora zdołał Adam ten dzień jakoś przekołać. Pomimo, że Toczyski bawił w pałacu martwo było i cicho. Tylko w porze obiadowej trochę ożywiły się stosunki między kuchnią a dworem. Haśka ubrana porządniej i ogarnięta latała z półmiskami i sosjerkami. Adam dostał obiad znacznie później, choć wykwintniejszy, niż zawsze. Jakieś paszteciki, legumina... Upokorzyło go to. Pierwszy raz uczuł, że gra w tym dworze dziwną rolę. Nie dopuszczony do wspólnego stołu, żywiony „na tacy” jak szwaczka, której się podaje obiad pomiędzy maszyną do szycia a skrajanymi kawałkami materii. Widział to u wuja na wsi, gdy dziewczyna, przywieziona z miasta, naprawiała podarte alby i ornaty. Nie duma w nim zadrgała ale jakieś jakby niezrozumiane uczucie, coś, z czego sobie jeszcze sprawy zdać nie umiał. Czuł się tylko rozstrojony i zdenerwowany. Nie umiał nawet porozmawiać z Rydzikiem, jakkolwiek ten się chętnie do tej rozmowy garnał. Gdyby Rydzik potrafił o Wiśkę w swej rozmowie Adam byłby mu odpowiadał, tak był od dni kilku tej Wiśki pełny, lecz Rydzik przeważnie złorzeczył dziś Tarajewiczowi i kuchni, wygłaszał zdania ostre, lecz z

przymieszką melancholii. Nie dowierzał swemu polepszeniu, jakkolwiek szczerze był nim ucieszony.

To tylko takie cholerne mamienie!... powtarzał, patrząc na Adama i starając się coś odgadnąć z twarzy swego opiekuna.

Adam starał się po obiedzie pracować, lecz nie był w stanie. Nie rozumiał, co czyta. Niepokój go ogarniał. Mimo woli wstawał i spoglądał na siatki okien Wiśki. Jarzębina, która pamiętnej dlań nocy tak gięła się ku niemu ciekawie, dziś stała prosta i nieruchoma, uwieńczona garstką krasnych jagód na szczycie bezlistnych gałązek.

Jaka dziś dyskretna!... pomyślał z goryczą i nagle uczuł się zawstydzonym wobec tego drzewa. Spostrzegł bowiem, że myśl jego krąży ciągle tam w apartamencie Wiśki, gdzie zastawiono mały stoliczek i przysunięto do niego w tej chwili dwa małe fotele...

Odsunął od siebie „tacę” z jedzeniem i rozłożone książki. Wziął kapelusz, dubeltówkę przypasał troki i wyszedł. Wiedział, że nie idzie „zabijać” ale szedł, bo chciał oddalić się od dworu, aby przestać myślać krążyć poza drzwiami zamknięte.

Szedł daleko polem i ciągle mijał sterty złote i krzyże przydrożne. Rozsiane bo te krzyże czerniały jak owe anioły o rozpostartych skrzydłach, smukłe i nieruchome. Adam szedł tak od krzyża do krzyża, jakby odprawiając stacje pokutne. Lecz rosła w nim coraz większa boleść i tęsknota. To, co się nazywało życiem, wydało mu się walką istot nędznych i słabych z niezmierną potęgą łamaniem najcudniejszych kwiatów, okrytych rosą świeżości młodzieńczej, zalewem bagien przegniłych, chłonących w siebie cud serc ofiarnych i miłujących. Taka Wiśka wszak była kwiatem najczystszy i złamało ją w poranku o liliowym świcie

uświadomienie tego, co spienione zwierzęcym szałem w konwulsjach ślepych i szpetnych u stóp życiowego piękna się targa!

Wchłonęło jej serce świeże o czystych strunach srebrnej harfy całe bagnisko, poruszone rytmem rozbestwionego hymnu, w którym pierwszy głos wiodła jej matka! I stanęła teraz dziewczyna, ta smukła i wiotka, z ustami skrzywionymi wzdargą i goryczą na wyżynie, do której doniosły ją skrzydła młodości, stanęła bezradna, przepojona wzdargą dla uczuć najświętszych bez szerokich widnokręgów, bez niczego, co by ją w świat triumfu ducha nad ciałem wprowadzić zdołało. Nie miała w sobie rezygnacji i niezdolną była poświęcić siebie samej na ołtarzu swej godności. Silną była

zmysłowo jako żywiołowa potęga, aż dyszała chęcią użycia tego, czym sama gardziła. Nie znała obowiązków względem siebie samej, bo nie tylko jej tego nie nauczono, ale chowano ją w rozpasaniu zadowolenia wszystkich żądań niższego gatunku. Chciwość, z jaką jej matka wyzyskiwała to, co daje chwila, i zdarcie wszelkiej osłony uczuciowej z tego, co jedynie uczucie usprawiedliwa pastwiły się nad młodą, dziewczęcą duszą w potworny sposób. Namietność jej rozpetana hulać zaczynała, stawiając się nie tylko za cel, ale i jako środek do zagłuszenia tragicznego krzyku, którym sentyment o delikatnej, szlachetnej barwie spod warstwy narzuconego błota litości wołał, dnia się dopraszając...

Biedna!... Biedna!... płakało prawie w duszy Adama och! jaka biedna!... Zatrzymał się pod jednym z krzyży, pod którym kępka zapóźnionych bodiaków rosła. Tu wśród tej równi, nad którą zawisa czarująco piękna, purpurowa lampa słońca, wśród tej wielkiej przestrzeni sąd Adama o

Wiśce stawał się cały łagodnością i dobrocią. W ciasnych ścianach pałacyku plątał się w nim jakiś żal i niesmak. Tu wobec ogromu czuł jej słabość w oporze i przeciw temu, co, jak ona

sama mówiła, „nalatywało na nią jak stado demonów”. Wypuściła na nią tę armię przedwczesną jej własna matka i nie uzbroiła jej w nic, aby obronić się mogła...

Nie była to walka na wyżynach, lecz już spadek szalony... jęk... krzyk...

Kto wie?

Przekleństwo...

Może już!

A potem te samobójcze myśli, pragnienie zniknięcia i znów krzyk szal!

Błoto!

Straszne.

Dokoła tej walki tragicznej nieokreślenie stoją całe teorie krzyży, aniołów smukłych z równo rozpostartymi skrzydłami.

Krzyże znak odpędzania złych duchów.

Krzyż!...

A przecież ta walka wre i tam, w przepaść spada powoli dziewczyna, kwiat rosą świeżości obmyty wołając z jękiem, tak jak inne dziewczęta wołają z uśmiechem, iż oddają swe serce na wieczność,

a raczej z sercem i czyste ciało swoje.

A ona, tamta blada, o czarnych smutnych oczach wołać o sercu nie może, bo o nim nie wie nic, nic tylko woła... sza! Sza!...

Nad równią upadła prawie czarna kopuła szafiru, gdy Adam powrócił do dworu. Przed gankiem stał już wózek Toczyskiego. Adam okrążył go i chciał wejść na ganek, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Toczyski i odprowadzająca go Wiśka.

Proszę się wrócić mówił Toczyski.

Ani myślę.

Więc chce mnie pani stanowczo odwieźć? Ależ pani nie ubrana dostatecznie.

Mam płaszcz!

Teraz Adam dostrzegł, iż Wiśka ma na sobie ten sam biały szlafrok, w którym go w nocy wezwała do siebie.

Ha... no, to niech pani siada.

Wózek pojechał. Adam czuł, że gra dziwną rolę. Wysunął się spoza oleandrów. Toczyski pomimo zmroku wbił w niego oczy. Zdawało się, iż

chce go przejrzeć do głębi. Leciuchne zmieszanie przebiegło po twarzy Wiśki. Wyciągnęła rękę ładnym gestem:

Pan doktor Walicki pan Toczyski! Podali sobie ręce.

Ona na chwilę zjawiała się pomiędzy nimi, jakby jakąś spójnią swego ciała łączyła ich obu. Lecz już ręce ich rozpadły się. Toczyski zszedł do wózka, który podjechał, i poprawiał siedzenie. Gdy Wiśka schodziła, Adam dostrzegł na jej nogach czerwone, wyszywane złotem pantofelki. Za chwilę siedziała na koźle obok Toczyskiego, otulona w fałdy szerokiego płaszcza, i trzymała z pewną fantazją bat w ręku.

W chwili odjazdu zwróciła się w stronę Adama.

Pan jeszcze spać nie idzie? spytała.

Nie.

Ja zaraz powrócę. Odjechali.

Adam stał zdziwiony jej słowami. Do tej chwili nie interesowała się nigdy tym, co on robił wieczorem.

Stał niepewny, nie wiedząc właściwie, co mu czynić należy. Czy czekać na powrót Wiśki, czy cofnąć się do swojego pokoju...

Koło niego przemknęła się Haśka.

Ja kolację zaniósła wyrzekła, uśmiechając się. Widocznie próbowała szczęścia, ufna w nową różową bluzkę i świeżo umyte uszy i kawałek szyi.

Dobrze... odparł Adam, siadając na stojącej przed domem ławeczce. Haśka trzasnęła drzwiami, aż szyby się w nich zatrzęśły. Adamowi obecnie było to obojętne; zanadto od rana zżył się już z myślą o Wiśce, aby drugi twór kobiecy przesunął się koło niego jako istota, licząca się w

sferze delikatniejszych uczuć. Był to postęp od owej chwili wahania się z podjęciem kwiatów z tacy przyniesionej przez Hańkę.

Myszą Adam biegł za wózkiem, który już znikł zupełnie, a tylko słabo turkotał w oddali.

Tymczasem na wózku wiodła się następująca rozmowa w języku francuskim ze względu na wyrostka, siedzącego na przyczepionym wieszadełku, poza plecami jadącej na koźle wózka pary.

Więc dawno już tak mieszka we dworze? pytał Toczyski.

Dawno.

No... no...

Co?

Nic.

Dlaczego ten ton?... Milczenie.

I znów z pewnym sarkazmem w głosie:

To ładny mężczyzna.

Kto? pyta Wiśka.

No... ten... doktor. Przeciągły wybuch śmiechu.

Dlaczego się pani śmieje?

Bo... pan go nazywa mężczyzną.

Daruje pani... ale...

Ale to jest sentymentalne dziecko, panie drogi.

Już ja bym takim dzieciom nie dowierzał. Śmiech ustał.

Co pan chce przez to powiedzieć?

To... że mi się to mieszkanie z tym panem pod jednym dachem nie podoba.

Spojrzeni sobie ostro w oczy oboje. Siedzieli tak blisko siebie, że źrenice ich mimo zmroku widziały się dokładnie.

Milczenie trwało krótką chwilę pierwsza odezwała się Wiśka.

Czy pan sądzi, że każdy jest takim samym jak pan?... Mówiła ostrym, nieprzyjemnym głosem. Jakaś bezdena nienawiść drgała w tym tonie.

Toczyski uśmiechnął się ironicznie.

Tu nie chodzi o niego odparł niedbale on może mieć najlepsze intencje... ale... co do drugiej strony...

Więcja?

Aż pozieleniały światełka w jej oczach.

Mój Boże... tak... z pani temperamentem... o! o!... zaraz się burzy... to dla kobiety wdzięk jeden więcej.

Chciała mu coś odpowiedzieć. Otworzyła parę razy usta, ale słowa więzły jej w gardle. Zbyt wiele już było pomiędzy nią i nim tej deprawacji rozkosznej, drobnej na pozór i nic nie znaczącej, ażeby mogła bezkarnie okazać mu, jak go chwilami strasznie nienawidziła.

Porwała tylko za lejce i wstrzymała konie.

Ja wysiadę wyrzekła zmienionym głosem. Pochylił się ku niej
pieszczotliwie.

Wiśka!. wyrzekł Wiśka! nie bądź szalona... nie gniewaj się... Tonęła
stopami w piasku. Z całą swobodą zdjęła z nogi pantofelek i wytrząsnęła z
niego piasek.

Dobranoc panu!...

Gniewamy się?

Nie... lubię otrzymać to, na co się zasłużyło.

Przyjadę jutro!

Nie odpowiedziała nic.

Zawróciła i zaczęła iść w stronę dworu.

Toczyski wzruszył ramionami i wreszcie ruszył z miejsca. Ta dziewczyna
„działała” na niego, jak kapitalne wino. Upajał się przy niej i odzyskiwał
pozory młodości. Zdawało mu się chwilami, że kocha się, jak żak.

Tymczasem to było złudzenie, to było tylko garnięcie się wędniejącego
ciała ku młodszej,

świeższej istocie. I to, co brał za pieszczoty miłosne, to były subtelne deprawacje, idące coraz dalej bezwiednym już tempem.

Zatracił po prostu poczucie różnicy i sensacji dziewczyny uczciwej i rozpustnicy; to, co wydawało mu się niewinne, było odnośnie do stopnia zepsucia rozpustnicy rzeczywiście letnią wodą, względem Wiśki jednak czymś, co gubiło w niej powoli resztę złudzeń i dziewczęcego spokoju. Ale Wiśka na niego „działała”.

I dlatego oderwać się od niej nie mógł.

Wolno, jakby w zamyśleniu pogrążona, idzie Wiśka powrotną drogą do dworu. Idzie, nagłą do siebie przejęta odrazą i wstrętem.

Przy pani temperamencie... myśli, przeżuwając słowa Toczyskiego.

Tak... przy moim temperamencie tym wrodzonym, odziedziczonym... naturalnie tak, tak...

Chwilę dławiła się tak za gardło skurczoną ręką, iż zdawało się, że padnie. Temperament... odziedziczony.

Stała chwilę. Podniosła ku stropowi nieba, który zasiał się brylantami iskier swą bladą, znużoną twarz.

Temperament!...

Nagle zwinęła się, okryła płaszczem i raczej biegła w stronę dworu, niż szła. Jakiś brzydki, zły uśmiech ściągnął jej usta. Dopadła ganku. Z ławki podniósł się Adam.

Pan tu?

Tak!...

Usiądę przy panu!

Szybko zbliżyła się i opuszczała na ławkę. Adam usiadł obok niej. Widział doskonale jej profil, na który spadały pasma jej żałobnych włosów, i całą postać, szczelnie owiniętą szarym płaszczem, długą, wąską, nieruchomą, jakby trup, owinięty szarym całunem i do włożenia w trumnę gotowy. Jakaś silna woń pomieszanych perfum z przebijającym się zapachem, który Wiśka zażywała od bólu głowy, otaczała ją dokoła. Chwilę milczała. Nawet oddechu jej słyszeć nie było. Wreszcie odezwała się, i nic nie zdoła określić

tonu ironii, z jakim wypowiedziała następujące słowa:

Co pan o mnie myśli?

!!!

Ja panu powiem. Pan myśli śmieszna, prowincjonalna demi vierge! Tak to padło niespodziewanie na Adama i tak było przykre i brzydkie, że Adam stropiony na razie nie wiedział, co ma powiedzieć.

Ha... co pan chce... na wszystko muszą być materiały na świecie ciągnęła dalej na wszystko, nawet na tak zwane kobiety z temperamentem, które z niczym się nie liczą. I u nas w kraju, czasem na prowincji w piaskach, uchowa się taki materialik cacy... Dla drugich żer gotów...

Z ciemni ten głos wydobywający się, nabrzmiały bólem, czynił dziwne wrażenie.

Toczyski jest dawnym przyjacielem naszego domu. Miły człowiek? Co?

Nie odparł krótko Adam.

Nie podoba się panu? Taki gładki układnyz manieramino... no...

Śmiała się przeciągle.

Mnie się on bardzo podoba... Milczenie.

A co śmiesznieszego, to to że pan także mu się nie podoba.

Widocznie antypatia wzajemna.

Ach! Ciekawe!... Ale czy dla tych samych powodów?

Jakież są powody tego pana?

On... myśli...

Odwróciła się nagle i spotkała blisko siebie twarz Adama. Coś w niej było, w tej szczerzej, prostej, dobrej twarzy coś, co jej uwięziło słowa, które chciała cynicznie mu w oczy rzucić.

Czekam, słucham.

Wydobyła rękę z fałdów płaszcza potarła nią po czole.

Nie... nie... już nic nie powiem.

Czy to takie złe?

Opuściła powieki jakby ze wstydem.

To gorzej niż złe.

Ja chcę, ja muszę wiedzieć.

Po co? Po co to panu? To taka szkoda, kiedy kwiat w błoto upadnie.

Więc to aż błoto...
Wyciągnęła nagle przed siebie ramiona.
Opadł z niej płaszcz. Pod cieniuchną tkaniną szlafroka dokładnie
zarysowało się jej ciało w przód podane.
A cóżby innego mnie otaczać miało?... zawołała błoto!...
I z wolna opadły jej ręce, miłośnie przed siebie wyciągnięte. Niskim,
zmienionym głosem dodała:
Pan wie... Baudelaire powiedział błoto i łzy!... La boue et les larmes!...
Gorący ból przejął Adama.
Z błota można się ocalić.
Tak! Jeśli kto w nie wypadkiem wpadł, lecz nie wtedy, gdy kto z niego
wyrósł.
Och! I wtedy... dopomóc można.
Kto? Co?... Czy zna pan taką siłę.
Znam!
Patrzyła mu znów prosto w twarz. Przy mdławym świetle gwiazd widział
ciemne plamy jej ogromnych źrenic.

Pan zna... taką potęgę proszę powiedz, co?
Serce.

To było proste, krótkie słowo, które padło pomiędzy nich i nagle rozświetliło jakby całą wyższą, oderwaną od ziemi część życia ludzkiego. Serdeczne pasmo, które jedno jest prawdą i właściwą istotą życiową serdeczne pasmo, dościgłe tylko wielkim, przeogromnym w swej piękności duchom. Serdeczne pasmo przebaczeń, poświęceń, miłości bezgranicznych i bezcennych do którego wiedzie droga przez ból własny i odczute cierpienia wszechżycia. To pasmo, które w oddali pozostawia formułki i kodeksy ręką ludzką kreślone, ziarno pojęcia bez myśli o indywidualistycznych stopniach rozwoju uczucia lub zrozumienia obowiązków sercowych.

W tę sferę świetlną, w to pasmo promieniste, do którego dążą ci, którzy wśród grobów błędząc, filozofii przebaczeń się uczą dostać się nie mogą ci, którzy pełzają po ziemi, zlizując okruchy uczyty, przy której rozsiadł się wszechwładnie egoizm fałszywej moralności. I nigdy nie zaznają też wielkich i jasnych świat, w których białe skrzydła aniołów wiewają radośnie i zielone palmy w ich

rękach szemrzą łagodnie:

Pokój ludziom dobrej woli...

Taki to świat nagle powinien był rozśłonecznić się przed Wiśką w słowie Adama.

Lecz świat ten widział tylko on, jej oczy pozostały ślepy. Słyszała dźwięk słowa, które znaczyło dla niej rzecz małą, wybrakowaną, słabą prawie nie istniejącą. Ten chłopiec, rzucający nim niebacznie przed nią, drżącą jeszcze całą od perwersji Toczyskiego, wydał się jej po prostu śmieszny.

Serce?... nie... to za mało! zawołała to jest nic wielkie nic.
Nie to jest wszystko. Wzruszyła ramionami.
Z pana dziecko, dziecko sentymentalne. I to ma być doktor!
Może pani zechce, abym powiedział, że serce jest to organ w ciele
ludzkim...
To już byłoby lepiej.
Adam namyślał się chwilę wreszcie wyrzekł:

Wie pani, teraz ja pani odrzucić muszę jej słowa. Tam wśród liści
powiedziała mi pani, gdy mówiliśmy o świecie zmysłów: co pan wie!
Teraz pozwoli pani, że gdy mówić będziemy o świecie serca ja powiem:
co pani wie!

Nic nie wiem, bo nic nie ma do wiedzenia!

Ach, pani!...

I znów zamilkli oboje. Ona owinęła się w płaszcz i na powrót przybrała
trupią wygląd.

Patrzyła przed siebie dziwnie beznadziejnie, smutnie.

Kto pana wychował? zapytała wreszcie. Zaskoczyło go to pytanie
niespodziewanie.

Dlaczego mnie pani o to pyta?

Bo dziwi mnie, że się pan takim uchował. Według mnie, idealisci po
świecie już nie chodzą. Ostatni dostali się pod szkło do muzeów. Co?

Jak pani mnie błędnie określa. Idealista, to czcze, śmieszne słowo. To nic
nie znaczy w zastosowaniu do nas. Mówię: do nas, bo niech mi pani
wierzy jest więcej takich ludzi, jak ja, niż pani przypuszcza. Tylko trzeba
umieć dobrze patrzeć. Co chwila potraça się w życiu o serdeczną istotę.

Jest pełna najlepszych chęci, poświęci się chętnie... Tylko my nie umiemy patrzeć i przechodzimy mimo, drapując się w swój ból i mówiąc „nie mam nikogo!” A tak źle nie jest, nie...

daję pani na to słowo.

Słuchała go uważnie. Gdy skończył, dziwnie przejęty tym, co powiedział wyrzekła zimno:

To tylko zdaje się panu!

Nie, nie. Ja to wiem, ja jestem o tym najmocniej przekonany.

A ja jestem przekonana, że to są mrzonki odparła twardo. Podniosła się z ławki i zaczęła wstępować z wolna na stopnie ganku.

Z wewnątrz zapalone światło biło przez kolorowe szyby sieni purpurą, złotem i zielenią nadając jej fantastyczne, zjawiskowe oświetlenie.

Dobranoc panu! wyrzekła, zatrzymując się już pod kolumnadą. Adam już stał pod gankiem i z zachwytem na nią patrzył.

Dobranoc pani!

Płaszcz jej zsunął się z ramion. Wlokła go za sobą niedbale, a ten olbrzymi jasny tren podwyższał ją jeszcze. Coraz więcej nabierała pozorów zjawy.

W każdym razie... dziękuję panu.

Za co?

Za to, coś pan mówił, za to, jakieś pan mówił, za pana głos, uśmiech, za pana całego... Tak mi jakoś dobrze, jakbym w dzień upalny napiła się czegoś bardzo, bardzo orzeźwiającego.

I z uśmiechem czarującym, pełnym dziewiczego uroku, iść zaczęła, ku drzwiom, odwracając twarz ku niemu.

A gdy znikła poza drzwiami, Adam patrząc na purpurę, szmaragdy i złoto świateł, po których przesuwała się lekka biel jej sukni, pomyślał, że nigdy żadna kobieta nie była w jego oczach tak bliską ideału dziewczęcia, który uwieźił na wieczyste czasy na zaklętym płótnie Fra Filippo Lippi.

Panna baronówna prosi pana do stołu! tak zaanonsowała Haśka nowy postęp w normalnym przebiegu dnia Adama.

Do stołu?

Tak. Panienska kazała nakryć w jadalni i tam poprosić pana doktora.

Adam ogarnął się i wyszedł do sieni. Stamtąd zaczął błądzić po pokojach. Nie wiedział, gdzie jest właściwie jadalnia. Kroki jego rozlegały się w pustce dworu. Nagle posłyszał głos Wiśki:

Ależ tutaj... tutaj...

Wszedł do długiego, prawie pustego pokoju. Okna były obdarte z firanek. Szare światło jesienne waliło się do wnętrza. Ogromny kredens, brzydki, dźwigał się w kącie, tu i ówdzie wisiały jakieś portrety. Duży owalny stół nakryty był do połowy obrusem. Na środku stał ogromny, przepyszny bukiet liści octowych, purpurowy i miedziany. Zdawało się, że ktoś rozpałił ognisko na środku stołu. Poza bukietem wykwitał biust Wiśki, odzianej, jak zwykle, w zieloną wełnę.

Przywitała Adama kaskadą śmiechu.

Jakże... serce?

Zatrzymał się zdziwiony i zmieszany.

Czyje?

Przecież nie moje, bo ja się liczę do rzędu innych istot.

Do jakich, na Boga?

Ach... pan wie... takich z temperamentem.

Usiadła i zaraz zaczęła bardzo ładnie i z wdziękiem prawdziwej damy robić honory swemu gościowi. Przeprosiła go, że do tej pory pozwoliła mu jeść samemu, ale była cierpiąca, zdenerwowana...

Od dziś zmieni się to wszystko.

Postaram się panu uprzyjemnić pobyt w naszym domu i dopomóc do zniesienia jako tako tych przykrości, które są pana udziałem.

Adam się zadziwił.

Jakie przykrości?... Wiśka wydeła usta.

No... z tym tam...

Ach! Z moim chorym? Ależ przeciwnie. Z początku jeżył się i stawiał. Teraz widocznie choroba uchodziła go, bo stał się zupełnie możliwym do zniesienia.

No... no...

Spod rzęs przymkniętych patrzyła na niego przez szerokość stołu. Ten wzrok niepokoił go. Przypomnił mu Filharmonię, Griega, ledwo dojrzone kły krwiożercze i potem wyraz twarzy jej matki, zwieszanej z mgły nad łóżem Rydzika.

Pan ma dziwny urok widocznie pan umie uchodzić nawet dzikie zwierzęta...

Pan Rydzik nie jest zwierzęciem.

Prawie.

Rzuciła to niedbale, ale widocznie nienawiść aż wstrząsała ją całą.

On bardzo cierpi.

On?...

Tak.

Tam są nerwy jak postronki. Niech pan się nad nim tak bardzo nie roztkliwia... Lepiej jedźmy i zajmijmy się czymś przyjemniejszym. Zaczęła natychmiast mówić o tysiącu głupstw miastowych wykazując dużą znajomość tych plotkarskich drobiazgów, które biegają po ulicach miasta razem ze śmieciami i kurzem ulicznym. Lecz odbiła się o

nieznajomość tych stosunków ze strony Adama i rozmowa padać zaczęła. Wiśka była tak subtelna, iż natychmiast uczuła, że gra na fałszywej nucie. Ten chłopak prosty, dobry którego fala życia wyrzuciła z miasta na tę Ruś zapadła, był niewrażliwy zupełnie na ludzkie małości i słabostki.

Nie wiem... nie słyszałem... odpowiadał ciągle. Wiśka spuściła z tonu. Obiad dobiegał do końca mimo wszystko nadzwyczaj miły i skąpany jakąś przyjemną atmosferą domową. Wdzięk Wiśki dnia tego promieniał ogromną kobiecością. To wpływało szalenie na Adama. Nie wiedział, co mówiła. Patrzył na nią i znajdował ją piękną, choć jakąś wyzywającą i pełną ponęt zmysłowych. Gdy skończyli deser Wiśka wstała i nagle wyrzekła:

Chodźmy strzelać paszkoty.

Czy są blisko dworu?

Jest ich całe stado. Przelatują z jednej kępy drzew na drugie. Pan stanie na jednym punkcie ja na drugim i będziemy je płoszyć. Zgoda?

Zgoda.

Znikła na chwilę w głębi domu i powróciła w zakiecie czarnym i ładnym filcowym toczku, przystrojonym egretką z piór. Suknię miała bardzo zgrabnie podpiętą. Nóżki, butę w śliczne żółte buciki, stawiała prosto i śmiało.

Chodźmy.

Wyszli przed dom. Przechodząc mimo stajen, Wiśka nagle strzeliła do wróbli rozsypanych na dachu stajennym. Spadły gradem maluchnych, bezbronnych ciałek. Wiśka patrzyła na nie i uśmiech dziki

odsłonił jej kły białe.

A to się posypały...

Nie podniosła ani jednego. Przerzuciła dubeltówkę na ramię i poszła dalej. Za nią szedł Adam. Mimo woli myślał ciągle o lecących martwych ptaszkach i o odsłoniętych kłach kobiety.

I przykro mu jakoś było.

Idąc polem, po którym włóczyły się gałęzie kartofli, zrównali się z sobą. Nie mówili nic patrzyli na niebo, które pokrywało się całe jakby szarym całunem. Wicher ciągnął nisko i bił ich zdradziecko po nogach, nie dotykając twarzy, jakby pełzał powoli z oddali. Było ciężko i coś smutnego rozwłóczyło się dokoła. Doszli do dwóch kęp drzew, strzelających nagle w szczerym polu. Wiśka ustawiła Adama w gęsto zarośniętych krzakach i nakazawszy mu ładnym gestem milczenie po brzdach ku drugiej kępie przebierać się zaczęła.

Patrzył na nią przez gałęzie, jak szła stonowana i zharmonizowana do kolorytu panującego dokoła. Lawirowała wśród brzd z ręcznie i biodra jej rytmicznym ruchem podnosiły się pod obcisłym zakietem.

Gdy skryła się wreszcie w gąszczu, Adamowi zdawało się, że jakaś żałoba pokryła cały pejzaż, że wydarł ktoś punkt główny i zasadniczy, do którego zbiegały się barwy i linie.

Ona jest jak... wszystko! pomyślał z prostotą. Nagle rozległ się krzyk dziki i strzał. Zanim Adam się spostrzegł, już ku niemu darło się powietrzem mnóstwo ciemnych ptaków. Pędziły w popłochu na drzewa, pod którymi stał ukryty. Przerażone wirowały chwilę...

Strzelaj!... słychać było głos Wiśki.

Złożył się, strzelił, ale umyślnie źle i bez celu. Nagle ogarnął go żal dla tych biednych ptaków, płoszonych bez pożytku, tylko dla uspokojenia wrodzonego bestialstwa rozmiłowanych w mordzie ludzi. Ptactwo porwało się znowu i na oślep ciągnęło ku kępie, gdzie czatowała na nie w ukryciu Wiśka.

I znów się rozległ strzał, suchy łomot gałązek...

Widocznie trupy spadały z wyżyny, która im przeznaczona była na miejsce pobytu. I tam dosięgła je ręka... ludzka.

Adam nagle wyszedł z krzaków i zaczął iść ku Wiśce.

Zastał ją zgorączkowaną, zbierającą zastrzelone ptaki i przywiązującą je do troków. Jeden z nich żył rzucał się.

Rozgniotła mu głowę obcasem ślicznego bucika.

Adam wyciągnął rękę.

Co pani robi?

To, co wy w szpitalach! odparła twardo.

My!

Tak. Wy wtedy, gdy na bezpłatnych chorych próbujecie waszych odkryć i wynalazków...

Śmiać się zaczęła, patrząc mu prosto w oczy.

Chirurg!... Chirurg!...

To niespodziewane z jej strony poruszenie kwestii, która była prawie raną jego życia, przejęło go niewysłowionym zmieszaniem. Dostrzegła, że pobleadł.

Chodźmy stąd wyrzekła.

Nie pytała go, czy zastrzelił cokolwiek. Zdawała się tym nie interesować.

Widocznie szło jej tylko o własne wrażenia.

Szli znów miedzami w milczeniu, na przełaj, bez celu jakby chcieli dojść do unii, gdzie szary horyzont zlewał się z bladą, tajemniczą linią krańcową równi. W oddali cały rząd topoli nieruchomy zdawał się oczekiwać ich nadejścia. Pustka była dokoła.

Droga szara, skopana w ogromne grudy, wiła się pomiędzy polami samotna i opuszczona.

A oni szli ciągle oboje milczący, drobni zanurzając się w ten bezkres, zanurzając się we własne myśli, które, tak jak ta równia, kresów także nie miały.

Nagle przed nimi jakby z ziemi wystrzelił wielki samotny krzyż.
Nie widzieli go, choć był tak blisko zapatrzeni oboje w rozplywającą się w szarości dal.

Bodiaków kępę rozwiewał u stóp krzyża wicher. Ot prosta mogiła gdzieś, zapomniana na środku pola mogiła, z której wywiały wichry ducha i resztki popiołu i resztki wspomnienia.

Wiśka u stóp krzyża stanęła.

Odпочnę! wyrzekła zmęczonym głosem.

Wówczas Adam dostrzegł, że była blada i cała potem pokryta.

Niech pani pozwoli...

Zdjął jej z ramienia dubeltówkę i postawił ją na ziemi, o krzyż opierając...

Wiśka na jego ruchy patrzyła.

Bardzo słusznie! wyrzekła.

Dlaczego?...

Obok siebie symbol kary i narzędzie zniszczenia. Adam podniósł na krzyż swe łagodne oczy.

Co z panią?... krzyż jest dla pani tylko symbolem kary?

A jakże?... od pierwszej chwili słyszy się Bóg... sędzia... Aż drgał sarkazm w kącikach jej ust.

Nie wiem odparł Adam ja słyszę zawsze: krzyż, symbol miłosierdzia, przebaczenia...

Och!... Och!... ideał życiowy.

Jedyny.

Pan byś umiał przebaczyć?...

Zdaje mi się, że to tylko jedno. A przede wszystkim, aby przebaczyć należy potępić...

Więc pan nie mógłby potępić?

Jakież mam do tego prawo?...

Zastanowiła się i chwilę milczała. Wreszcie odezwała się z ciężkim westchnieniem.

Prawda... nikt nie ma prawa nikogo potępiać! A przecież... nieraz się całe życie pędzić musi pod wyrokiem potępienia. I to najstraszniejsze,

że się samej nic nie zrobiło jeszcze, co by na potępienie zasługiwało, a dokoła jak fala rośnie, rośnie wżgarda wżgarda... Przecież to straszne, co?...

Adam rozumiał wybornie, iż Wiśka robi aluzję do swego społecznego stanowiska. To była znowu rana ukryta na dnie jej duszy.

Tak... to straszne odparł lecz w takim razie należy utworzyć sobie swój świat własny, częstokroć więcej warty niż cudzy.

Swój świat własny!... Tak... ale na to trzeba mieć coś, jakieś podstawy, aby ten świat nie był domem z kart, które byle gorętszy powiew przewrócić może. A skoro się nie ma takich podstaw? Co robić?... Co? Patrzyła mu w oczy natarczywie. Nie mógł zrozumieć, co w nich było. Zdawało mu się, że to, co ona w tej chwili mówi, jest dla niej rzeczą podrzędną, że tam w jej myśli odbywa się cały proces, o wiele ciekawszy, ważniejszy, do którego dotrzeć nigdy nie będzie w stanie.

Trzeba te podstawy usiłować zdobyć odpowiedział tymczasem.

To są frazesy! rzuciła mu z ironią puste frazesy... Pan zna przysłowie czym skorupka za młodu nasiąknie...

Tak, ale jeżeli jeszcze jest ta młodość.

Pochwyciła z fantazją dubeltówkę i zarzuciła ją na ramię.

Nie panie, tej młodości już nie ma! Lata są... ale okrutna, brutalna szczerłość życia dała pięścią w głowę... i oto starość przyszła nagle, starość serca, duszy... Zwiędło wszystko... jak te bodiaki.

Nogą roztarta pokorne wymarzone kwiaty, pełzające u stóp krzyża.

I pozostało trochę popiołu... Iskrę ktoś rzuci buchnie ogień... Zaczęła schodzić na drogę.

Dobre i to! rzuciła jeszcze.

I odwróciwszy głowę, obrzuciła Adama spojrzeniem tak dziwnym, że na chwilę zabrakło mu oddechu.

Zwłaszcza dla drugich!... padło z jej ust, wykrzywionych jakby bolesną ironią.

Gdy dochodzili do domu, Wiśka zrównała się z Adamem i nagle go spytała:

Czy pan czasem nie miał kiedy zamiaru być księdzem?

Dlaczego?

Bo pan ma w sobie coś takiego!... Adam nic nie odpowiedział...

I stanęły przed nim nagle te wszystkie ciepłe, letnie noce, kiedy tam w sadzie, zieleniejącym dokoła plebanii, on siedział młodziuchnym chłopcem, patrzył na niebo gwiaździste i bił się z myślami.

Tak chciał być księdzem i w te noce letnie, podczas których białe kwiaty jabłoni i grusz śniegiem osypywały się na zielen trawy, a ule ciche wznosiły się kręgiem pod gałęziami drzew on, dziecko czyste, o wielkich miłosiernych oczach, marzył życie pełne przebaczeń, łagodnych słów, gestów błogosławiących i mistycznych nad rozmodlonym tłumem u stóp Ukrzyżowanego.

Tak chciał być księdzem, wznoszącym błagalnie ręce wśród kwiecia pachnącego, jak kadzielnica w miesiącu Marii, w miesiącu majowym, w którym słońce ma złote, czarujące blaski, jakby tam z nieba od korony Królowej spływał gazowy welon i krył łagodnie świat cały...

Tak chciał być księdzem, który wchodzi w niski i straszny próg chałupy, gdzie kona w tyfusie plamistym chłopędzarsz i wyschlą szyję za „dobrodziejem” wyciąga, podczas gdy ogarek świecy na kraju stołu dogorywa, a już nowy chory w sionkach z nóg się wali, jęcząc:

O Jezu!...

Na podwórku tam gdzie czerwone kwitną georginie, w koszyku plecionego płotu, stoi żandarm w pikielhaubie korkowej. Czeka, aż ten sam zamrze, i pilnować ma, aby się zaraza nie

rozprzestrzeniła...

I dla tych tam, którzy wewnątrz chałupy konają, bo nic dla nich nie uczyniono, aby siłę odporną przeciw zarazie mieli, nie pozostaje nic tylko ten „dobrodziej” ten Bóg, którego przyniesie, ten dzwonek, co w oddali zajęczy, ta stuła ze złoconym, wyszytym krzyżykiem, którego dłoń konającego mocno się uchwyci.

Nic tylko ten „dobrodziej”...

Tak chciał być księdzem.

Cichym, pokornym, drobnym, w jakiejś wiosce wśród sadów o zapachu rozkwitłych wiśni lub wśród bieli śnieżnej, poznaczonej o świcie złotą gwiazdą roratną w ośnieżonych gałęziach lip tonącego kościółka.

Lecz powoli miłosierne oczy dziecka zwracały się ku ziemi. Dział się w nim przewrót smutny. Patrzył na pracę wuja i badał jej podstawy.

To nie było to. Nie szło to z gwiazd i natchnienia. Jakaś suchość przyjętych dogmatów, które nie przepłynęły przez serce wyłaniała się coraz więcej...

I nagle Adam zrozumiał, że chcąc być takim księdzem, jakiego wymarzył sobie w nocach rozpachnionych, gwiazdzistych, nie będzie mógł nim być bez grozy anatem i nietolerancji.

I upadłszy pod jabłonią, która strząsała na niego śnieg swych płatków płakał długo cicho jakby sen najlepszy swej duszy razem ze łzami wypłakać mu przyszło w tę noc czerwcową.

Tak, chciałem być księdzem! odpowiada Wiśce.

Ona drga cała od powstrzymywanego ironicznego śmiechu.

To znać po panu!...

Idzie szybko teraz w stronę ganku. Zdawać by się mogło, że ta kobieta nie wie sama, jak ma się zachować z tym nieznanym dla niej rodzajem mężczyzny, który znalazł się na jej drodze. Przeczuwa w nim, że jest różnym, że jest innym od wszystkich jej znanych co więcej, od niej samej, i to nią szarpie to w niej wzbudza jakąś niby obrazę, gniew... Na stopniach ganku pali papierosa Toczyski. Z niezadowoleniem spogląda na nadchodzącą Wiškę w towarzystwie Adama. Jest to tylko mgnienie oka. Natychmiast przybiera minę nadzwyczaj uprzejmą. Adam patrzy na niego i uderzony jest jego mizerną postawą. Drobnny, o spadzistych ramionach, chudy, rasowy brzydki. Ma charakterystyczny tik mrużenia lewego oka od nadmiaru noszenia monokla.

Predyspozycja artretyczna... ocenia go mimo woli Adam.

Ja tu czekam już od godziny! mówi Toczyski, idąc naprzeciw nadchodzących.

Wiśka nie odpowiada nic. Podaje mu niedbale rękę. Gdy wchodzi na stopnie ganku, Adam słyszy, jak Toczyski mówi do niej:

Przyszły...

A!...

Tak. Dziś rano. Śpieszyłem się... chciałem wszystkie przywieźć.

Jest Louvette?

Jest.

I Bilitis?

Nie. Ala za to mam całego Casanovę.

Daj mi pan spokój. To starzyzna.

Niemniej arcydzieło.

Wolę Bilitis...

. Bez słowa pożegnania, bez spojrzenia Wiśka wchodzi do domu, a za nią Toczyński. Adam pozostaje sam na ganku i długą chwilę namyśla się, co ma począć ze sobą.

Jest zupełnie wytrącony z równowagi.

Z przestraczem widzi, iż dzień jego dzieli się na ten czas, który przepędza w towarzystwie baronówny, i ten, w którym pozostaje sam.

Pójdę pracować...

Lecz wie, że nie pójdzie, bo to będzie marna i bezowocna praca.

Pójdę do Rydzika!

Czuje, że musi iść gdzieś, zacząć mówić z kimś, oderwać się myślą od tych ścian, w których w tej chwili jest Wiśka w towarzystwie Toczyńskiego.

Jakie on jej książki przywiózł? myśli chciałbym wiedzieć, jak on na jej umysł wpływa. Bilitis, Casanovę... nie znam ani jednej z tych książek... Chciałbym wiedzieć.

Doszedł do oficyny i natknął się na Rydzika w sieni. Ten chował jakiś garnczek do beczki.

Co pan tam masz? zapytał ostro.

Nic... nic...

Adam pochylił się i wyciągnął z garnka kilka pierogów nadzianych kapustą. Otworzył drzwi i wyrzucił

je na dziedziniec. Rydzik patrzył na niego i głową kręcił.

To nie po chrześcijańsku!... wyrzekł wreszcie.

A po chrześcijańsku to, co pan robi?

Niby, że pierogi ściagam?

Nie. Ale, że się pan dobija.

Nie mógł powiedzieć „zabija” wobec tego skazańca na śmierć.

Niespodziewanie Rydzik ten subtelny odcień wyczuł i zrozumiał.

Ano podjął pan doktor widzi sam, że mnie już jeno można dobić, jak takie psie ścierwo, szkapsko, co je wywloką na trzęsawisko, ażeby zdechło. Więc czego mi bronić!...

To mój obowiązek.

Rydzik westchnął i załamał ręce tak, że w nich aż chrupało.

EL. kto o tym na świecie myśli! Mało to ludzi, co powinni swoje obowiązki spełniać, a im się ani śni! Ani to dzieci dla rodziców, ani to żony dla mężów...

Ostatnie słowa wymówił z szaloną goryczą.

A jakże... takie morowe cholery...

Weszli razem do pokoiku, w którym panował jakitaki ład. Widocznie Rydzik sam się zwłókł i trochę sprzątał. Kto u pana dziś sprzątał? zapytał Adam.

Ano... ja sam!

Zakazałem panu schylać się i połykać kurz...

Rydzik trzęsącymi się rękami zaczął po powietrzu machać.

No... więc jakże?... Przecież pan sam mnie za brud łajał. A potem, nie wiadomo, kiedy co... może dziś, może jutro... W piekarni mówili... kto wie...

Coś chciał wypowiedzieć, ale nie śmiał. Przy piecu stanął i czerwonymi oczami na Adama patrzył.

Pan z tą ścierwoską Wiśką chodzi... to może pan co słyszał...

O czym?

Niby... względem przyjazdu.

A... nie, nie słyszałem.

Rydzik teraz oczyma w bok umykał jakby zawstydzony.

Bo... tak... mówili... że z Wiednia.

Nic nie wiem. Ale jak pan chce, to się dowiem.

No... to właśnie. Niechby się pan dowiedział, ale niby dla siebie. Bał się widocznie drwin

piekarnianych i, jak mógł, wieści o „nieobecnej” chwycił.

Bo to, proszę pana... podjął znowu z taką, jak ona, to nic wiedzieć nie można. Tak jak odleciała, tak może przylecieć. Z nią było tak zawsze. Dziś to było dobre, a jutro na śmiecie, a potem znów do śmierci... i to, co rzuciła, gwałtu, wyciągaj!... Ona może zlecieć tutaj, że ani patrzeć! Niech no tylko! to! wtedy no...

Ręką w stronę kuchni pogroził.

Marna ich godzina. Wszystko powiem, jako mnie poniewierali, a ją kradli! Wszystko!... A ona mnie, a nie im uwierzy...

Obejrzał się dokoła.

Widzi pan ona jest taka, że pluchów nie lubi, więc trza jakiś ład zrobić. A że mi nikt nie dopomoże więc ja sam, jak mogę. Bo jakże, skoro przyjedzie i tu przyjdzie? Co?

Adam doznał jakiegoś uczucia litosnego żalu; to krzątanie się tego wielkiego biedaka, opuszczonego, noszącego śmierć w sobie, aby ta, która mu rzeczywiście życie zdruzgotała, nie znalazła śmierci za progiem grobu, w którym żył było rzeczywiście rozczulające.

Ja sam dopilnuję, że zrobią tu porządek.

Aby tylko firanki założyć i pajęczyny obmieść mój panie...

Dobrze, dobrze...

Milczeli długą chwilę, wreszcie znów się odezwał Rydzik:

Pan doktor wie? Ja pana doktora lubię.

Cieszy mnie to.

No, pewnie. Bo ja mało kogo lubię. Cóż ludzie? Psy więcej warte. To jedno na drugie ujada. Nic więcej. A pan się człowiekowi pod serce zaszyje...

Czym?

Nie wiem. O, taki pana głos dobry i oczy. I tak pan koło mnie chodził, nie jak doktor, ale jak poczciwa baba. Ja na pana leciał z początku jak odyniec z kłami. A pan mnie wziął dobrocią... I ja teraz za panem w ogień.

Szczerze temu jestem rad.

Tak ja panu chciałbym jedno powiedzieć urwał zakłopotany i zaczął przestępować z nogi na nogę. Chciałbym pana ostrzec...

No... no...

Oczy Rydzika pobiegły w kierunku portretu baronowej.

Tylko, że nie śmiem... bo cóż ja...

Skoro mi pan dobrze życzy?

Ale jak!... tak, jak sobie. Ano... to... Ale nie będzie się pan ciskał?

Nie.

Słowo? Takie pańskie słowo?

Słowo!

No to niech się pan trzyma z daleka od tej... no... od tej drugiej.

Nie rozumiem?

No od Wiśki.

Kiedy ja nie jestem jej bliski.

Aha! Ja tu kiedyś widziałem, jak ona w parku przed panem wyrabiała. Leżała na ziemi i liśćmi na siebie rzucała. Panie doktorze to wiedźma. One tak obie wyrabiają! Ta młoda się tak od matki nauczyła... Tamta także przede mną nieraz na ziemię się tak przewróciła i tak się po trawie czochrała... A u mnie krew nie woda... Tak ja aż no... I panu doktorowi musiało być tak samo gorąco!

Adam uśmiechnął się mimo woli.

Nie panie Rydzik.

Albo to prawda! Przecie pan mężczyzna.

Cóż z tego?

No każdy chłop jest jednakowy.

Nie, panie Rydzik. Nie każdy. Są tacy, którzy inaczej patrzą na kobiety.

Choć się tak po ziemi wywraca?

Choć się tak wywraca.

Rydzik pomyślał chwilę wreszcie pokręcił głową.

Chyba jakie niedojdy! mruknął.

Adam nic nie odpowiedział, tylko starał się w głębi siebie zbadać, czy rzeczywiście tam w parku, wobec Wiśki, nie czuł jakiegoś niepokoju tej natury, o jaką Rydzik go posądzał.

Lecz tak nie było. Adam zbyt dużo nędzy kobiecej, nędzy fizycznej i moralnej w czasie swego krótkiego życia duchem i wzrokiem objął

ażebym w kobiecie nie widział natychmiast całej jej istoty. Triumfującą Wenus zakrywał przed nim obraz strasznego cierpienia, przez jakie wlec się musiała istota, dla której miłość była treścią życia.

Przez chłostę bólu, łez, wzgardy, walk tragicznych, często przewyższających ludzkie siły, wyławiała kobieta z odmętu fal życiowych tę treść ubogą w uśmiech, a przebogatą w łzy...

Nie to nie Afrodyta, pełna czaru rozpienionego upojenia leżała przed nim wśród złota liści, nie triumfatorka chwilowa nad szalowym głodem mężczyzny, lecz wieczyście zraniona męczennica

własnego serca, które krwawym rubinem w swej białej piersi nosiła...

Czy jej winą było, iż albastrowa urna jej ciała wzniecała przede wszystkim w mężczyźnie myśl sprofanowania tej urny chęcią zaspokojenia płynących po nerwach dreszczy?

Czyż była to jej wina?

Adam patrzy na Rydzika i myśli, że tego, co mu przez umysł tak jasno się przesuwa, nawet próbować tłumaczyć nie należy. Rydzik tego nie pojmie.

Rydzik widzi leżące na trawie tylko foremne, ciepłe ciało

a nie serce rubinowe, które zatonać ma w powodzi łez.

A Rydzik mówi dalej:

Pan wie, panie doktorze... ta młoda, to jeszcze będzie gorsza, niż matka.

Od dziecka takie to było, że tylko oczy się za nim ciągnęło. Po parku sobie tak chodziła jak rajski jaki ptak. Dobrze to niby, przyleciało czasem do mnie pogłaszczę poprosi, ale zawsze niby na swoją korzyść, jak jej czego było potrzeba. Tak samo i matka.

Później bij zabij! Pluje odwraca się, bo już ma dosyć swojej korzyści. Tak może być i z panem. Niech pan o słowach Rydzika

pomyśli! Aby pana nie pociągnęła pan za nią już... tego... Jak do miodu! Ja też do tamtej jak do miodu!... A to więdźmie lepiej za pazuchę. Bo to potem od innych aż odrzuca. I co? I co?... Jakby kto pazurami człowieka szarpał.

Adam powstał z kuferka, na którym siedział.

Niech się pan o mnie nie boi, panie Rydzik. Nic podobnego ze mną się nie stanie.

To też to., to byłaby pana okropna szkoda. Dla niej to ten łysielec, co u niej teraz siedzi... o! w sam raz. Oboje siebie warci. To ściervo, panie doktorze! Dla niego co z brzegu, to nieprzyjaciel. Ile on już kobiet w sąsiedztwie unieszczęśliwił!... Z jakie dziesięć! Panny, mężatki. One wszystkie za nim. A za czym? Niech pan sam powie! Taki morowiec, zgnilek, łysy, paskudny! Żeby go ostatnia cholera zatłukła!...

Aż posiniał cały z gniewu. Straszna nienawiść miotała nim do tego człowieka, który zawsze mimo wszystko zachowywał łaski baronowej.

On ją wyrychtuje!... dodał z jakąś radosną ironią ale niech tam! Swój swego znajdzie...

Adamowi zrobiło się duszno.

Idę już późno... wyrzekł, biorąc za klamkę. Rydzik wyszedł za nim do sieni.

Ja mam prośbę do pana doktora wyszeptał przyciszonym głosem.

Dobrze mówcie. Tylko nie o pierogi z kapustą, bo na to nie pozwolę!

Nie, nie. To całkiem co innego. . Co?

Oto... pan zna Babcię?...

Babcie?

No tak. Tę starą kuczkę Wiśki.

Ach tak... kuczkę. Więc o co chodzi!

Otóż, ona jest bardzo stara i już zupełnie do niczego. Tarajewicz, psia morda, uradził, że szkoda Babcię żywić, że to niby już zdechlak i mają ją jutro wyprowadzić o świcie przed las i zabić... Tak tedy niby, że to od Wiśki zależy więc może pan doktor się wstawi, aby Babci nie zabijali, ale mi ją...

Dali?

Nie. Sprzedali!

W ciemnej sionce panowało chwilę milczenie, wreszcie znów dał się słyszeć głos Rydzika stonowany, złagodzony chorobą i sentymentem, którego widocznie się wstydził.

Mam parę rubli niby schowane ale chciałbym bydlę od złej śmierci ratować. Ja się do niej przyzwyczałem bo to ona ze mną pamięta lepsze chwile... Pan doktor się śmieje? Nie to tym lepiej. Po co ma ginąć od kuli? Ha?... Tak ją dawniej cackali, cukier z łapy jeść dawali.. Wiśka na niej po parku jeździła, ja za uzdę trzymałem. Nic, tylko kucka i Rydzik! Rydzik i kucka... A dziś pomsta na nich dlatego, że stara to psia mać, zamiast dać łaskawy chleb, kulę w łeb... Oni mi jej nie sprzedadzą. Jeszcze się naśmieją, a ja zaraz ich w zęby i ot, awantura gotowa. Więc może pan doktor chytromudro niby dla siebie... a potem niby pan doktor mnie darował. Co? Jak?

Chętnie.

Adam prawie rozrzewnił się tą propozycją Rydzika. Jedna nędza ocalała drugą przed śmiercią. Przypomniawszy sobie, jak pierwszego wieczoru, gdy przyjechał z profesorem, ujrzał Rydzika tulącego głowę do łba kucki. To było teraz wszystko tego człowieka, to półślepe, łyse, biedne zwierzę.

Chętnie... powtórzył ale gdzie Rydzik będzie kuckę trzymał i czym żywił?

Ja już to wszystko sobie obmyślił. Może pan doktor się boi, że ja mu nie wrócę? Ja dam naprzód... tylko dużo nie mogę, bo nie mam. Może sprzedadzą za trzy, cztery papierki. Co?...

Już o to niech się Rydzik nie troszczy. To mniejsza. Ja to już panu urządzę. Dobranoc panu.

Dobranoc! A przepraszam, że się tak ośmieliłem, ale ja się tam do tej ścierwoskiej Wiśki nie odezwę. Pan tam z nią lepiej to tego..

Dobrze!... dobranoc...

Wyszedł przed oficynę i doznał wrażenia, że gwiazdy są tak nisko, iż opierają się o dachy stajen i przybudówek. Przytłaczały go. Coś go wewnątrz aż ssało niezrozumiałym dla niego bólem serca. Oczami gonił ku dworowi.

Łagodna smuga światła płynęła z okien baronówny.

Swój swego znajdzie... tętniło mu w uszach.

Spoza krzaków bzu, bezlistnych jak różgi, wyszedł Tarajewicz. Za nim śpieszyła cała sfera jamników, które niedawno sobie na lisy sprowadził.

Dobry wieczór panu doktorowi!

Dobry wieczór. Ja mam właśnie interes do pana.

Proszę, proszę...

Pan jutro ma strzelić w łeb tej starej kucce, co?...

No... niby. Po co takie paskudztwo trzymać? Dosyc się nasłużyła. Panna baronówna sama kazała.

Ach!... więc to panna baronówna?

Naturalnie, bo to niby jej własność.

Chodzi mi oto, aby pan tę egzekucję wstrzymał.

?...

Tak. Proszę nie zabijać Babci do jutra, do południa. Tarajewicz się roześmiał.

Po co ona panu doktorowi?

Potrzebna mi... chcę na niej wypróbować pewne lekarstwo... Tarajewicz dowcipnie oko przymrużył:

Niby, że jeśli konia nie zabije, to już można je dać człowiekowi?

Niby!...

Ano, to niech tam będzie. Daruję jej ten dzień. Ona i tak już jest wywiedziona na łączkę koło

Bodni... Tam ją zostawili...

Dobranoc panu!

Dobranoc. Rozeszli się.

Adam natknął się na wózek Toczyskiego, oczekujący przed gankiem.

Nagle nie stało mu oddechu. Nie chciał za żadną cenę spotkać się z tym człowiekiem i z Wiską. Przeogromny żal jakiś w nim rósł i potężniał.

Szybko i cicho się przekradł do swego pokoju pozamykał okna zapuścił story i, odsunawszy tacę z kolacją, rzucił się ubrany na łóżko.

W głowie mu huczało od cisnących się myśli. Ośrodkiem ich była bezwarunkowo Wiśka. Przede wszystkim zjawiła mu się jako okrutna istota, nie posiadająca w sobie ani źdźbła tego, co ludzie zwą religią pamiętek. Dalej, zabijała dla dreszczu rozkoszy. To było widoczne.

I co najstraszniejsze, dla tego dreszczu zabijała nie tylko inne stworzenia, ale i siebie samą, czystość i godność swą dziewczęcą, oddając się z taką łatwością w ręce rozpustnika, dyszącego chęcią osiągnięcia jak najwyższej sumy sensacji niższego gatunku.

Swój swego znajdzie...

Nie sądził jej Adam nie potępiał. Był zawsze konsekwentny w swym postępowaniu i miał jedną wytyczoną linię. Z bagna powstała. Nie zrozumiała wzniesienia się ponad pewne zakreślone już koło. Ale żal, żal straszny przepajał mu duszę.

Czasem w prosektorium napotkał nagie ciało dziewczęce, delikatne ledwo rozwinięte rozciągnięte na zimnej płacie blachy. Ciało to za chwilę miało stać się kawałkiem ścierwa, zwanymi „preparatami”...

Rozwleczone Bóg wie gdzie... kości rozpiłowane reszta wrzucona do wanienki...

I żal ścisnął nim żal.

Takie śliczne jeszcze w linii, w kolorze, w tej trupiej bezsilności pełne czarującego bezwładu.

Mniej więcej teraz czuł to samo, myśląc o Wiśce.

To samo i może coś więcej jeszcze.

Szmer kroków, głosów wreszcie turkot.

Toczyski odjechał.

Odjechał sam, bo Wiśka drzwi od ganku zamyka. Nie wchodzi jednak do domu. Stoi pomiędzy słupkami, ogląda się na coś jakby czeka. Dokoła dworu cisza i pustka.

Ławeczka stoi osamotniona. Z okna Adama płynie światło przyćmione storą. Adam leży na łóżku nieruchomy. On wie, że tam na ganku Wiśka się za nim ogląda. Czuje to. Już się przez te kilka dni wysubtelnił w rozumieniu drobiazgów miłosnych.

Wiśka cicho schodzi ze stopnia i obchodzi klomb on ją widzi osłoniętą długim, szarym płaszczem spod którego suną się za nią białe fałdy jej sukni. I drobne stopy w czerwonych pantofelkach toną w piaszczystym gruncie.

Te drobne, małe stopy...

Teraz stoi na środku drogi i patrzy wprost w jego okna.

Wieńce gwiazd ma nad głową, nad czarnymi pasmami włosów, gwiazd tak bliskich, że zdają się być iskrami, które jej płomienny fluid dokoła niej zapala.

Patrzy w jego okna, jakby go ku sobie wyczarować chciała...

Lecz on ku niej nie wyjdzie, bo w sercu jego rośnie żal... żal!...

I jakiś wstyd, wstyd, który ona mieć powinna cienką zasłoną dokoła swej dziewiczej postaci, a którego w niej nie ma.

On za to ma go w sobie za nią, za tamtego człowieka. Więc wstyd i żal...

Chyba, że to są niedojdy! zadźwięczał nad nim głos Rydzika. Może.

Lecz on inny w tej chwili być nie może, nie potrafi. Co więcej, on chętnie rozplakałby się i łkał i szlochał, jak wtedy, gdy był dzieckiem.

Teraz coś bardzo blisko pod jej okna podchodzi, snuje się delikatnie koło szyb zasłoniętych. Bardzo blisko jego okien...

I nagle Adam słyszy kroki szybkie po stopniach, zatrzaśnięcie drzwi wchodowych i szmer sukien, oddalający się w głąb domu.

Panna baronówna weszła do swych apartamentów.

Teraz będzie czytać... myśli Adam.

Lecz co?... co?... Czym on ją przepaja podczas swej nieobecności? Czym?

A kto nie zrodzony na bezkresnej równi, ten nie może wyczuć
przejmującej melancholii jesiennego ranka.

Nie może wyczuć i nie może się z nią spłynąć w jedność i stać się nią
samą.

Bo, gdy tak świt szary dźwignie się kopułą nad płaszczyzną ziemi, gdy w
lirę wygięte sosny czernieć powoli zaczną w jakiejś mlecznej parze, która
ni to z ziemi wypływa, ni to w ziemię wsiąka, gdy drogą piaszczystą sunąć
zaczną w bure świty odziane ludzkie postacie ciche, milczące, wiecznie

czekające na coś, co im ten świt ma przynieść powstaje w sercu taki ogrom tęsknoty beznadziejnej, zrezygnowanej, że chwilami serce ludzkie zmieścić jej nie jest w stanie.

I zda się wtenczas, że to serce rozpęknie jak dzwon rdzą zjedzony, który głosić ma radosne i zbyt triumfujące Alleluja.

Rozpęknie jak puch mleczny na łące, gdy wicher, czając się wśród traw, szarpie jego łodygą i śniegiem po ściernisku rozwieje. Rozpęknie jak kropla deszczu, zawisła na gałęzi drzewa cmentarnego, gdy w niej

tęczowy blask słońca zagra mocną harmonią barw, które aż bołą bo mają w sobie ostrą jasność nie stopioną mgłą łez.

Rozpęknie takie serce i potem wlecze się wśród hymnów światowych złotawe porysowane niby urna, z której popioły się sypią.

Ach! Te smutne jesienne ranki.

Adam szybko porwał się z posłania. Przespał noc całą odziany. Świeca zagasła na stoliku około łóżka. Przepojony był cały gorącością i smutkiem.

Przypomniał sobie, że Rydzik czeka na rezultat pertraktacji o Babcię.

Jakieś niezadowolenie ogarnęło go. Nierad był temu, iż będzie musiał wdać się w tę sprawę. Nie chciał widzieć Wiśki. Pragnął odwlec każde z nią spotkanie. Wczorajszy wieczór zaznaczył się rysą w jego stosunku do niej. Czuł, że zobaczenie się z nią rysę tę tylko pogłębi.

Umył się, przebrał i podniósł story.

Pierwszą istotą, na jaką padł jego wzrok, była Wiśka.

Stała przed dworem i, opierając nogę na ławce, wiązała sobie sznurowadła od bucika. Odziana była w ciemnobury kostium na wpół myśliwski o

krótkiej spódniczce i zakiecie ubranym skórzanymi wypustkami. Na głowie miała rodzaj beretu z szarego sukna. Błada była i ta bladość uderzyła przede wszystkim Adama.

Jak alabaster... aż przejrzysta rzec by można, bezsenna noc dotknęła ją swym skrzydłem.

I zaraz dodał:

Muszę z nią pomówić, a co gorsza, muszę przed nią, skoncentrowaną w rozkoszy niszczenia, roztoczyć obraz drobnej, smutnej walki nędzy, bijącej się o utrzymanie drugiej nędzy. Czy ona pojmie, czy ona zrozumie to, co popycha Rydzika do jego prośby? Czy odczuje całą piękność takiego sentymentu, tulącego się u krawędzi grobu do przejawów życia? Czy ona to zrozumie?

Wyszedł przed ganek i ku Wiśce podszedł.

Dzień dobry pani!

Starął się mówić o ile możliwości pewnym głosem.

Dzień dobry!...

Nie patrzyła na niego. Uciekła precz z oczami w stronę ścieżki. W jednej chwili Adam czuł, iż jest mu dziś nieprzyjazna i daleka.

Ja do pani z prośbą...

Proszę... ale ja idę w stronę Bodni. Może mi pan będzie towarzyszył. Mam tam coś do załatwienia.

W stronę Bodni? dobrze mój interes odnosi się właśnie do tego miejsca. Szli już ścieżką. Chłód wiał jakiś. Wiśka miała na szyi sobola, który miękko otulał jej owal twarzy i zabawną mordeczką pod brodą się kończył.

Słucham pana...

On znów myślał, że nie podała mu ręki, że zdawała się być mu zupełnie obcą, bez żadnej z nim łączności...

Chciałbym coś od pani kupić.

Co?

Nic nie zdoła opisać wzdardliwej ciekawości, z jaką Wiśka to słowo wyrzekła. Jakże w tej chwili daleką była od dostojności kasztelanki, idącej wolno w stronę lasu dzid złotych lub bieli niepokalanej łagodnych, czystych dziewcząt włoskiego mistrza.

Nie będzie to ani kilkaset morgów lasu, ani nawet jedna sosna podjął Adam nie będzie to nawet życie ludzkie. Ja od pani chcę kupić życie zwierzęcia.

Nie rozumiem pana. Czy nie chce pan, ażebyśmy jedli dziś kapłona? O to panu chodzi?

Nie... chodzi mi o to, aby odkupić u pani przeznaczoną na zastrzelenie kuczkę...

Babcię?

Tak.

Oczy Wiśki oderwały się od przestworza. Ukosem spojrzała na Adama.

To... próchno! Trzeba, żeby znikło.

Niech zniknie samo!

Wcale nie. Co nie przynosi ani estetycznego, ani realnego pożytku, niech ginie!

Swoją śmiercią!

Wy buchnęła złym, niemiłym śmiechem.

Każda śmierć jest swoja! odparła.

Szli chwilę długą w milczeniu. Adam drżał cały ze wzruszenia. Nie chciał się z tym wydać, aby nie podać się na szyderstwo tej dziewczyny. Spod nóg wyrwało się im stado kuropatw. Szparko, sznureczkiem przebiegły drogę i zginęły na łące, która wiała srebrem jakichś delikatnych, spóźnionych traw. W oddali błyskała purpura ognia, przy którym ciemniały sylwetki pastuchów. Po obu stronach drogi sterczały sosny,

prosto wyrosłe z fali żółtego piasku. Gdzieniegdzie zupełnie niespodzianie ciągnęła się linia brunatnych wrzosów. Ptaki bardzo cicho i nieśmiało odzywały się w gałęziach.

Z daleka ktoś drzewo rąbał, słyhać było łomot siekiery.

Nagie odezwał się głos Wiśki:

Jakie pan ma przewrotne pojęcie o potrzebie życiowej egzystencji.

Przewrotne?

Tak. Bo panu się zdaje, że każde życie jest nie tylko miłym, lecz koniecznym...

Inaczej nie byłoby wciągnięte w rejestr istnień.

Pan jest śmieszny. Każda żyjąca istota jest dziełem przypadku. Niczym więcej. Skoro taki przypadek przybiera rozmiary tragicznej katastrofy, najlepiej go unicestwić... Zdaje się, że tylko tak postępując, przynosi się ulgę tym, którzy nie żyją, ale... wegetują.

Adam zaczął bronić się gorąco.

Gdyby sama natura nie postanowiła kresu, to jest śmierci, słowa pani miałyby coś w sobie prawdy. Ale tak, jak jest należy pozostawić wszystko naturalnemu biegowi.

Ja nie rozumiem, że pan właśnie to mówi.

Dlaczego ja?

Bo dotknąwszy się tak blisko rozkoszy życiowych, pan powinieneś wiedzieć, że największym szczęściem jest zginąć.

Tak. Ale ja właśnie poznałem, jak szalone, jak straszne jest przywiązanie istot żyjących do życia jaki instynkt samozachowaczy budzi się w chwili

śmierci i dlatego mówię pani to, co pani chce zrobić, jest prostym morderstwem.

Zatrzymała się chwilę i spojrzała mu po raz pierwszy tego dnia w oczy.

Skąd pan wie, że ja to chcę uczynić?

Bo dyszy pani cała pragnieniem zniszczenia. Wieje od pani mordem słyszy pani?

Stali tak naprzeciw siebie. Ona mimo woli wsunęła rękę w kieszeń żakietu.

Nie chcę mordować krzyknęła chcę oswobodzić!

Raz jeszcze powtarzam, że nie ma pani prawa.

Mam prawo zniszczyć to, czego nienawidzę.

To biedne zwierzę?

Nie... zniszczyć życie! Ja nienawidzę życia, ja chciałabym zniszczyć wszystko, wszystko, co żyje siebie, pana te drzewa, ptaki, tych tam ludzi... wszystko, wszystko...

Wpadła jakby w szal. W rękę jej mignął rewolwer. Strzeliła w powietrze, dokoła siebie raz i drugi. Mignęła w błękanie ognia strzeliła do drzew, w kierunku ogniska...

Zabić!... oswobodzić... oswobodzić!...

I nagle biec zaczęła. Za nią podążał oszołomiony Adam. Wpadli do lasu i przez króciuchną chwilę przedzierali się przez gąszcz.

I nagle wydostali się na spasioną zupełnie łąkę ogromną, zlewającą się szarą linią z bezkresem horyzontu.

Rzadkie bodiaki i jakieś szerniałe gałęzie włóczyły się gdzieniegdzie. Wydeptana i wyżarta trawa do ziemi przyległa. I pustka była straszna, pustka ogromna, cały cmentarz minionych chwil i czaru słonecznego, który nigdy nie wróci. Zdawać się mogło, że na ten szmat ziemi nie spadnie już nigdy snop jasnych promieni, że nie zaszumi na nim łan trawy i brązowe chrząszcze nie zawiodą w niej

swej monotonnej czarującej piosenki. Wszystko tu, zda się, zamarło w jakiejś smudze łez, które wylały oczy szare duchów wybladłych, duchów melancholijnych, wlokących się korowodem wygnańców po resztkach wydeptanej mogilnej trawy.

Adamowi, gdy wydostał się na polankę, kirem powiało od tej łąki tragicznej, po której nawet wicher nie ciągnął, taką miała w sobie martwość przeklętych zapadłych miejsc. I gdy objął ją wzrokiem, dojrzał na tej pustce jedyną istotę żyjącą sylwetkę wychudłą konia ze spętanymi przednimi nogami, z opadłą w kudłach i jakby przez mole zżartą grzywą. Ile tragizmu miał w sobie ten stary szkielet, wygnany tu na chłód i osamotnienie, ten drobny, nędzny szkielet nieruchomy i zrezygnowany opisać niepodobna.

I nagle rozległ się strzał.

To Wiśka strzeliła do szkieletu konia, do tego widma zziębniętego, na wpół ślepego, wykwitłego na pustce łąki jak siwa mara na zapomnianym samobójczym cmentarzu.

Porwała się z krzykiem gromada czarnych wron i z krakaniem zaczęła krążyć ponad ugorem, ponad kucką, która padła ogłuszona na przednie spętane nogi i w tej pozycji błagalnej, pozycji człowieka, którego ściąć mają, pozostała długą chwilę.

Adam do Wiśki dopadł i w chwili, gdy zmierzała się, aby ostatnim nabojem zastrzelić konia podbił jej brutalnie rękę. Kula poszła w górę, ku szaremu nieprzezroczystemu niebu, a stado wron z krakaniem coraz szybciej krążyło, żałobne i na ścierwo chciwe.

Przy drugim strzale kucka dźwignęła się na nogi obejrzała się, jakby szukając ratunku, i widząc się samą wydaną na łup śmierci, znieruchomiła znowu na tle szarego horyzontu.

Tylko kudły jej grzywy zakryły zupełnie jej bielmem zaciągnięte ślepie, a nogi skurczyły się biednymi pokręconymi liniami.

Czekała śmierci.

Wiśka opuściła rękę. Nie miała więcej naboju. Czuła się już bezsilną. I nagle zwróciła się z nieopisanym wyrazem twarzy ku Adamowi:

Dlaczegoż mi pan przeszkodził? Dlaczego pan ciągle staje pomiędzy mną a śmiercią? Dlaczego?...

Jasno i otwarcie zwróciła się ku niemu, przypominając mu owo zajście na ulicy, swój zamach samobójczy...

Los mnie stawia pomiędzy panią i zniszczeniem! odparł blady jak trup Adam.

Nie los... pański fałszywy sentyment! Ale dosyć tego!... Rozumie pan! Mam prawo śmierci i chcę je wykonać. Na drugich... na sobie!... Muszę... muszę...

Chciał jej przypomnieć, jak niedawno wołała „głupcy chcą umrzeć” ale widział ją oszalałą, podrażnioną. Pragnął za wszelką cenę, aby się uspokoiła.

Dlaczego pan chcesz, aby się... wypełniło? Dlaczego ja, inni mamy się męczyć, skoro i tak kres nasz śmierć? To nie ja okrutna, to pan, który wymyślasz podtrzymujące siły leki. Pan i jeszcze podobni! Wyście mordercy wy skazujecie ludzkość na galery... wy żyjące istoty przykuwacie do taczki życia. W ciało leją leki a w duszę cześć słowa! Ach! Szarlatany, kąty, mordercy!...

Padła na trawę i w jej źdźbła zmrożone i siwe twarz ukryła. Adamowi wydała się teraz nędzna, biedna, mała potęgą pastwiącego się nad nią losu zmożona. I w jednej chwili, gdy przy niej klękał, pomyślał, iż tu uklęknąć powinna tylko matka dobra i kochająca łagodna i pełna

wyższości życiowej, któraby tę chorą duszę naprostować i w jaśniejsze kręgi wprowadzić mogła.

On był bezsilny.

Nie miał żadnej biegłości w przemawianiu do zrozpaczonych. Jakkolwiek nieraz pochylał się w szpitalu nad łóżkami samobójców, to przecież czuł, iż to, co im mówił, dla Wiśki jest szablonem i rzeczą powierzchowną.

Tam przyczyną samomordu była najczęściej nędza materialna lub tak zwane zawody miłosne.

Tu aż kłębiło się od nienawiści życia samego, a nienawiść ta poczęła się od chwili zrozumienia rozpaczliwych warunków egzystencji. I rosła, potężniała, aż teraz już zapragnęła przechodzić w czyn, tak wielka była jej moc.

Wiśka podniosła głowę i mętnymi oczami patrzyła teraz na nieruchomą, jakby skamieniałą kuczkę.

No i żyje... żyje... wyrzekła i co z tego? Co ona przynosi w tej chwili komu, i co ona ma z tego za rozkosz, że jeszcze istnieje? Co z tego?...

Adam w tej chwili dostrzegł punkt wyjścia.

Widzi pani, jak cudowny jest ten porządek wszechrzeczy podjął, siadając obok Wiśki i ten biedny szkielet, to także ma jeszcze zadanie do spełnienia. Ono może być jeszcze dla kogoś

promieniem, jeszcze może dać nędzniejszej od siebie egzystencji troszkę ciepła...

?...

Pani się dziwi, a przecież tak jest. Ta kucka, stara, odarta z sierści, z pokoślawionymi nogami jest przecież przez kogoś kochana. Ktoś się do niej tuli, spowiada się przed nią czeka na nią... dba o nią.

Kto?

Ktoś, koło którego pani przechodzi bardzo dumnie, bardzo wyniośle... a który mimo pozorów ma bardzo ładne na dnie duszy sentymenty.

Nie rozumiem.

Rydzik.

Ręka Wiśki jakby mimowolnie szukać zaczęła rewolweru nagle cofnęła się.

O ten... ten niech żyje, i to jak najdłużej.

Dlaczego on jeden?

Kły białe błysnęły w ustach Wiśki.

Bo jego życie jest straszną męczarnią. Ja wiem! On ma raka w żołądku. On się męczy. A więc gdyby umarł, byłoby to dla niego oswobodzeniem. A ja chcę, żeby on się męczył jak najdłużej!...

Porwała się z miejsca.

I niech pan mnie nie pyta, za co, bo pan, jeśli ma choć trochę zmysłu obserwacyjnego, powinien zrozumieć, jaką to zbrodnię ten cham popełnił...

Adam powstał także.

On?... A czy również nie spełniono i względem niego zbrodni? Czy i jego życie nie jest zniszczone?...

Co mnie jego życie obchodzi!... Ja wiem jedno, że przez niego stałam się pariasem, mnie wyodrębniono... ja jestem wywleczona na taką pustkę

życiową jak ten koń przeznaczony na zagładę!... Tylko, że ja mam ciało młode, więc jeszcze zlecieć się może o nie stado kruków i krakać... krakać nade mną, bić na mnie, roznosić moją młodość strzepami, raczyć się nią a potem zostawić ścierwo na ugorze!...

Urwała na czoło jej wystąpiły krople potu.

I oto dlaczego taka kucka, dlaczego taka Wiśka zginąć powinny. Strasznie jest za życia być rozerwaną na strzępy...

Zawróciła i zaczęła iść w stronę domu. Lecz siły ją opuszczały. Oparła się o pień drzewa. Była zmieniona dziwnie, oczy jej wpadły jakby w jamy i okrążyły siną obwódką.

Adam zbliżył się i objął ją delikatnie, przychylnie.

Niech pani się na mnie oprze. Ja panią przeprowadzę.

Poszła w milczeniu. Opierała się na nim dość silnie i nawet głowę mu skłoniła na ramię. Wstażka zdobiąca jej beret dotykała jego twarzy. Czuł nadzwyczaj subtelną woń jej włosów, pomieszana z lekkim zapachem lawendy. Szli powoli wśród drzew i krzaków. Gałęzie łamały się z suchym trzaskiem pod ich stopami. Gdy wstrząsali, przechodząc, drzewami, sypał się na nich grad liści. Ten mały skraj lasu wydawał się nieprzebytą puszczą. Wreszcie zajaśniało szare pole i drożyna, przez którą przed chwilą przebiegały kuropatwy.

W oddali już płonęły dwa ogniska. Nieruchome czarne sylwetki pastuchów odcinały się dziko na czerwonym tle. Na szarym niebie coś jakby żółtego przezierało blada tarcza słoneczna, bardzo nieśmiała i bardzo daleka.

Doszli do pałacu ciągle ona wsparta na jego ramieniu. Na skrócie spotkali Tarajewicza. Stał zdziwiony. Adam uczył, iż coś powiedzieć musi.

Panna baronówna słaba proszę przysłać do pałacu dziewczynę...

A

Tak. Co zaś do kucki, panna baronówna mi ją darowała. Prawda? Wiśka nie odpowiedziała ani słowa. Skinęła tylko głową.

Proszę ją z Bodni sprowadzić i puścić do parku. Ja się później nią zajmę. Według rozkazu pana doktora.

Adam z Wišką skierowali się ku pałacowi, Tarajewicz patrzył za nimi długą chwilę, dokąd nie znikli w drzwiach wchodowych.

Zaczyna się!... mruknął i wargę mu dziwnie wydeła się fatalnym, brzydkim uśmiechem.

W każdym razie, lepszy młody, niż stary... dodał, wchodząc do kuchni. I zaraz wołać zaczął:

Haśka!... Haśka!...

Lecz Haśki nigdzie nie było.

Wpadła jak kamień w wodę, a raczej „sielskie” dziewczę w piwnicę, gdzie również wpadł Wasyl, ten od koni.

Tak mściła się Haśka za wzgardy doktorowe.

Delikatnie jak niańka dziecko, tak wprowadził Adam Wiškę do jej sypialni. Nie mówiła nic, oddychała ciężko, jakby zmęczona fizycznym wysiłkiem. Od ciała jej ku Adamowi, przez połączenie ramion, płynęły dziwnie ciepłe prądy. Były to jakby lekkie przebiegi elektryczne, stałe i niepokojące.

Co za dziwny organizm! myślał mimo woli Adam nie spotykałem jeszcze nic podobnego.

Wiška upadła na łóżko, i wtedy dopiero Adam dostrzegł, że twarz jej prawie zsiniała. Przestała nagle oddychać i leżała tak nieruchoma, na wpół przytomna.

Szybko Adam rozpiął jej żakiet i bluzkę u szyi. Była bez gorsetu. Bielizna z czarnego batystu kryła jej ciało jakimś wdzięcznym kirem. Przez delikatne, koronkowe wstawki przebijała skóra gładka jak płatki

kamelii. Adam po raz pierwszy dotykał tak wytwornej piękności kobiecej odzianej z takim wykwintem. Chore szpitalne i dziewczęta z plebanii nie przyzwyczały go do takiego uroku. Po raz pierwszy w życiu czuł się dziwnie wzruszony i drżący wobec chorej kobiety. Dotychczas wypełniał swój obowiązek spokojnie, przejęty jedynie litością.

Tu uczył coś więcej, niż litość.

Zmieszany, skropił twarz i skronie Wiśki wodą a gdy uczył, że oddycha i powoli przychodzi do siebie, okrył ją pledem, który znalazł porzucony na krawędzi szelonga.

Wiśka otworzyła kilkakrotnie usta i wreszcie wyszeptała:

Proszę nie odchodzić!

Nie, nie uspokajał ją niech pani odpocznie. Zamknęła oczy i znów leżała nieruchoma.

Wzrok jego padł na stolik przysunięty do łóżka. Stała na nim mała lampka z zielonym abażurkiem kilka drobiazgów i spora paczka książek.

Będzie wiedział! pomyślał rad, że dowie się, co w swej nieobecności Toczyski pozostawia Wiśce do czytania.

Baronówna zdawała się zasypiać. Adam przez chwilę jeszcze podziwiał nadzwyczajną długość jej rzęs, które cieniem spadły na jej policzki.

Podziwiał również precudny puch jej włosów, okalających przedziwną masą jej czoło i skronie.

Wreszcie ręką ku książkom sięgnął.

Kilka z nich wziął delikatnie i do okna na to samo miejsce, na którym stał w nocy przyzwany przez Wiškę powrócił.

Otworzył pierwszą stronicę. I drgnął.

Była to Louvette, słynny romans pornograficzny w którym największy cud miłości, triumf mądrości, układu życiowego i duchowa, twórcza potęga życia zostały sprowadzone przez autora do rozmiarów czystobezmyślnego szalu sportu dzikiego, rozswawolonego wyuzdanym, przerażającym chichotem.

To samo niosła i druga książka, te piosnki Bilitis przybrane w czarującą, harmonijną formę, kryjącą wyuzdane treści.

Była to pornografia nie to, co świętoszki chcą uważać za bezwstyd w dziele traktującym z jednakowym spokojem o wszystkich przejawach życiowych lecz to, co się oblicza na tysiące egzemplarzy, na takie właśnie przyćmione lampki i samotność ciał młodych, rwących się do poznania tego, co staje się niejako punktem wytycznym wszelkiej żywej egzystencji.

Po twarzy Adama przebiegły płomienie. W jakichże sidłach była ta dziewczyna na jakąż rzucona pastwę! Czym przepajały się jej młode chwile, czym się rozwijała i dyszała cała!

Jak harfa na piekący wichur rzucona, tak ona drżała i wibrowała w tej atmosferze przesiąkłej rozpustą. W dzieciństwie jej własna matka była tym wichrem, szarpiącym młodziuchny kwiat jej zmysłów, teraz...

Nagle dał się słyszeć głos Wiški.

Niech pan te książki położy!... Odwrócił się.

Baronówna siedziała na łóżku w czarnej gęstwie włosów i fałdach porzuconego szala. Wyraz jakby przestachu rozszerzał jej źrenice. Niech pan to położy... Porzucił trzymane książki na fotel. A pani je czyta?...

Och, ja!...

Jak to? Więc pani mnie, mężczyźnie, lekarzowi, każe to porzucić a sama...

Zakryła twarz rękami.

Ja jestem na to skazana! wyrzekła cicho.

Rzucił się ku niej i sam nie wiedział, jak ukląkł obok jej łóżka.

Nie, nie... tak nie jest! Pani w siebie to wmawia ja duszę swoją oddam, aby panią przekonać, że tak nie jest.

Ręce jej opadły i twarz jej wykwitła ku niemu cudownie piękna!

Pan? Dlaczego pan?... Oprzytomniał.

Tak, prawda. Dlaczego on? Czym on był dla niej, czym ona była dla niego?

Lecz pierwej, zanim mógł myśl swą sformułować, uczuł, że Wiśka pochyliła się ku niemu i okryła go całą masą włosów. I wśród tej pachnącej jedwabistej gęstwy zbliżyły się ku niemu jej usta i leciuchno musnęły jego czoło.

Dziękuję! wyszeptał jej głos.

Włosy odrzucone znów i chwilę zdawało się, jakby czarowało ją nadzwyczajne jakieś wzruszenie. Ręce złożyła na piersiach w nieładzie sukien rozpiętych przez Adama.

Patrzyła jednak na niego ciągle. I ten wzrok powoli mętniał i z kryształowej czystości robił się taki, jakby z wewnątrz coś złego napływało do źrenic. Adam pod siłą tego wrażenia cofał się jakby w głąb siebie i ogarniało go jakieś zimno i przerażenie.

Wreszcie wzrok Wiśki zmętniał zupełnie i powieki jej opadły.

Zdawała się znów zasypiać czy popadać w półomdlenie.

Adam powstał z klęczek i ciągle na czole czuł delikatne wargi, a dokoła siebie gęstwę rozsypanych włosów. Szept „dziękuję...” zdawał się po tych włosach przebiegać jak po strunach. Lecz co dziwnego oczy mętne Wiśki także były tam pod ciemną osłoną tego przepychu, te oczy mętne, niedobre oczy kobiet, w których budzi się chęć, pożądanie pieśczoć nienasyconych...

Takimi źrenicami musi chłonać w siebie piosenki Bilitis myśli Adam teraz oto wracają pochłonięte mary i drzemiące w jej głębi. To one mącą dziewczęcą jasność jej cudownych oczu.

Nagle turkot.

Przyciszony jakby jeszcze tylko ziemia drżała, lecz Adam słyszy go dokładnie.

To jedzie Toczyski.

W jednej chwili Adam, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi cicho wykrada się z pokoju Wiśki, z domu i biegnie drogą poza stajnie na spotkanie jadącego.

Z daleka widać te widmowe konie szare i wózek jasny, i postać samego Toczyskiego, siedzącego prosto na koźle z angielskoprowincjonalnym sznitem.

Równa się z Adamem chce przejechać mimo, uchyliwszy kapelusza, lecz oto Adam wstrzymuje go stanowczym ruchem ręki:

Przepraszam pana...

Toczyski ściąga lejce, zdziwiony patrzy na Adama.

Pan sobie życzy?...

Panna Jadwiga chora miała atak nerwowy, odpoczywa.

A...

Tak... I ja jako lekarz muszę czuwać nad jej spokojem. Proszę więc, zechce pan wizytę swoją odłożyć na później...

Toczyski świdrujące wejrzenie w Adama wbił.

Tiens!... tiens! wyrzekł przez zęby. Szybko jednak dodał:

Jeżeli baronówna jest chora, raison de plus, ażebym ją odwiedził. Jestem jakby jej opiekunem.

A ja będę niewzruszony i drzwi jej bronić będę.

Zmierzyli się obaj ciekawym spojrzeniem. Toczyski więcej się bawił tą sceną, niż gniewał. Przeciwnie, Adam drżał cały.

Czy pan znajduje podjął znów Toczyski, że obecność moja wpłynie tak szkodliwie na pana pacjentkę?

Tak... jestem przekonany.

Zachowam się bardzo spokojnie.

Ja od swego nie odstąpię.

Toczyski uśmiechnął się w zagadkowy sposób.

Taki młody, a taki stanowczy!

Wypełniam obowiązek.

Ejże!... Czy tylko obowiązek?...

Jak uderzenie cienkiej szpicruty, tak podziałały na Adama ostatnie słowa Toczyskiego.

Nie rozumiem pana!... odparł hardo.

Ale ja siebie rozumiem i to mi wystarcza... Mais brisons la... jak długo potrwa owa... choroba panny Jadwigi!

Nie wiem. To zależy od spokoju, w jakim się ją pozostawi.

Już ja jej tego spokoju nie mączę.

Adam nie mógł powściągnąć nieprzyjaznego spojrzenia, jakie mu z oczu umknęło.

Panna Jadwiga dużo czyta! wyrzekł z naciskiem.

Och, to jest nieszkodliwe...

Jak co?

Toczyski bacznie się zaczął wpatrywać w Adama.

Czy wypadkiem korzysta pan z biblioteki podręcznej Jadzi? Nic nie zdoła opisać subtelnego, ironicznego tonu, z jakim Toczyski zadał to pytanie. Było w nim: więc jesteście z sobą tak blisko, iż łączą was wspólne dreszczyki miłosne, przybiegające z zewnątrz posyłkami płomiennych wizji?...

Adam przejrzał na wskroś myśli Toczyskiego. Jak poprzednio ocenił jego predyspozycje artretyczne, tak w tej chwili odczuł, że ten człowiek jest to zmysłowiec myślowy, znajdujący rozkosz w myślach deprawacyjnych, które przed nim się snuły. W jego ciekawości, z jaką obrzucił teraz Adama, była właśnie ta niezdrowa myśl radosna o zbliżeniu tych dwojga, tam pod jednym dachem.

Kiedyż będę mógł widzieć pacjentkę pana? zapytał wreszcie, czując, że Adam pogrążony w myślach nie odpowie mu na pierwsze pytanie.

Nie wiem... sama pana o tym uwiadomi!

Zamienili lekki ukłon. Toczyski zaczął konie nawracać. Adam skierował się w stronę dworu.

Choć parę dni... myślał choć parę dni niech go nie widzi, to biedne nieszczęśliwe dziecko!

Jakoś mu jaśniej, lżej się zrobiło na sercu. I słońce wybiegło spoza chmur i rozprzestrzeniło swe złote skrzydła nad drzewami parku. W oddali Haśka przypatrywała się rozmowie Adama z Toczyskim. Wyszła z piwnicy i była cała zamazana ziemią. Krzakami przedzierała się ku zabudowaniom kuchennym. Dojrzawszy Adama, zakląła, ale równocześnie zaczęła kręcić biodrami. Adam przeszedł koło niej, nie zauważywszy nawet jej obecności.

Gdy wszedł do pokoju Wiśki baronówna rzeczywiście spała. Otulił ją szalem i wysunął się, aby w

galerii, prowadzącej do jej apartamentów, czuwać na jej spokojem. Usiadł we framudze okna, w której masy much pomarłych lub dogorywających czerniły się gromadkami. Starał się śledzić ruchy tych, które dźwigały się półsenne i opadały na trupy swych siostrzyc, płacząc się w ich łapy i zmartwiałe skrzydła.

Było to jakby pobojuwisko, ozłocone chłodnym promieniem słońca. Śmierć tędy przeszła.

Adam zapadł w głęboka zadumę.

Czuwał więc znów, czuwał nad snem i spokojem tej dziwnej wykolejonej, która mu nagle na ścieżkę życia padła. Nic dla niej nie mógł prócz chwilowej ulgi nerwów, a przecież pragnąć zaczynał, aby mógł wiele. Jego śliczna kobieca natura, chętna do poświęceń, już się słała pod te kształtne stopy dziewczęce jakby z prośbą o przyjęcie. I chwilami zdawało mu się, że Wiśka jest zatracona w jakimś olbrzymim splątanym konarami lesie, i że on ma za zadanie życia iść za nią szukać jej i krzepić zwątlące od walki z Niemożliwymi siły. O wydostaniu jej z gąszczów,

które dławili ponad nią kształt jasnych celów i myśli nie marzył jeszcze, lecz już biegł za nią, śledząc jej walki i współczując z tragiczną grozą jej sytuacji społecznej i duchowej.

Odarta ze wszystkiego, ze złudzeń i to przez własną matkę... To najstraszniejsze. Jednego pragnął dla niej.

Niech walczy... myślał niech walczy choćby ceną największych cierpień nie ma straszniejszej tragedii, jak walka z przeznaczeniem. Lecz stokroć tragiczniejsze zrezygnowanie z tej walki...

Nodlecą demony.

I okolą ją swymi skrzydły.

Skrzydła mieniącymi się barwą płomieni.

Jak tryskające z ziemi źródło krwi świeżej.

Krwi młodej i zatrutej.

Zatrutej jak jadowite ziele, rosnące u brzegu cichych bagnisk na skrajach zrębów leśnych.

Leśnych zrębów cmentarzysk, po których wichher śpiewa swe requiem.

Requiem na wieczny zanik zdeptanych ziół i złamanych w zaraniu drzew.

Drzew, które nie walcząc padły.

Bo paść musiały.

I teraz trupami się ścielą.

A nad nimi szumią płomieniem skrzydła demonów i wicher jęczy requiem. I ciche jak świece koło katafalku... rzędem wznoszą się jadowite zieleń dokoła drzemiących i ukrytych, pełnych zgnilizny wód.

Tego nie chce Adam.

Nie chce, aby błądząca po gąszczu Wiśka padła zrezygnowana na skraju zatrutych wód i walczyć przestała.

Raczej niech sieje zagładę, zniszczenie lecz niech nie powie skończyło się!

Bo wtedy nic jej nie ocali.

A tak może... może...

Rozbudziła się w niej namiętność. To jasne. Nawet tak niedoświadczony w praktykach miłosnych mężczyzna jak Adam wyczuwa to w każdym spojrzeniu, w każdym ruchu, czynie, słowie tej dziewczyny

a głównie w tej jakiejś nieuchwytniej poświacie miłosnej, która od niej pada tak, jak od jej matki, choć martwo z portretu nad łożem męża spoglądającej.

Rozbudziła się w niej namiętność! Własna matka, wychodząca rozplómienna z objęć Rydzika a potem spojrzenia ludzkie, ich niedomówione pragnienia i wreszcie ten Toczyski, pielęgnujący rozszalałe chęci dziewczęce...

Dla siebie przede wszystkim.

A może i dla drugih.

Jak artysta, pragnie urobić biel jej pożądań w płomienny klejnot królewski, mogący nieść pełną czarę upajających i niczym nienasyconych pieszczot!

Jak artysta...

Lecz będąc sam jedynie umysłową namiętnością przepojony może tak samo oddziaływać i na nią. Może i ona tylko myślowo jeszcze wibruje i wtedy łatwo jest przygasić ten pożar porwać na skrzydłach białych myśli w inną stronę i ocalić wyprowadzić z puszczy.

Jeżeli jeszcze zmysły śpią...

Tak!

Lecz ten pocałunek przed chwilą złożony na jego czole? Przecież nie pali, nie podnieca. Było to delikatne dotknięcie listków narcyza, wonnych, dziecięcych i świeżych.

Lecz...

Owo zarzucenie gąszczu włosów, ten gest nagle rozzuchwalonej odaliski, która strząsa swój płaszcz czarny i wonny dokoła głowy mężczyzny, aby oddzielić całą sobą jego zmysłową istotę od reszty wrażeń życiowych. I potem te oczy, które zaraz po pocałunku pod tym kirowym upajającym namiotem mignęły przed nim wywołującym dreszcz przestachu wyrazem. Te oczy... te oczy...
I te łagodne, dziecięce usta, całujące jego czoło...
Adam jadł obiad sam.
Baronówna ciągle spała, jakby zmożona jakimś strasznym fizycznym wysiłkiem.

Adam powrócił do swego pokoju i usiłował zająć się pracą. Po południu przyszedł do niego Tarajewicz, zawiadamiając go, że kuczkę przyprowadzono i że jest do jego dyspozycji.

Tylko czego się ten Rydzik jej czepia? Przyszedł i sam ją poprowadził do parku. Teraz siedzi koło niej na ziemi i pilnuje... Niech pan doktor się go strzeże, bo on ma jakąś łatę, nabitą gwoździami, i źle mu z oczu patrzy.

Dobrze, dobrze. Ja pójdę do niego.

Żeby jakiego nieszczęścia nie było. On się czegoś kucki czepił i coś gada, że ona do niego należy...

No już ja to załatwię.

Po odejściu Tarajewicza Adam wziął kapelusz i wyszedł do parku.

W głębi koło brzoź siedział rzeczywiście Rydzik. W rękę trzymał dużą łatę drewnianą z ponabijanymi na ostre gwoździami. Sporządził sobie sam widocznie tę śmieszna, dziecinna broń, przypominającą jakieś

przedhistoryczne czasy. Odział się w krótki kozuch, który zarzucił włosom na wierzch. Wyglądał jak dziki człowiek, broniący swego dobytku.

Opodal kucka rozpełtana pasła się, skubiąc trawę.
Gdy Rydzik Adama dostrzegł, obejrzał się dokoła i wreszcie mruknął porozumiewawczo:

Sprzedala?

Nie.

O!...

Ale darowała.

Ho... ho... Zastanowił się chwilę. Wreszcie wyrzekł:

Komu darowała? Panu doktorowi czy mnie? Adam się zawahał, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Nam obydwóm. Rydzik pokręcił głową.

No... niech tam! Byle Babcia żyła.

Coś widocznie jeszcze chciał pytać. Usunął się z ławeczki i rzekł grzecznym tonem:

Niech pan doktor siada... Adam usiadł i zaczął łatę oglądać.

Na cóż to? zapytał.

Ano, żeby kucki bronić.

Nikt jej panu nie zabierze.

Albo to prawda! Pan tych cholerów nie zna. Ja nie dam jej do stajni. Oni mi ją w nocy zatłamszą, a potem powiedzą, że zdechła. Tam jest taki chlewik przy mojej oficynie to ją tam wpakuję. Jużem wyprzątnął i liści nazwłóczył na podściółkę.

A w zimie?

Mętne źrenice Rydzika jeszcze mętniejszymi się stały.

E! Panie drogi! Do zimy daleko!... Kto wie, co z nami będzie. A potem może z Wiednia już wrócą to co z nami obojgiem zrobią, jako... niby ze mną i z kucką...

Pewnie!

Chwilę trwało milczenie. Park był prawie nieruchomy. Lekki tylko szum szedł od wierzchołków drzew, które zdawały się być bardziej nieubłagane i nieprzyjazne, niż kiedykolwiek. Wyniośle umykały koronami swych złotych liści od tego człowieka, który będąc w pełni sił życiowych, zbrodniczo ranił je, rozdierając ich pnie kulami, wkręcającymi się z mocą w ich ciała. Dziś zmożony, zdławiony, sam noszący w sobie ranę żrącą przypadł do nich pokorny i cichy...

Lecz drzewa są pełne mściwości. Nie mają dla niego łaski, nie znając, co przebaczenie. I rzec

można, że Rydzik czuje tę nieprzyjaźń, otaczającą go dokoła. Spojrzenie jego jest skośne, ruchy nieśmiałe, niepewne.

Po drzewach ślizga się jego wzrok, do kuchni dąży, gdzie siedlisko jego głównych wrogów, o pałac wreszcie się opierają oczy Rydzika.

Ona mnie bardzo nienawidzi? pyta.

Kto?

No... Wiśka!

Nie wiem...

Ale ja wiem. Ona niby bez to, że tamta się za mnie wydała, a wszyscy ludzie zaczęli się od niej odwracać. A że Wiśka córka jasna, tak i na nią...

Przecie ja nie chciałem nic złego. A że poszedłem do ołtarza, toć chyba lepiej, niż tak, jak te bydłeta... Tylko Wiśka tego nie rozumie. Co?...

Adam milczał. Te proste słowa, wyjaśniające duszę Rydzika, jego pobudki, „aby nie tak jak zwierzęta” rzucały inne światło na stosunek męża pani baronowej do żony. A więc nie sama ambicja chłopa i chęć osiągnięcia dobrej materialnej sytuacji pchała go do ślubu z baronową?

Ja wiedziałem, że ludzie będą na nas pluli, ja to wiedziałem podjął znowu Rydzik bo ludzie wolą, żeby w grzechu siedzieć, byle nie wdarł się kto do nich, co nieproszony... Ale ja zawsze to na sumieniu miałem i nie śmiałem prosto iść ani do spowiedzi, ani Panu Bogu się pokłonić. To też jak ona mi powiedziała: my się pobierzemy... to mnie aż lekko się

stało. I pomyślałem, że to będzie dobrze nie dla ludzi, ale dla Boga... I ona śmiała się, a mnie aż łzy dławily... Jak Boga przy skonaniu pragnę. Ja aż ukląkł przed nią... Jenó ona nie wiedziała, czego... Ona myślała, że ja taki rad, że niby się dodrapałem aż na jejnego męża... i że będę miał z tego zyski. Więc mi powiada: Dobrze, dobrze... już ja ci zapiszę... Ja jej nic nie odpowiedział, ale pomyślał a pomsta na cię! A przecie ja tak z tego, że już w grzechu nie będziemy siedzieć, rozumie pan doktor?

Rozumiem.

Jak pod promieniami słońca, roztwierała się w tej chwili ta dziwna, promienna, smutna dusza.

To, co miała najpiękniejszego w sobie, a co zostało zmienione jakby burzą, roznoszącą wokół śmiecie jaskrawe, szychem przetykane zdołała jeszcze zebrać z cmentarzyska i zamknąć we

wnętrzu kaplicy, do której ścieżyna porosła niewydeptaną trawą. Nikt tam nie zajrzał.

Nikt nie chciał zrozumieć, że płonie tam lampa czystszeo światła, niż przypuszczać się zwykło.

Światło to nie przeświecało przez misterne ozdoby wysubtelnionych i wyrafinowanych pragnień.

Świeciło ono prosto i jasno sądząc, że będzie zrozumiane. Lecz odwrócono się od tej lampy skromnej, którą trzeba było odszukać w głębi kaplicy. Nikt nie chciał tych wrót otworzyć... Nikt nie zdał sobie tej pracy. I światło tliło się jeszcze ale już jakby zmrożone lekliwie trzepocząc się skrzydłem śmiertelnie rannego i w przepaść zapadłego ptaka.

Tak mnie już osądziła tamta ciągnie dalej monotonnym głosem Rydzik a Wiśka poszła za nią. Niby, że ja dla korzyści! A przecie mi dawniej lepiej było jakem się za nią wydał, tak jakże ekonomować? Już nie honorowo. A tu ja ni pan, ni co... i to na jakie psy zeszedłem!...
Urwał głowę opuścił na piersi.

A wszystko to, że myślałem, iż lepiej przecie po bożemu, niż jak te bydlęta... Wszystko...

Adam uczuł się głęboko wzruszony tą jakąś spowiedzią pokorną.

Gdyby nie ja myślał gdyby choć Wiśka te słowa słyszała, może coś w jej serce wstąpiłoby, coś z przebaczenia, ze zrozumienia pobudek. I z tym zrozumieniem może gorycz, która ją żre, stałaby się mniej dotkliwa...

Kto wie... kto wie...

Chwilę jeszcze posiedział z Rydzikiem, patrząc na szarą zapadłą twarz chłopca, to znów na długie siwe rzęsy kucki, które jej spadły białą firanką na oczy.

I gdy szedł później w stronę pałacu, przyszło mu na myśl, że w dziwny bardzo sposób jego życie zamknęło się teraz zupełnie na tym szmacie ziemi i w egzystencji tych dwojga ludzi.

Rydzik, Wiśka...

A potem pałac, oficynka, park.

I ta równia, bezkresna, przykryta kloszem nieba o szarobłękitnej nieprzezroczystej barwie. I te krzyże...

A poza nimi jakby już nic z jego dawnej egzystencji, prac, celowości...

Nic nic.

Biało biało biało. Rozpyliło się to jakby delikatną mgławicą. W górach, na ruinach miast, nad brzegami rzek księżycowa nocka srebrem drży. A na równi biała jest i aż śnieżna, jakby gdzieś w oddali mdlały przejrzyste duchy i całuny swoje z gaz po ziemi snuły.

I księżyc białością olśniewa jakby chryzantem olbrzymi, rzucony na perłową konchę wyłożony plafon jakiegoś bajecznego, zaczarowanego pałacu.

Rozbieliła się taka noc.

I oto z pałacu wychodzą dwie postacie.

Wiśka i Adam.

Otulona w swe ciemnozielone wełny i szal tej barwy, szal miękkiej, ciemnej, zakończony długimi frędzlami idzie smukła dziewczyna w biel księżycową.

Ach! Jak jest rosła i gibka. Jakaż dumna i drobną ma główkę i jaką bladą twarz, poznaczoną plamami dziwnych, czarnych oczu. Idzie milcząc, jakby senna.

Lekko kołyszą się jej biodra.

Owinęła dokoła siebie szal, jak to zwykły czynić Hiszpanki, gdy mają iść do tańca, z przodu po kolanach biją ją frędzle i drżą za każdym jej krokiem miłośniczo jak fala opadła dokoła jej sukni.

Wchodzą teraz oboje do parku i idą równo mierzonym krokiem pod drzewami, tam, gdzie przeciekające przez bezlitosne gałęzie światło białe smugi po ziemi kładzie.

Gdy wchodzą w cień, nikną po to, aby za chwilę wypłynąć w świetle i białości niezwyklej.

Pierwszy raz idą tak razem nocą po parku i kierują się w stronę, gdzie błyszczą rzędy dzid o złoconych strzałach. Nie mówią nic.

Myśli ich zdają się rozwiewać w biel, która ich za chwilę cała pochłonie, gdy wyjdą już na równię pól nieprzejrzaną teraz, senną, rozmodloną.

Do krat doszli, do szczątków krat, obeszli je i szarą dróżką wydostali się na pola.

Nic nie zdoła opisać uroku takiej jesiennej i księżycowej nocy na równinach Rusi.

Aż modli się serce, aż łąka najwyższym rozrzewnieniem, na jakie się zdobyć może.

Tak tu biało, tak tu cicho, tak tu przepaścisto, że zatracą się człowiek i staje się duchem, rozpływającym się w delikatnym eterze. I nie czuje się ziemi pod stopami, nie czuje się ciała swego, ani jego dreszczów nie czuje chłodu, ani powiewu wichru idzie się tylko lekko, cicho, jakby to już miało trwać wiecznie.

I jakby ten bezkres był kresem właśnie.

Kresem naszego cielesnego ja.

Jak widma białe jakby całunem śnieżnym pokryte, dźwigają się po polach olbrzymie sterty. Zaznaczają się lekko a dokoła nich jest jakby jasność, jakby pył. A krzyży nie widać wcale. Rozpłynęły się w bieli.

Zaledwie te najbliższe mającą sylwetką smukłych aniołów o równo wyciętych skrzydłach.

Ku białym stertom kieruje się Wiśka. W ślad za nią idzie Adam; i zdaje mu się, że oboje toną w jakiejś miękkiej, trochę wilgotnej fali. Radby szedł tak do świtu. Lecz Wiśka doszła do jednej ze stert. I nagle w milczeniu ścieżką wydeptaną weszła w jej środek, jakby w złotą alkowę, cichą i przytulną.

Gdy Adam, idąc jej śladem, znalazł się w środku sterty, zadziwił się wrażeniu, jakie odniósł w tej chwili. Było mu tak, jakby za nim zamknęły się wrota jakiejś kaplicy, z której zabrano ołtarze i pozostawiono jedynie ściany o złotych i białych blaskach. Czarną, ciemną sylwetką w okręceniu ciekawym swego szala odcinała się pośrodku Wiśka.

Wzniosła w górę ręce wygięła się prześlicznym łukiem z gracją i tak pozostała chwilę jak Wenus z czarnego marmuru o niepokojącej, alabastrowej, białej twarzy.

Cicho, bez szelestu sukien osunęła się na miękkie podłoże ze słomy jakby zapadała z ufnością zupełną w głęboką, miękką toń rzeczną.

Jak cicho!... wyrzekła po chwili prawie sennym głosem. Adam usiadł opodal i patrzył na tę leżącą kobietę. Była jeszcze piękniejsza, jeszcze doskonalsza linią, niż tam w parku na złocie liści.

Jak miło!...

Czuł, że patrzy na niego. Czuł, że patrzy badawczo, jakby chytrze, jakby się czaiła, na coś czekała, co się stać może, a czemu ona zapobiec nie chce. I przyszły mu do głowy słowa Rydzika o matce:

Tak samo przede mną wyrabiała. Przez chwilę ukrył twarz w dłoniach. Byłby wolał, ażeby Wiśka w tę biel nocną szła obok niego równią delikatnie i wiotko a nie leżała tak przed nim z tą bielą trójkątnej twarzy na tle rozfalowanych czarnych włosów dokoła głowy.

Co panu?

Nic!... nic!... Ta jasność mnie olśniewa.

Najlepiej oczy przymknąć i nie widzieć. Chyba, że pana ciągnie pokusą to, co panu na pozór niemiłe.

Ja nie znam pokus!

To pan szczęśliwy. Ja ciągle tylko nimi żyję.

Bo pani chce.

Być może.

Zapanowało milczenie. Adam czuł w Wiśce rozdrażnienie i pewną irytację z powodu nieprzybycia Toczyskiego. Już drugi dzień wózek nie zjawiał się przed pałacem. Adam dziwił się, iż tak posłusznie Toczyski wypełnia jego żądania. To, że Wiśka nie wspominała głośno o jego nieobecności, było jednym dowodem więcej, że coś tam jest między nią a Toczyskim ponad zwykły szablon opieki i przyjaźni.

Nagle odezwała się Wiśka:

Muszę się morfinizować.

Pani tego nie zrobi – odparł machinalnie Adam.

Dlaczego? Czy pan mi zakáže? Ja?

No tak jako doktor.

Nie – nie mam prawa. Nie jestem pani lekarzem. Ale mógłbym prosić panią o to – jako człowiek.

Który...

Który boleje, gdy widzi, że ktoś dobrowolnie leci w przepaść.

Tylko?...

Adam uczuł sidła, wyzwanie.

Tylko! – odparł zmieszany.

To szkoda!

Dlaczego?

Bo są natury, które na takie zwykłe samarytańskie sentymenta nie reagują. To dla nich letnia woda. Nie to je powstrzyma.

Zmieniła głos.

Czekała widocznie, że Adam spyta „a co?” lecz Adam nie spytał. To wszystko, co Wiśka mówiła, wydawało mu się drobne, żadne wobec jej wielkiej piękności i nadzwyczajnego majestatu otoczenia. Pod kopułą takiego białego, rozpylonego nieba jakieś nikłe motanie nici zmysłowej (bo to było widoczne) przedstawiało się smutno.

I znów zakrył oczy i siedział tak długą chwilę, milcząc.

Ozwał się sarkastycznie głos Wiśki: Nad czym pan tak biada?

Nie odpowiedział jej. Nie zrozumiałaby go wcale. Zdawała się zapominać o pocałunku, o owym „dziękuję”. Była cała we włosach i oczach, zła i dysząca niepoczciwym jakimś pragnieniem. I dziwno mu było, i ciężko, że odwracały się tu role, że on mężczyzna, który dawno poznał wszystkie tajniki życia wstydzi się i cofa, i ma zaleknienia i smutki, które właściwie ona mieć powinna.

W myśli te jego spadło nagle nieoczekiwane pytanie:

Dlaczego pan usunął Toczyskiego?

Uczuł, że odpowiedzieć musi i że powinien grać w otwarte karty. Odjął ręce od twarzy. Wiśka leżała ciągle na wznak, nieruchoma w masie słomy. Nie widział jej oczów, tylko dwie ciemne, niepokojące plamy.

Dla tych samych przyczyn, dla jakich nie pozwoliłbym pani na używanie morfiny odparł.

Och!... la la...

Zaśmiała się nieszczerze. Wreszcie porwała się, rozrzucając masy słomy dokoła.

Więc pan przyznajesz się, że zakazałeś Toczyskiemu tu przyjeżdżać?

Kłęcząca teraz w dziwnej pozie jakiejś prymitywnej Ewy, napojonej pokusami węża.

Pan to przyznajesz?

Tak!

Śmiała się drobne kły błyskały w jej ustach. Szczególniejszym gestem wyrywała słomę i rzucała dokoła siebie.

Och!... jak to dobrze! Jak dobrze!... wołała.

Więc pani sama temu rada?

Tak, tak... bardzo... bardzo...

Więc pani przyznaje, że ten człowiek...

Co? Co?

Że ten człowiek działał na panią szkodliwie, zabijająco? Że jemu pani zawdzięcza wiele zła, które panią nurtuje i prowadzi...

Do czego! Do czego?...

Patrzył wprost na nią. W tym skurczeniu całej postaci robiła wrażenie przecudnej czarnej pantery, gotowej do skoku. Była czarująca i wściekle ponętna.

No... ho... do czego?

Coś w nim zawirowało. Ręce same ciągnęły się ku niej. Chciał ją porwać i nic więcej, tylko cisnąć ku sobie, cisnąć bez pamięci. Ale ostatnim wysiłkiem woli powściągnął się. I aby ją i siebie przyprowadzić do równowagi czymś bardzo silnym, bardzo niespodziewanym wyrzekł:

Gdzie panią to doprowadza?... pod koła tramwaju!... Czekał, że rzuci się w tył, że sprawi to na niej piorunujące wrażenie.

Lecz ona pozostała w pierwotnej pozycji, tylko wyraz jej twarzy mienił się. Snadź walczyła ze sobą i głębokie warstwy jej duszy wypływać zaczęły z ukrycia.

Nie odparła wreszcie... przeciwnie. Gdy korzystam z tego, co on we mnie wpaja, to jest z przekonania, iż życie i użycie to są synonimy to nie idę pod tramwaj. Gdybym pana dłużej słuchała, gdybym zabrnęła w pana sentymenta, wtedy jeszcze prędzej spełniłoby się to... straszne. Cofnęła się i usiadła w pozie jakiegoś zniechęcenia.

Widzi pan... to się mści. Ja nie powinnam uciekać przed tym, do czego jestem przeznaczona.

Nie rozumiem pani.

O! Pan mnie doskonale rozumie. Pan myśli, że mnie Toczyski prowadzi na manowce... Ależ to jest właśnie teren, na którym ja mam się obracać. Pan zna owe błędne duchy Danta... Otóż... ja... tak samo. Pan, inni, inne mają do rozporządzenia szerokie przestwory. Tam nachodzicie się wszyscy razem, podtrzymujecie się wzajemnie, podajecie sobie ręce jesteście między sobą... My zaś wygnani na manowce, błędzić musimy po nich. I, widzi pan, lepiej, skoro taki ktoś z manowców nie zajrzy nigdy na szerokie przestworza. Będzie potem tęsknił do was, będzie konał, nie będzie umiał wykorzystać rozkoszy, jakie może znaleźć na przeznaczonej sobie drodze. Lepiej niech na

niej pozostanie...

I śpiewną jakąś kołysankę dziwną, jakby śpiew przypadłej na kolana córki faraonów, o monotonnym spadku kilku tonów, rzuciła:

Skoro mu tak sądzono!... Skoro mu tak sądzono... sądzono...

Ach!... Sądzono!...

Tak mówi w białe płótniaki spowita wołyńska baba, mająca twarz wyschłej mumii w obramowaniu opasek, spod których ciemnieją lub złocą się krótkie strzyżone „dole” jej włosów.

Stoi tak na progu chaty u jej nóg walają się dzieci o rozdętych brzuchach i w koronie szaropłowych włosów na głowach.

Spoza niej drzwiami wypełza z izb dym, w którym się wędzą jej płuca, jej ciało i chleb razowy z jabłkami, który upiekła dzieciom na święto.

Od lasów, gdzie masztowe sosny dźwigają się senne i ciężkie od borów, gdzie czerwono od poziomek, a złoto od grzybów, liliowo od

dzwonek, rozkwitłych pękami na wykrotach i puszystych mchem, płynie ku tej kobiecie wielkie nieznane a ona czeka na nie zrezygnowana, przyjmując je, jak przyjęła każdy fakt życiowy, bez protestu jak przyjęła w komorne dziewczynę swego męża, jak przyjęła nędzę codzienną razy śmierć dzieci i swoją nagiętą do rozpaczliwej niepotrzebności egzystencję bolesną.

Jest bez żadnej chęci i woli, bez tworzenia planów i pragnień. Żyje chwilą jak liść czekający na wicher, który nim miota. Patrzy na wysoki szumiący łan kukurydzy, na zieleniejący tytoń, który zasiała lecz nigdy nie planuje, co z nich mieć będzie.

Ona nie wie, co jej „sądzono”.

Może domownika.

Ot prosta drewniana wąska tyle miejsca, by w niej lec bosymi nogami na wschód.

Może...

A może jasna dola, cała srebrna i koralowa mieniąca się jak ornaty księżowskie lub lampa cerkiewna.

Może...

Nie chce nic, nie wie nic. Nie korzy się przed tą potęgą, która rozporządza jej marnym życiem nie korzy się, bo z jej istnienia nie zdaje sobie sprawy tylko przyjmuje sam fakt...

Zrezygnowana jest, lecz nie zna piękności rezygnacji, przynoszącej czarowny spokój ducha. Zrezygnowana jest, bo jej tak „sądzono”, i nie

zna tragicznej rozkoszy walki z tą potworną siłą, walącą się z góry ciężarem bólów i nędz na drobiazg, życiem się pyszniący.

Pawie, roztaczające tęczę barw, zapożyczonych od słonecznych blasków a tuż nad nimi obwisała dłoń ślepego straszyciła o wargach wykrzywionych jakby sennym, złośliwym śmiechem.

Pawie na wydmie, po której wichur liście roznosi i zeschną ich barwą blask piór tęczowych gasi.

Pawie...

Nic więcej.

Jakby ukołysał Adama ten głos dziewczyny. Jakże ma odpowiedzieć komuś, kto nawet o walce nie śnił, tylko szedł prosto pomiędzy pawie? Co mu odpowiedzieć?

Rozpłynęło się w powietrzu jakby długie ciche westchnienie. Ktoś powstał słycać szmer słomy. Wiśka znikła w rozoraniu sterty. I nagle Adam ujrzał ją na szczycie białego katafalku, stojącą prosto z rękami jakby wzniesionymi do lotu.

Zdawała się chwytać coś z powietrza lub rozciągać jakieś widzialne dla niej tylko struny lub przędzę. Odcinała się czarną, smukłą sylwetką w bieli mlecznej, rozsnutej dokoła. Była dziwna i doskonale piękna. Miała smukłość amfory z onyksu czarnego, chłonącego w siebie światło, a mimo to wydzielającego jakby poświatę.

Adamowi wydała się oddzieloną od niego bezmierną przestrzenią.

Uleciała mu gdzieś w wysokie regiony, zjawiała się i zawisała w górze.

Targnęło się w nim ku niej wszystko. To, co miał z młodości, nie

zniweczonej brutalnością życia, rwało się całymi pędami jak młode drzewo na wiosenne słońce. Nie była to jasna, świetlana postać dziewczęcia lecz coś więcej, jakby irys czarny, wykwitły z samego dna nędzy życiowej. I tym mu była droższa i cenniejsza, że wykwitła przed nim klejnotem ponurym i dziwnym odrywającym się najzupełniej od szarej przeciętności.

Rozmodliło się w nim to, co człowiek ma w głębi swego ja

rozmodliło się hymnem triumfalnych dzwonów w kaplicy jego serca. Ku tej czarnej sylwetce na wieszaniu mglistym i białym, jak do ołtarza dym kadzielnic i woń rozkwitłych kwiatów, bić zaczęły myśli i pragnienia Adama.

Widzieć ją inną, widzieć pogodzoną z życiem, szczęśliwą...

A potem nieśmiało coś dla siebie, jakieś choćby uczucie wdzięczności, przychylnego czegoś, nieokreślonego.

I gdyby takie uczucie zjawiało się w jej duszy w chwili takiego pogodzenia się z życiem razem z myślą o nim...

Tak, tak niczego więcej nie pragnie.

Albo jakie niedojdy! mówił Rydzik.

Szum olśnienie i oto z góry sterty zsuwa się wężowo Wiśka. Zsuwa się nagle, jakby podrzucona jakąś zbudzoną myślą. Jest tuż nad Adamem, który nie zdążył podnieść się ze słomy.

Przypadła ponad nim włosy jej rozchwiały się, oto on ma jej twarz
dziwną, trójkątną nad sobą...

To wizja znad łóżka Rydzika.

Te same oczy, te same usta w pół uchylone, te same pasma włosów, z
których wyplątują się białe, zagadkowe ręce, znaczące się gestem
posiadania.

Zawisła tak nad nim zjawiskiem, widmem, marą, upiorem.

Zda się, chwila jeszcze, a wytrysną jej z ramion tłem do owej głowy
skrzydła czarne, delikatne, jakby z czarnych chmur utkane.

I będzie mu demonem.

Czy tak?

Przez Boga! tego Adam nie chce. To zbyt ogólnoludzkie, ta kobieta
wampir, czyhająca na myśl, na serce, na chęć...

Lepiej tak amforą z onyksu, w której płonie rubin światła krwawego
ból...

Adam przeczuwa pocałunek, grad pocałunków, całą ich sieć. Czyhają w
kącikach ust Wiśki tam, gdzie bielą się dwa kły. I ten gąszcz włosów aż
drży w świetle księżyca pragnieniem, aby okryć go całunem wonnym i
dziwnym.

Adam całym wysiłkiem woli porywa się z miejsca i podaje rękę Wiśce.
Chodźmy stąd.

Dlaczego?
W jej głosie nuta głębokiego zdziwienia.
Chłodno. Z tej wilgotnej słomy wieje zgnilizna. Pani zachoruje.
To mniejsza...
Wcale nie.
Zostańmy! Tak miło!...
Adam wyprowadza ją ze złotej alkowy.
Proszę... wróć pani do domu.
Zatrzymała się i patrzy na niego przenikliwie, ironia drga w jej głosie.
Tak pan się o mnie boi?
Nie ale ja się pani boję!
Powiedział to bezwiednie i przeraził się. Był zbyt śmiałym. Mógł obrazić
tę dziewczynę. Zapomniał się...
Lecz zbudził go z tej ułudy radosny śmiech.
Boi się pan mnie? tu

Ach, to dobrze!... Dobrze!...

Wyciągnęła ręce w przestrzeń. Śmiała się do księżyca, do przestrzeni
mlecznej, do swej własnej duszy.

Pani się nie gniewa?

Ja?

Tak.

Za co?

Za... moją śmiałość...

Przestała śmiać się i pokręciła głową.

Ile w panu... prostoty! wyrzekła. Za chwilę dodała:

Nie tylko się nie gniewam, ale dziękuję panu.

Nie rozumiem.

Ależ to dla mnie pochlebne, taka trwoga, rozumie pan pochlebne.

W milczeniu zaczęli iść do dworu.

I Adam odczuł, że nie rozumieją się; że stoją na dwóch krańcach bardzo,
bardzo odległych. On sądził, że zniewagą dla niej będzie to odkrycie, iż
dziewczyną, a więc nieświadomą, tą białą,

nieświadomą będąc, mogła wzbudzić w nim pragnienie, jakie daje ciało
tej, która już wie, a ona szczyciła się tym, szczyciła z zupełną abnegacją
godności dziewiczej, zrzucając ją z siebie jak niepotrzebną już osłonę.

Już!

Przeszedł po nim dreszcz.

Czy byłoby za późno?

Czy nie tylko nie byłaby już nieświadomą, lecz czyżby...

Mimo woli spojrział na idącą koło niego dziewczynę.

Szła równo, wolno z opuszczoną na piersi głową.

Pasma jej włosów zasłaniały jej uszy, policzki. Tylko profil wyłaniał się z tej gęstwy, cudny jak rzeźbiony.

I miała w tej chwili w sobie ogromny smutek, jaki wieje od pól, które, zbudzone wczesną wiosną, zazieleniły się niebacznie i po których przeciągnął mróz.

Wstąpił na stopnie ganku, nie mówiąc ani słowa, i weszli do środka domu.

W sieni nie było światła, tylko smugi księżycowego blasku płynęły przez kolorowe szyby.

Zatrzymali się na środku. Wiśka była ukryta w cieniu. Zdawało się Adamowi, iż chce coś przemówić, waha się wreszcie bez słowa uściskawszy mu rękę zwraca się ku swoim pokojom.

Ręka, którą Adam trzymał przez chwilę w swych dłoniach, była gorąca i sucha.

Niech pani śpi spokojnie!... wyrzekł przyciszonym głosem.

Tak, tak...

I... proszę nie czytać.

Wcale?

Nie tylko...

Z niezrównanym spokojem Wiśka podchwyciła:

Chodzi panu o książki Toczyskiego?

Może! Wzruszyła ramionami.

Panie kochany! wyrzekła dobitnie i skandując mnie już nic nie zepsuje!

Zdawało mu się, że go ktoś pchnął sztyletem w piersi.

Nie... nie... wyrwało mu się gorączkowe zaprzeczenie.

Tak! Tak! Powiedziałam to panu już nieraz. Przeszłam szkołę. Pan chciałby mnie widzieć dziewczęciem spod wiejskiej strzechy, klasycznym dziewczęciem z jasną kosą a la Przybylski... lub aniołem z palmą w ręku lub leliją. Ca vous fait honneur... ale to już niemożliwe...

Siekła go jak różgą tymi słowami, w których aż drżało od ironii.

I co więcej, chciałbyś pan, żebym była obłudna.

Ja?

Tak. Wolałbyś pan, ażebym grała przed panem rolę anioła, i wtedy rozpływałbyś się z sentymentów i zachwytu. Panu trzeba widocznie dla dopełnienia wsi sielskości... anielskości. A tu wpadłeś pan en plein w coś przeciwnego. Żałuję... ale lilie pod tym dachem nie kwitną!...

Adam stał milczący i przybity. Z tej ciemni chłostał go głos Wiśki i darł mu ranę, która zaczynała się w jego sercu otwierać. Lecz nie chciał jej przeszkadzać. Wolał, aby się wypowiedziała, niż zniknęła w milczeniu.

I oto... idę na me pokoje! zakończyła z emfazą i czytać będę... bo... czytać muszę!

Niech pani sobie przypomni... Pani mnie tych książek czytać zakazała!...
Następna chwila milczenia. Wreszcie Wiśka rzuciła:

Tak... to był odruch bezwiedny!

To było to, co jeszcze w pani najlepszego pozostało.

Nie, to było głupie...

Więc teraz?

Ach, Boże! Ja mam książki rzecz martwą czyja wiem, co się na drugim końcu domu dzieje...

O!...

Fala krwi uderzyła Adamowi do głowy.

Haśka! Nic innego, tylko baronówna sądziła, że on i Haśka...

Ależ to ohydne!

Nie znalazł słów. Wstydził się za nią, za siebie. Było mu straszno, boleśnie, niewypowiedzianie. I bez jednego słowa otworzył drzwi od sieni wyszedł w topiel księżycową i szedł tak przed siebie, łąką, polami, ścieżką, bruzdą aż biel jasna rozplýwać się zaczęła, niknąć, jakby przestrzeń bezkresna chłoneła ją w siebie...

I w oddali tam, gdzie stał rząd czarnych topoli, zaróżowił się wąski pasek rubinowego, bladego światła.

Pochłódło, ścierniskiem powiało jakby coś pełzło nagle zbudzone.

To wstawał nad równią świt.

Zeszli się znów przy obiedzie. Adam szedł tam zgnębiony i smutny.

Pragnął ją ujrzeć i nie krył przed sobą, że już to pragnienie stało się jakby największą siłą jego myśli. Równocześnie jednak ciężko mu było spojrzeć w oczy dziewczyny, która zdarła z siebie uludę czystości myśli.

Stała przy stole z szeroko otwartymi oczami, jakby była trochę niepewna. Jednego w niej nie było tylko.

Wstydu.

I tego to zawstydzienia oczekiwał jeszcze Adam, pragnął je ujrzeć, wywołać.

A tu nic, nic.

Tylko te szeroko, ciekawie rozwarte oczy. Więc jedno w nim zbudziło się pragnienie. Aby o tym nie mówiła, aby milczała. Lecz: to nie sądzone mu było.

Zaraz usiadła i spoza bukietu astrów zajaśniały te dwa kły wśród wstążki ust. I potem pytanie:

Pan coś do mnie czuje? Nie odpowiedział.

Pan jakby się na mnie gniewał? Milczał.

Niech się pan gniewa, ale nie na mnie, na mój los! Wzruszył ramionami.
. Wiecznie to samo.

Tak, tak. Przyczyny, panie drogi. Obciążenie dziedziczne. Wy, lekarze, mówiciedziedziczny artretyzm, tuberkuły, rachtyś czy jak tam a czemu nie wmyślicie się w dziedziczność duchową. Co?

Łatwo w ten sposób wszystko upozorować. Zuchwale podniosła głowę.

EL. niełatwo.

Zamilkli oboje. Podrażnienie aż biło od nich. Wiśka nie spuszczała go z oka, on czuł ten wzrok na

sobie i było mu strasznie.

Nagle Wiśka odsunęła gwałtownie krzesło i oparła obie ręce o stół.

Lepiej by pan mnie pożałował wyrzekła ponuro.

Chciał jej powiedzieć, że to, co ona ma za gniew z jego strony, to jest właśnie żal żal ale coś mu ścisnęło gardło nie umiał się wypowiedzieć, nie mógł.

Zdawało się, że ona czeka na to jego „dobre słowo” że się prosi o nie.

Milczenie było długie i ciężkie. Od strony kuchni dolatywały jakieś krzyki, przeciągłe śmiechy.

I nagle podniosła się Wiśka od stołu i cicho, spokojnie, ale sztywno przeszła obok ciągle milczącego Adama. Otworzyła drzwi i znikła w głębi domu.

Adam powstał także do stołu. Wiedział, czuł, że Wiśka nie wróci. Lecz iść za nią nie mógł, nie chciał. Rozumiał, że jej nic nie powie bo

zanadto dużo skomplikowanych uczuć przepelnia mu serce. Nic powierzchownego zająć nie mogło pomiędzy nimi. To już było za głębokie, co się snuć zaczynało.

Wyszedł na dziedziniec.

Mgła aż zalała ziemię szara, nieprzenikniona. Żółte liście leciały razem z mżącą siatką deszczu cieniuchnego i zimnego.

Modrzewie jedne zachowały swą zieleń letnią. Brzozy dziwne były brązowe, drżące, tuliły u swych stóp boże drzewka o czerwonych, spalonych podszyciach.

Na progu kuchenki stał Tarajewicz, Haśka czeladzka kucharka furman pastuch, i jedząc pampuchy z serem, które im ociekały tłuszczem po palcach, patrzyli za oddalającym się ku oficynkom Rydzikiem.

Ten włókł się zgarbiony. Ręce w kułak na piersiach zwinął i tak szedł bez czapki w deszcz, w mgłę.

Przed progiem kuchni leżał roztrzaskany garnek, a w nim resztki kawy rozbełtywał deszcz i trochę mokło bułki.

Adam do kuchni podszedł.

Co to było? spytał.

Ano odparł Tarajewicz pan Rydzik przyszedł, ochlał się kawy z bułką, a potem cisnął garnkiem o ziemię i powiedział, już więcej jadł nie będę".

I poszedł.

Sprawiedliwie, tak było.

Rozbił garnek i powiedział, co więcej jeść nie będą... Zachichotali wszyscy.

A jakże... do południa! syknęła Haśka.

Trza dobrze pampuchy schować śmiał się furman. Ojej!...

Adam odwrócił się i w ślad za Rydzikiem poszedł. Choroba pogarszała się. Charłactwo rakowate pojawiało się coraz silniej. Już nogi były

złowroźnie opuchnięte i siły Rydzika zmniejszały się z coraz większą szybkością. Adam rano pisał do profesora, iż zaniechał płukań, gdyż chory

przestał znosić sondę w żołądku. Zastosowywał belladonnę, morfinę, lecz jeszcze w małych ilościach.

Tymczasem u wrót śmierć czuwała. Adam doznał Rydzika już w sionce. Zamajaczyła przed nim tragicznie ta twarz, napiętnowana charakterystyczną żółtoszarą cerą.

Dlaczego pan pił kawę? zapytał, lecz głos brzmiał mu bez przekonania próżnią.

Rydzik spojrział nań mętnymi oczami. Coś jakby szklilo się w źrenicach ni to łzy.

Ostatnie... wyszeptał ostatnie...

Co? Jak?

Jedzenie już więcej jadł nie będę.

Powoli do izdebki się wsunął i na swoje wspaniałe legowisko empire runął.

Czas na mnie...

Te słowa rzuciły zaciskające się jakimś stężalym ruchem usta.

Czas na niego!

Gdzie? Dokąd? z czym ma iść?

Gdzie się śpieszy...

Czy wie czy przeczuwa... czy już przemodlił, przemyślał, przewidział w noc bezsenne?

Ach, jakaż to bezkresna równia przed nim się otwiera i dzwon jakiś go wzywa dzwon czy jęk czy może cisza, ulga zupełna.

Czas na niego!

To wielkie i żadne słowo. Czas już rzucić to marne i wzniosłe, to podłe i święte, to ukochane i nienawistne, to wszystko, to straszne i słabe groźne i przytulne...

Czas ostać bez tego...

I gdzie?

I po co?

On wie może on czuje prostą duszą instynktownie znalazł linię wyciąga się już bezsilny i mówi, że czas...

A może nie wie nic, nic i tylko, czując, że spełnić się musi, ludzi się do ostatka, ludzi się, niby śpiesząc, niby wiedząc.

Adam się nad nim pochylił.

Zmierzę temperaturę.

Lecz Rydzik usunął rękę lekarza.

Nie, nie... potra. Mówię, że już czas, i że to było ostatnie.

Nagle porwały go krwawe wymioty. Adam krzątał się koło niego. Drżącymi rękami szukał w podręcznej apteczce opium, aby czynności żołądka zatamować.

Na co to!... Na co? myślał rozpaczliwie kiedy rzeczywiście już czas. Ułożył chorego, który zdawał się doznawać pewnej ulgi i wyszedł do kuchni, rozkazując przynieść lodu. Wiedział, iż szampańskie wino byłoby w tym wypadku wskazane. I nie rozumiał, dlaczego, ale coś go dławiło. Nie mógł zażądać sprowadzenia tego wina z miasteczka, jeśli nie było go w piwnicy. Lękał się, że Tarajewicz wybuchnie oburzeniem na takie wymysły. Chętnie byłby sam to wino zapłacił, lecz należało posyłać, i wtedy grube instynkta zawiści żołądkowej rozegrałyby się w takt jęków konającego.

Przyszła mu na myśl Wiśka, lecz i tu potknął się o chłód i nienawiść. Uczuł się nagle otoczony wrogami, on i ten półtrup, który mu jakby u rąk wisiał. Gdy wracał do oficynki, ujrzał, że Wiśka stoi na ganku. Przed nią chłopak kuchenny odziany był jak do drogi. Ona podawała mu jakąś paczkę jakby książek i mówiła coś półgłosem. Adam nagle powziął postanowienie posłania po butelkę szampana do miasta. Wyrwał z notesu kartkę i napisał szybko markę wina. Dołączywszy pieniądze, czekał za węglem na chłopca, który już na drogę się kierował.

Mały! zawołał a pójdź no tu... Chłopak się zatrzymał.

Czego?

Przyniesiesz mi to z miasta.

Nie idę do miasta idę do pana Toczyskiego od panny.

AL.

Chłopak oddalił się. Adam uczuł jakby pchnięcie w serce. Wiśka znów zawiązała nić z Toczyskim. Uśpione budziło się! Straszne... straszne... I nie mógł nic tak samo, jak nie mógł nic poradzić tam u łoża śmierci. I tu, i tam rozkład, zgnilizna.

o Rydzik leżał nieruchomy, jakby zrezygnowany. Adam pierwszy raz widział go tak cichego, tak dziwnie jakoś ukojonego.

Czy was mniej boli?

Otworzył oczy, które zaczynały jakoś jaśnieć mimo szkliva łez.

Ale... psia jucha boli ścierwo, tylko już skoro tak ma być to niech będzie.

I znów z całą rezygnacją oczy przymknął, a po wargach coś jakby przelatywało, jakby pacierze, jakby westchnienia. Wreszcie zdawało się, że zasnął. Adam zasunął się w kąt twarz w rękach ukrył i siedział tak pragnąc zginąć, przestać istnieć.

Kochał ją czuł, wiedział, rozumiał. To była miłość. Lecz nic w niej nie było egoizmu. Nic dla siebie nic. Wszystko najlepsze dla niej. Całe piękno, dobro czystość życiowa jej jej pod nogi, jak skarby uśpionej królownie. A tymczasem musi stać na boku i patrzeć, jak z ciemnej otchłani wypęłza to, co najpotworniejsze, i wyciąga po nią swe długie

okrętne macki.

Szarawy pył jakby zapadał powoli. Jesienny koniec ohydneho dnia, martwy, bolesny, wiercący się pod samo serce. Rozściela się to po podłodze, pełza aż pod stopy Adama. Kurczy się w nim wszystko. Uciec by rad z życia, bo nadto boli, gdy się tak bezczelnie rozwija.

Nagle z ust zaciśniętych Rydzika pada ostry dziwny głos.

A ona niech mi zaraz przyjedzie!... Taki to rozkaz praw rozkaz męzowski zbudzonej władzy.

Tragedia się rozpoczyna z całym majestatem. Komedia życiowe rozbałamuconych istnień musiały ustąpić. Czuć to było w tym głosie.

Ona to jego żona, powinna, musi być przy łóżku konającego męża. Mniejsza, że ona rasowa, ma cienkie kończyny charcicy, pojęcie o pięknie i wyłamany charakter a on cuchnie, klnie i duszę swą nosi za pazuchą prosto, nie licząc, z jakich fiber się składa.

To wszystko mniejsza but przechodzony czy amerykański Azalea Flowers...

Ona tu musi być!...

Tak, tak, musi odpowiada, jak echo, i Adam...

Lecz jak? Pisać samemu? Gdzie? Profesor ma adres. Tarajewicza prosić można także. Najprościej jednak przez tamtą.

I Adam dostrzega nagle ścieżkę, która go doprowadzi do Wiśki.

Musi zrozumieć odczuć musi.

Kiedy jej to powie? Dziś? nie. Jutro poszuka sposobności. Dziś. oboje mają pomiędzy sobą tyle zła tyle bólu. Trzeba, koniecznie

trzeba.

I Adam nieledwie wmawia w siebie, że musi to zrobić, a serce młode aż rwie się w nim i pragnie, i modli się, aby to się stało.

Gdy wstał świt, Adam podniósł ociężałą głowę. Przesiedział całą noc skurczony na skrzynce, pod piecem. Nocna lampa, starą modą, w słoiku, tliła się jeszcze. Od parku ciągnął znów groźny wicher i bił w szyby.

Ranione drzewa zajadle dopominały się o swoje i wyły w jesienną szarugę, wstrząsając gałęzmi. Chłód wypełzał z ziemi i warzył liście, i osiadał na dyniach, które jaskrawo dźwigały się z ziemi.

Rydzik leżał nieruchomy, siny sztywny. Tylko po tych ustach biegały jakieś dreszcze, jakieś szepty.

Coś niby tajemna rozmowa.

Z kim?

O czym?...

Jak wiele miał teraz tajemniczego w sobie ten człowiek, który zdawał się mieć tak mało komplikacji wtedy, gdy istniał jeszcze szeroko i głośno!

Wchodząc w mistyczny krąg rozpalał w sobie lampę świątynną, dokoła której snuł się już cały świat.

Cały inny świat!

Adam postanowił cały dzień spędzić, przy chorym. Pojawienie się w jadalni było mu nieznośne. Pragnął spotkać Wiśkę, lecz nie w codziennym środowisku. Posądzanie jej krążyło dokoła wśród ścian dworu.

Adam chciał nad nią, nad sobą przestrzeni, nieba. Może i jej dusza krystaliczną jasność odczuje.

I cały dzień przeszedł powoli smutno w ciszy zupełnej. Adam rąbał lód na drobne kawałeczki płukał i na łyżeczce wsuwał go w usta Rydzika.

Ten kilkakrotnie spojrzał mu prosto w oczy. Było w tym spojrzeniu tak jasne przypomnienie, że Adam mimo woli odpowiedział:

Tak, tak pamiętam!

Nad wieczorem Rydzik zasnął szary, straszny. Adam poszedł do dworu i napisał list do profesora, domagając się przyjazdu baronowej. Pisząc, nasłuchiwał, czy nie pojawi się jakiś szmer wewnątrz domu. Lecz cisza była zupełna. I serce Adama zaczęło łopotać młodo, miłośnie, niespokojnie...

Wyszedł wreszcie i zaczął iść w stronę lasu. Wicher ustał. Sosny stały na piasku jak z brązu wykute. Na pastwiskach perz czerwieniał podpalony ręką pastuchów. Niewyraźnie księżyc na nowiu delikatnie się znaczył. Adam szedł w stronę polanki szmaragdowej jeszcze i dziwnie

zielonej. Delikatnie się znaczyła na końcu drogi. Adam zszedł w mchy i kroków jego nie było słyhać zupełnie. Gdy las zrzędł i polanka rozwinęła się trochę jakby błękitną mgłą zaciągnięta, Adam stanął jak wryty.

Dwie śliczne, smukłe sarny wyszły z gąszczu i stały nieruchome, zapatrzone w dal. Z głębi lasu tymczasem dolatywał chrapliwy, bolesny prawie ryk jelenia. Sarny słuchały jakby niepewne, wahające się, tego nawoływania, wabienia tej pieśni potężnej, która na ich cześć grała.

Nagle porwały się i pobiegły obie ku zaroślom jakby ciągnione dziwną, niepojętą władzą. W tej chwili przemknęło się Adamowi jasno, okrutnie wyobrażenie Wiśki, biegnącej ślepo w ciemnię wabiących ją zdarzeń. I zdało mu się, że to wyobrażenie przenosi się na halucynację wzroku, bo oto ona ostrożnie, delikatnie wynurza się z lasu i odrywa od kolumnady pni drzewnych.

Smukła, strojna w szary kostium, jest widocznie na zasadzce, a może tylko udaje. Kolto ma przewieszzone niedbale przez ramię, twarz zwróconą w dal ciągnącej się w głąb lasu drogi. Adam doznaje wrażenia, że Wiśka tu stoi, oczekuje na coś może na kogoś. Ta myśl sprawia mu ból tak dotkliwy, iż postanawia zbliżyć się do niej, narazić się na wszystko, aby to uczucie przerwać.

Lecz z głębi tam od drogi cichy jakby gwizd chromatyczną gamą przecina powietrze.

Jeleń umilkł teraz słycać ten łagodny wabiący gwizd.
Wiśka wysunęła się jeszcze i, nieruchoma na zieleni łąki, cała szara,
smukła, nasłuchuje.
Jak te sarny przed chwilą.
Nasłuchuje, waha się...
Gwizd znów gwizd.
Adam patrzy, tchu mu brak.
Chce poskoczyć, zawołać: „Nie idź!... Jeśli chcesz, u stóp ci się położę.”
Lecz ona skręca się na miejscu i tak, jak tamte dwie, jak one, smukła i
wabna wbiega w las, w świątynię drzew.
Tylko wrzosa rudawe na skraju lasu się chwieją, tracone jej stopami.
Tylko zapadła za nią i za sarnami jakby zasłona złotych liści, które padają
wolno z drzew na mchy, na krzaki powiędłe, na wrzosa zczerniałe.

Więc widuje się z nim potajemnie? Widuje się, nie śmiąc wprowadzić go
już po dawnemu pod dach, gdzie i on przebywa!
Dlaczego to czyni? Dlaczego się kępuje? Większego bólu mu sprawić nie
może. A kto wie! zapragnęła się nagle wydać lepszą, niż jest w
rzeczywistości. Ach! to jeszcze ohydniejsze. Niechby już została taką jak
przedtem, jak dawniej, gdy nie kryła się ze swym zbliżeniem się z
Toczyskim. Wolał to wolał po stokroć.
Wraca do domu, a na niego pada mrok i smutek, dawniej mu nieznan.

To nie zazdrość wszakże. Bo to, co z jej istoty zostaje udziałem Toczyskiego, jest dla Adama podrzędne. Lecz że to podrzędne kła właśnie i niszczy to główne, to, co później na resztę życia pozostaje kobiecie wszystkim to Adamowi serce orze tępym ostrzem bólu.

Jak matka! Jak matka!...

Nie wini jej, nie wini nikogo. Tylko cierpi młodzieńczo i pięknie. Cierpi duszą całą, która mu się w serce wciska. To dwoje dusza i serce.

I takie biedne, takie strasznie zbolełe.

Kilka dni znów przechodzi samotnie, monotonnie. Adam nie może, nie jest w stanie spojrzeć znów w

oczy Wiśce. Czuje za nią coraz większy wstyd i traci pragnienie zejścia się z nią znowu. Wieczorem późno przekradł się do dworu, zebrał konieczne rzeczy i przeniósł się do oficynki. Usprawiedliwia swój postępek czuwaniem nad umierającym.

Dla niego także nic nie mogę... myśli rozpaczliwie, patrząc na coraz silniejsze napady Rydzika.

Tylko on odchodzi, ona będzie się jeszcze wlokła długie życie... tak, tak! I ogarnia go szalone rozrzewnienie.

Biedna, biedna...

Chciał dodać po dziecięcemu „moja” ale się opamiętał. Skąd? Dlaczego? Lecz gdy nocą przyległ na skrzyni Rydzika i z ciemni, znad łóżka w świetle lampeczki pobielować zaczęła trójkątna twarz kobieca, podjął się, ręce złożył przy ustach trochę drżących od wzruszenia.

Dlaczego nie może być... moją? zaczął się zastanawiać może być serdecznie moją w myśli, w obrazie duchowym, w tej Wiśce istotnej,

nieszczęsnej, zbrukanej powierzchownie. Będę o niej myślał, otulał ją swą miłością, serdecznym pragnieniem. Może tam coś do niej przywionie i choć na chwilę jej duszę rozjaśni. Taka może być moja... to przecież możliwe!...

Taki był w tej chwili szczerzy, prosty taki ładnie młody pomimo, iż ciało jego nie miało już w sobie dziewiczości dziecka. Lecz duch przewionął ponad tym wszystkim nieskalany widocznie, skoro Adam mógł jeszcze tak myśleć, tulić ręce do ust drżących, słać tęskne oczy w stronę, gdzie spała młoda dziewczyna, płonąca żarem i niczym nie Strzeżona.

I będę ją tak kochał całe życie...

To jeszcze mu przesuwają się przez myśl, takie postanowienie serdeczne.

Ona tam śpi pod atłasem kołdry śpi w rozrzuconej gęstwie czarnych włosów i nie wie nic, nic.

Tylko jarzębina szuści po szybach, lecz ona nie strzeże nawet snów dziewczyny.

A sny to niespokojne, straszne, złe. Pot zrosił czoło i pierś Wiśki. Nic nie pomoże korna, serdeczna i szczerza myśl, dążąca ku niej z oficyn.

Nic nie pomoże. Taka myśl, to jakby mgła padająca na płonący step.

Nim płomieni dotknie zniknie strawiona żarem.

Tak tak!

Nadeszła odpowiedź od profesora. Nie wiadomo, gdzie bawi obecnie baronowa. Była w Wiedniu,

gdzie leczono ją na utratę tuszy, pojechała, lecz dokąd, nie wiadomo. Profesor dziwił się, iż Adam zwraca się do niego z tym zapytaniem, mając pod bokiem córkę baronowej.

Adam postanowił zwrócić się raczej do Tarajewicza, niż do Wiśki.

Owładnęła nim bowiem chęć pozostawania jak najdalej od baronówny.

„Im dalszy będę od niej, tym bliższy myślał. Delikatniej drogą zdawać mi się będzie...”

Zresztą, inaczej być nie może.

Chwilami bowiem zdawało mu się, że ta Wiśka, żywa, silna, działająca w swej sferze może sprawić krzywdę tej Wiśce słabej, bezsilnej, którą on wymarzać sobie zaczynał i otulał swą serdecznością.

Lecz Tarajewicz na zapytanie Adama oburknął się prawie brutalnie:

Nie wiem, a zresztą na co tu jaśnie pani? Po co właściwie? Czy tak, czy tak, ta nędza zdechnie. A jaśnie panią ściągać tu i narażać, Bóg wie, po co. Ani będzie za to wdzięczna, ani kontenta. Pochować go bez niej potrafią. A zresztą, nie wiadomo, gdzie jest... gdzieś... po świecie.

Tarajewicz ręką machnął, jakby liście jesienne po przestrzeni rozganiał. Adam powrócił do izdebki Rydzika i zaraz u progu spotkał oczy umierającego, oczy przypominające mu ostatnie wymówione słowa:

A ona niech tu będzie!...

Widoczne było, iż silna wola panuje tu szaloną potęgą nad zastygającym ciałem.

Woń gnilna unosiła się dokoła pomimo najusilniejszego wietrzenia i dezynfekcji. Chory przełykał tylko lód, lecz kilkakrotnie zwracał szare miazgi. Powoli zanikały w nim czynności organiczne. Adam zrozumiał, iż rak przeżera się do aorty. Dziś, jutro miało skończyć się wszystko.

Adam zrozumiał, iż nie ma czasu do stracenia. Zażądał kogoś do pomocy koło chorego. Narzuciła się Haśka. Sekundę jak błyskawicą mignęła w Adamie chęć odrzucenia jej pomocy ze względu na podejrzenia Wiśki. Lecz zaraz odepchnął tę myśl od siebie.

Jak można nawet jak można... wszak to tamta Wiśka przypuszcza, ta jego nie ma podobnych myśli. Za czysta, za święta, a jemu chodzi o tę drugą.

Siedź tu... mówi do dziewczki, która kokieteryjnie ściąga z głowy żółtą chustkę siedź tu i podawaj mu po odrobinie lodu do ust.

Haśka z instynktem kobiety, chcącej zwabić jakkolwiek mężczyznę, ujmuje dość zgrabnie łyżeczkę i pochyla się nad chorym.

A nie wstrząśnij go!... proszę cię!

Oczy dziewczki spotkały jego proszące źrenice. Chichot był w ślepiach Haśki na dnie. Jaki mi czuły doktor!... Jak się to rozpada! Zesznurowała usta, przybrała skromną minę.

Dobrze... wyszeptała.

Adam chwilę zastanowił się, wreszcie, nie patrząc na Haśkę, zapytał:

Panna baronówna w domu? Haśka się schmurzyła.

Nie wiem! odparła dość czelnie panna od świtu poluje może nie wróciła.

Gdzie poluje?

W Janowicach razem z panami.

Adam wdział palto, czapkę, i szparko przed dom wyszedł. Koło stajen kręcił się furman.

Daleko stąd do Janowie?

Niby do leśniczówki?

Tam gdzie polują.

Ano w leśniczówce. Koło trzy, cztery kilometry.

Zaprzęgaj, jedziemy!

Zawiozłem pannę rano...

Mniejsza z tym, konie nie popadają.

Szybko zaprzęgać we dwóch zaczęli. Adama ogarnęła gorączka. Drżał cały. Teraz nim aż coś rzucało, aby zobaczyć się z Wiską. I pragnął, i lękał się. Wolał jednak, tak w lesie wśród ludzi, niż sam na sam.

Jedźmy!

Jechali tą samą drogą, na której Adam dostrzegł kilka dni temu sarny i Wiškę. Dzień był jasny i krystaliczny. Wcześniej jeszcze było i mgła się włączyła po łączce, która zdawała się mieć w sobie zieleń zaczarowaną. W miarę jak wjeżdżali w las, silnie rozrośnięty miejscami, czasem znów wycięty i jedynie nasiennikami porośły Adama przejmowało jakieś uczucie nieokreślone. Coś z lęku, coś z szacunku, coś ze smutku, że dzieje się tyle objawów życia, na które on wszakże musi pozostać

obojętny. Zdaleka słychać było jakiś łomot i krzyki głosów niesfornych, zbiorowych.

Ha!... Ha!...

Naganka wyrzekł furman. Adam zatrzymał lejce.

Zaczekaj wolę dojść czy prosto?

Tak o!... Kot! Kot!

Aż wstał z uciechy, widząc zmykającego zająca. Długo chwiały się po nim jeszcze krzaki i drżały wrzosa.

Poniosło!...

Adam wysiadł i zaczął iść drogą. Za nim rżały konie, dzwoniąc frędzlami.

Czekajcie tu na mnie. Zaraz wrócę!

Na zakręcie drogi dostrzegł nagle leśniczówkę, zbiór budynków miniaturowych, stawianych z drzewa. Na placyku przed domem, dokoła którego czerwieniały georginie ścięte gładko pnie drzewa formowały stoły. Poukładane na nich tarcice dziewczki nakrywały obrusami i stawiały talerze. Stara, siwa leśniczyna wynosiła właśnie z sieni ogromne półmiski, pokryte cienko krajaną szynką i ozorem.

Adam uchylił czapki.

Chciałbym pomówić z panną baronówną.

A!... Jaśnie panna w lesie, ale zaraz tu przyjadą. Biorą właśnie ostatni miot w tej stronie... Wrócą na śniadanie.

Niedaleko nakrytych stołów ustawiono na dwóch kozłach draży silne do zawieszenia zabitej zwierzyny. Właśnie zajechał wóz i kilku chłopów zeskoczyło, zwalając cielska okrawione, bezwładne, tragiczne.

Bestialstwo triumfujących budzi się w zetknięciu żywych ze świeżymi trupami. Śmiech dziwny kurczowo wykrzywia usta chłopów.

Nie będziesz ty kurek dusił mówią do lisa.

Liczą zające, rechocząc głośno. Mały podrostek babrze się we wnętrznościach rogacza i wpycha je przez ranę do brzucha. Nozdrza roztwierają się dziecku, pochylonemu z lubością nad tą pracą. Wreszcie rzędem, estetycznie, według reguł zawieszono jeszcze ciepłe zwierzęta. Krew czarna, gęsta pada kroplami na jasny piasek. Jedna z dziewczek zerwała długie sploty nasturcji i przyozdabiała nimi żerdź.

Adam obrócił się i zaczął iść w głąb lasu, skąd nadlatywał coraz silniej wrzask naganki.

I nagle ujrzał Wiškę.

Jechała na drabiniastym wozie, z którego wyjęto jedną drabkę. Myśliwi usiedli rzędem, spuszczać nogi ku ziemi.

Ona, jedna kobieta pomiędzy rzędem mężczyzn, wносиła delikatny odcień piękna w to rozbisurmanione, brzydkie grono.

Jakiś wyraz niekulturalny, coś potracającego o epokę jaskiniową wybiegło na twarze tych ludzi. Grube ubrania, przeważnie brązowe, lica jakby spalone wichrem, zimnem i namiętnością, oczy połyskujące zawiścią i chęcią mordy, wszystko to składało się na szpetną całość.

Stercząca w górę broń zbłocone obuwie nie dodawało nikomu z tych ludzi wdzięku. Nogi były obute w zbyt wielkie i ordynarne buty, na głowach wciśnięte były śmieszne tyrolskie kapelusiki. Spod nich wysuwały się zbyt duże twarze.

Siedzący obok Wiški Toczyski przedstawiał się najfatalniej. Zgrabiał posiniał. Na bakier wsadzony kapelusik mchowego koloru był nad wyraz komiczny. Zakręcone piórko komizm ten potęgowało. Przytulony prawie do ramienia Wiški, mówił coś do niej posiniałymi ustami. Ona nie słuchała zapatrzona przed siebie. Na marmurowo

białej twarzy czerniały plamy oczu. Adama uderzyło przede wszystkim to, iż Wiśka nie zdawała się bynajmniej podniecona ogólnym nastrojem.

Wyglądała raczej na znudzoną.

Dojrzała go zmrużyła oczy i zdawała się wahać przez chwilę.

On kapelusza uchylił i stanął nad drogą. Serce mu łopotało w piersiach jak ptak spłoszony.

Gdy wóz nadjechał, Wiśka odezwała się głośno:

Pan do mnie?

Zatrzymała wóz i zeskoczyła na ziemię.

Chodźmy!

Poszła przodem w gąszcz leśną. Nie obejrzała się za nikim ze swych towarzyszy. Przedzierała się śmiało przez kczaki. Gałęzie cierniowe czepiały się jej krótkiej spódniczki i odsłaniały bufiaste spodnie, przytrzymujące angielskie wełniane pończochy. Wysokie, brązowego koloru buciki, tonęły we mchu jak w bagnisku. Purpurowe kamienuchy osiadły brzeg jej sukni.

Adam postępował za nią zmieszany, zdławiony. Nie przypuszczał, że tak prędko się to stanie.

Gdy byli wreszcie w środku gąszczu i wozy turkotały w oddali, spojrzała mu prosto w oczy, wyciągnęła ręce i przez zęby rzuciła jedno słowo:

Nareszcie!

Był to war, ukrop, coś, co wiruje, kotłuje myśli pod czaszką, dech zapiera. . Czekala tak z rękami wyciągniętymi. Lecz nim aż coś szarpnęło z trwogi przed tą dziewczicą o spalonych wargach i pociemniałych oczach.

Prędko, chcąc zerwać czar, wyrzekł:

Gdzie jest teraz matka pani?

Wyciągnięte ręce opadły. Jakby leciuchny, biały obłok przesunął się po źrenicach.

Ach!... więc to po to?

Gdzie jest matka pani?

Po co panu moja matka?

Głos brzmiał twardo, źle. Adam to odczuł, lecz coraz więcej cofał się w siebie.

Ojczym pani umiera.

Cóż stąd?

Chcesz widzieć żonę.

Zaakcentował silnie to słowo.

Nie zobaczy.

Musi.

Śmieszne...

Złe...

Zaczęli się mierzyć oczami. Lecz znów w Adamie przeważała litość.

Pani wie, co jest śmierć? Pani wie, jakie to bolesne, gdy pokrzywdzony umarł i krzywdy mu uczynionej nic już naprawić nie może?

To są sentymanta.

Może ale są, więc się z nimi liczyć musimy.

Wiśka przygryzła wargi i nerwowo zapinała i rozpinęła żakiet.

Nie jestem egoistką... wolę cierpieć!

Nic nie zdoła oddać tonu, z jakim wypowiedziane było to słowo.
Raz ostatni pytam, gdzie matka pani?
A ja raz ostatni odmawiam odpowiedzi. Ręce ku niej teraz wyciągnął.
Nie dla mnie, dla siebie to zrób...
Powiedziałam wolę... cierpieć.

Dlaczego nie chcesz zrozumieć, ile szczęścia w dobroci?
Śmieszne!... Śmieszne!... Śmieszne!...
Nie, nie.
Zresztą, pan nie ma prawa o tym mówić. Pan sam jest zły... Tak, tak.
Zmuszasz mnie do czynienia wielu rzeczy, które wiem, że robić nie
powinnam.
Gorącym tchem wiało od niej, oczy jej znów ciemniały. Jego ścisnął za
serce szalony ból.
Gdzie matka pani? Zastawiał się tym jak tarczą.
Nie odpowiedziała nic. Marszczyła brwi.
Nic mi więcej nie powiesz?... spytała wreszcie niskim, chrapliwym
głosem.
W ziemię patrzył.
Nic.
Jak błyskawica porwała się i bieć w zarośla zaczęła.
Wiśka!...
Idź precz... nie chcę cię znać!
Łamała z pasją krzaki szarpała ciernie rękami. Wreszcie znikła w
gąszczu.

Adam powoli wrócił na miejsce, gdzie pozostawił konie. Zaroiło się tam od ludzi. Obdarty, ledwo odziany oddział podrostków, stanowiących naganę. Ten i ów wyciągnął z torby kawałki chleba. Kilku rozpałało ogień, aby piec kartofle.

Adam wsiadł do wózka prawie nieprzytomny.

Co to wszystko ma znaczyć? myślał, dysząc ciężko. Nagle zaszumiało w krzakach i drogę zabiegła Wiśka.

Stój! krzyknęła na furmana.

Była bez dubeltówki i ręce miała pokrwawione. Wskoczyła do wózka i usiadła obok Adama.

Jedź!...

Konie porwały się szybko i, czując, że wracają do stajni, biec szparko zaczęły.

Adam nie odzywał się wcale. Patrzył na jej ręce pokrwawione, czuł, że ramię jej opiera się o jego ramię. Coś go dławilo. Chciał porwać te ręce i krew z nich scałować. Nagle wyjechali na polankę. Sarny ciche wabienie, ryk jelenia przypomniały mu wszystko.

Teraz za mną... o! Jakaż to nędza! myślał, łamiąc się rozpaczliwie.

Ja sama do matki napiszę... rozległ się niespodziewanie szept obok niego. Nie wiedział, dlaczego nie uczuł na to zwycięstwo żadnej radości. Podniecona oporem ustępowała. To było widoczne. Duszy swej ani na chwilę w ten postępek nie kładła. W imieniu konającego działa przecież. Nie wolno mu było być dumnym. Musiał brać, co mu dawano.

Cicho odparł:

Dziękuję!

Odczuła w nim, że ją przeniknął. Odsunęła się trochę. Przestała go palić swym ramieniem.

Jechali milcząc, oboje znękani i zmęczeni swoją obecnością. Zbyt była silną na razie.

Gdy zajechali przed dom wypadła z oficyny Haśka.

Niech pan doktor się śpieszy... to jakoś tak dziwnie leży boję się...

Adam zwrócił się do Wiśki:

Niech pani telegrafuje... to konieczne.

Wiśka spochmurniała znowu usta jej wykrzywił niepoczciwy grymas.

Zobaczę! wyrzekła, obrzucając chłodnym spojrzeniem Haškę i Adama.

Cicho, cichutko po łąkach białe mgły się rozsnuły. Nic tylko białe mgły. Z brzegu widać sylwetki drzew, a dalej wszystko białe, tonące jakby w obłoku.

Taka dziwna noc.

Księżyc wysoko także biały nie srebrny. Na równiach tryska purpurą albo mleczną biel ściele.

Adam stoi koło łóżka Rydzika. Ten zapada w półsen, graniczący już z utratą przytomności. Chwilami podnosi z ciężkością powieki, jakby jeszcze chciał przebić mrok. I trudno mu, nie może.

Dwukrotnie tężały mu mięśnie szyi bełkotać coś zaczynał, jakby się mocował z czymś potwornym, niewidzialnym i ustępował... milkł.

Adam blady, zdenerwowany cały zamieniony w uczucie, pochyla się, niesie pozorną ulgę. Na nic nauka. Bezwładny jest, smutny tragicznie, jak zawsze, gdy to potężne szydziło z wysiłków, przez

naukę czynionych.

Znów śmierć!... i nic... nic...

Za nim Haška siedzi na kufierku i czyni wysiłki, aby nie zasnąć. Adam podnosi oczy i spotyka się z bladą twarzą trójkątną za szybą obrazu.

Gdzieś ty myśli czy ci przecucie kobiece nic w tej chwili nie mówi?
Dziw dziw...

Oto za szybą okienka słania się druga taka twarz blada, trójkątna, obramiona pasmem czarnych włosów. Niewyraźne to ale jest rzeczywiste, żywe...

Haśka równocześnie zjawisko dostrzega.

Jaśnie panna... mówi szeptem. W Adamie aż targnęło się wszystko. Przyszła!... Przyszła pod okno, zbudzona litością nad umierającym. A więc sumienie, sumienie i... przebaczenie!

Wybiega czym prędzej z chaty. Pragnie pochwycić Wişkę za ręce wprowadzić ją w triumfie pochylić nad konającym. Jakaż słodka rozkosz rozwieje się z tej chwili!

Wiśka przed nim ucieka. Biegnie ku parkowi w mgłę. Drogie, drogie stworzenie wstydzi się jasnych odruchów duszy. Ale on ją dogna i powie:

Taką cię widzieć pragnę... taką... Stanęła wreszcie i czeka na niego.

Chodź pani, chodź... on jeszcze przytomny.

Ona nie idzie. Oparła się o rozwalony płot, owinięta w fałdy szala. Włosy ma rozpuszczone. Białe światło kładzie po nich śnieżne puchy.

Dlaczego się pani opiera? Dlaczego ucieka? Ja panią przeniknąłem, zrozumiałem, co się w pani dzieje to najpiękniejszy odruch pani serca...

Więc niech idzie precz! Niech natychmiast idzie precz!

Lecz kto? Kto?...

Ona... ta... ach!... mówisz, żeś mnie zrozumiał, dlaczego więc...

Och!...

Adam porwał się mimo woli za głowę. Spadek był zanadto silny. Wişkę przygnały pod okno oficynki

niepocziwe myśli, podejrzenia. Teraz każe gnać Hańkę, a on sądził, że budzi się w niej dobroć, że budzi się w niej kobieta.

Ona go nie pojmuje szybko, gwizdząco prawie wyrzuca wyrazy:

Można mi było tego oszczędzić... i mnie... i sobie... Takie coś, taka... Gryzie wargi do krwi ogarnia ją szal. Adam patrzy przerażony, nie miał pojęcia o takim rozpętaniu namiętności, tych najniższych. I ogarnia go przesmutna rozpacz, bo czuje, że wszystko, co chciałby uczynić w kierunku wyższym, rozbije się o ten wał, utworzony ze steku najgorszych warstw, jakie ludzką istotę składają.

Nic na to nie poradzę!... Nic!... mówi, patrząc na nią zrozpaczonymi oczami.

Poradzisz, poradzisz... nie drażń mnie więcej, bo się potem za siebie i za ciebie wstydzę...

Wiśka! Wiśka!...

Ech! Co? Co? Wiśka... chodźmy!

Porwała go za rękę, wpiła mu w dłonie swe długie wyszlifowane paznokcie.

Było ze mną nie zaczynać! rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Chodźmy!

Pobiegła naprzód do oficynki. On szedł za nią zgnębiony, zawstydzony.

Nie w takim usposobieniu pragnął ją przyprowadzić do łóżka umierającego.

Wynoś się stąd wyrzekła krótko do Haški, wchodząc do izby.

Ktoś nam jest potrzebny...

Obudź furmana, każ mu tu zaraz przyjść, słyszysz!...

Haška nienawistnie, po kobiecemu spojrzała na tę drugą kobietę, rugując ją ze stanowiska. Wstyd i zmieszanie Adama wzmogło się. Nagle Rydzik otworzył oczy. Dostrzegł Wiškę lecz zamroczony już umysł nie umiał rozróżnić córki od matki. Wpatrzył się w straszny, tragiczny sposób. Przeszył ją niemal tym spojrzeniem. Oparła się o ścianę zmieniona, drżąca.

Czego on chce?... Czego on chce?... szeptała.

To obrachunek odparł bezwiednie Adam. Stał przy niej i podtrzymywał ją, bo słaniała się bezsilna.

Jak on patrzy... jak on strasznie patrzy... wlepiła przecież w niego źrenice, jakby urzeczone tragiczną potęgą jego wzroku.

Ja mu przecież nic nie zrobiłam...

Jesteś tego pewna?

Nie, nie. To on mnie!...

I podrzucona siłą nerwów rzuciła się od ściany.

Puście mnie stąd!

Adam starał się ją zatrzymać.

Podaj mu pani rękę!

Nie! Nie!

Już patrzy łagodniej, prosi o coś oczami!

Puście mnie stąd!!!

Owinęła się włosami jak welonem i rzuciła się we drzwi. Za chwilę słyhać było łomot drzwi w sionce i ucichło wszystko razem, z biegiem jej kroków.

Adam pozostał sam na sam z umierającym, którego oczy stawały się powoli szklane i rozpaczliwie smutne.

Adam powrócił z cmentarza. Rano spadł śnieg i teraz topniał powoli, dręcząc po macoszemu resztki drżących i biednych kwiatków, tulących się w zmarzłe i pożółkłe masy bukszpanu.

Adam miał całą duszę pełną goryczy. Ten pogrzeb męża pani baronowej był tragicznie oschły, nędzny, potworny.

Wiały mu dwie chorągwie jeden ksiądz zawodził cicho, jakby się wstydził, jakby niechętnie spełniał tę ostatnią posługę, choć zmarły pogodził się z Bogiem...

Tak, tak się stało.

I Adam, siedząc teraz w swoim pokoju, widzi jasno, jak było, jak stało się to, że on właśnie w tej zgodzie pośredniczył.

Bo, gdy pozostał tak sam owej pamiętnej nocy z konającym zwała się na niego ta góra niepewności, która go przy każdym skonie przytłaczała i brała za bary. Tak się to utarło to niby poznanie nicości wszystkiego.

Niby przez te skalpele, tę bezbronną martwość trupią, tę martwość ćwiartkowanych wołów lub krajanych rzep, buraków...

Nicość... nicość...

To było konieczne, razem z doktoratem, to być musiało.

Lecz coś nurtuje, coś, w te chwile przedzgonne, gdy jeszcze bezwładność trupa nie występuje na plan pierwszy...

I ta myśl, czy mam prawo odbierać ostatnią pociechę, do której duch się garnie? Czy mam prawo niweczyć to, koło czego wiła się nić życia? Ja? Dlatego, że wiem, ile łokci mają kiszki i jak się płaczą nerwy w tym ciele? Kto wie, jak rozpaczliwie w tej chwili pragnie ten milczący posłyszeć dzwonek, który mu zapowie Pana Boga...

Taki cichy, zbliżający się jakby gwiazda dzwonek.

I za nim stula... łagodne „Absolvo te...” i dobre słowa.

Mój synu... czekają tam na cię...”

Na niego, nędzarza o duszy obitej szczęściem życiowym, zranionej do głębi tak, że już miejsca nie ma na więcej ukłuć, na niego, na którego już nikt nie czeka i czekać nie chce...

A przecież na niego czekają!...

Jaka błogość, jaka radość świata w mroku i pustce.

I dlatego wczesnym rankiem, gdy po odejściu Wiśki na progu oficynki pojawił się zaspany furman, Adam zwrócił się ku niemu:

Jedźcie po księdza!... wyrzekł krótko.

A gdy furman czapkę z głowy bezwiednie zsunął, dodał:

Śpieszcie się!...

Furman odszedł cichy i nagle skruszony. To wielkie słowo padło.

Po księdza!... będą go dysponować.

A do wezgłowia umierającego przystąpił Adam i wyrzekł wyraźnie:

Posłałem po księdza!...

Oczy Rydzika otwarły się i wzniosły ku górze. Była w nich tak wielka potęgą wdzięczności, iż Adam zrozumiał, że ten z oddali tętniący dzwonek wypłoszył nawet pragnienie ujrzenia tej twarzy trójkątnej i rąk białych, gestem posiadania złożonych.

Teraz już po wszystkim. Nie ma Rydzika, jego klątw garnków z kapustą jego istoty, z którą nie wiadomo, co zrobić, gdzie podziać, aby była na swoim miejscu. Podziała się jednak jakoś...

Adam powoli pakuje swoje drobiazgi. Dopiero teraz ocknął się i czuje, że jest tu czasowy i zbyteczny. Tak go ta choroba, ta śmierć schwyciła, że nie czuł, czym jest w tym światku, który do niedawna jeszcze nie istniał dla niego. Wiśki od owej nocy nie widział. Całe dni spędzał u Rydzika, ona się tam nie pojawiła więcej. Widział tylko światło w oknach jej pokoju. Światło nie gasło noc całą. Lecz coś tak przeogromnego stało pomiędzy nimi ta śmierć rzecz powszednia, codzienna, zwykła a przecież porażająca swą potęgą i objawieniem swej głębi że to, co ich wiązało nikło i schodzić się zdawało na plan drugi.

Teraz jednak, gdy wszystko powracało do tak zwanego „normalnego” trybu, to drobniejsze brało górę. Życie triumfowało, mszcząc się za to, iż przez chwilę musiało milczeć zwyciężone. I oto z mgieł i chaosu Adam zaczynał dochodzić do świadomości, iż kocha Wişkę, kocha w jakiś dziwny sposób. Żal, litość, serdeczność, wzmożona do potęgi. Nie wie, czy ta, którą kocha, jest piękna i powabna, nie wie, czy bije od jej ciała prąd, przenikający go do głębi nie jest harfą nerwów, trącaną zmysłowym powiewem.

Rozserdeczności w nim uczucie dla niej aż do łez, aż do najtajemniejszych fibr, i drży, i łka, i prosi się o nią, aby tulić aby chronić... . Zmierzcha się.

Na dziedzińcu, zda się, jeszcze są ślady od wozu, na którym wieźli Rydzikowy trup do kościoła.

Tymi samymi śladami powiozą i Adama jutro na kolej powiozą het...

Z daleka widać park. Żółty, żółty i brązowy. Zda się, przeszedł po nim pożar. I milczy teraz zacięty w swej nienawiści triumfujący, że ten, który sprawiał mu rany i darł jego pnie rozpustą kul odszedł już precz z raną, która zeżarła mu serce na nic, na szczer!...

Do okna podszedł Tarajewicz.

Pan doktor jutro jedzie?

Tak!

Okno uchylone, ciepło dziś niespodzianie, gdy słońce przebiło zimną biel chmur i teraz nawet, choć już błękit topnieje na opał, jeszcze powietrze nie mrozi.

Pan doktor się też u nas naużywał mówi Tarajewicz, opierając się o okno. Nie po to tu przyjechałem.

Tak, ale musiało się panu doktorowi przykrzeć. Teraz, jak się wyrwie, to sobie użyje.

Rozpustnie mruży oczy. Miasteczko? Co? Kobietki?...

Adam nie odpowiada nic, układa książki. Tak, tak miasteczko...
kobietki...

Widzi je obsypane pudrem, spryskane zapachami, włączące się w jasności sklepowych świateł lub ledwo odziane z tym grymasem, znanym mu tak dobrze, kryjącym w sobie ciągły jakiś ból jakąś nieustającą chorobę.

Kobietka!...

Wszak i ona jest taką kobietką ta blada Wiśka, którą on kocha
I która jutro, pojutrze, słyszeć o nim nie będzie. I ona ma już ten grymas wyczekującej w cierpieniu na spełnienie swego przeznaczenia, i ona...

Kobietki!...

Jakież to straszne, tragiczne szyderstwo. Tarajewicz czuje, że trafił w złą chwilę.

Pan doktor coś nie tego... no to zmęczenie.

Tak.

A przecież, jak dobrze, że pani baronowa nie przyjechała... co?

Nie wiem.

Tarajewicz odchodzi z wolna, myśląc, że on wie, iż jest dobrze. Kto wie, co Rydzik mógłby babie naopowiadać przed śmiercią. Strasznie ich szpiegował wiecznie go mieli na karku. Wiedział dużo, za dużo.

Teraz mordę stulił śmieje się Tarajewicz. Leciuchno drzewa parku mu wtórują.

Teraz trzeba się do tej szkapki zabrać postanawia Tarajewicz. Tam, pod brzozami po siwą sierścią porosłej skórze Babci przeleciał dreszcz. Pochyliła łeb. I czeka na śmierć. Bo ten, który ją chronił...

Stulił mordę... Och!... Jak!...

Już wszystko ułożone, nawet paski na pledzie ściągnięte.
Jakaś gorączka kierowała tym zbieraniem ubogich drobiazgów. To
widoczne.

Teraz Adam siedzi w kącie pokoju, czując przed sobą straszną, bezmierną
pustkę. Taca z kolacją

stoi nietknięta. Na komodzie pali się świeca, która rozjaśniła tylko nieduży
kątek pokoju. Trzeba stąd iść precz, bez możliwości powrotu a zostawić tu
tyle, że nawet nie spodziało się, iż można mieć poza sobą tyle do
zostawienia.

W tej jednej bowiem zaczyna się teraz koncentrować dla niego wszystko.
To, co chciał oddać z siebie najlepszemu tysiącom, teraz by jej jednej
złożył w ofierze. Wiśka to synteza całej ludzkości. Kiedyś koledzy, drwiąc
z rozczulenia jego na punkcie altruizmu mówili mu, iż przyjdzie chwila, w
której jedna istota skryształizuje w sobie wszystkie jego myśli i pragnienia.
Rwał się, przeczył to niemożliwe!... Dziś przyszło to na niego, a on,
chcąc dać z siebie to najlepsze, musi milczeć, musi odejść...

Pójdę do ogółu!... myśli czyniąc coś dla niego i ją obejmę tym czynem.
Może siła mej woli na odległość coś dla niej zdoła!

Okno było wciąż otwarte i cisza panowała tak wielka, jakby w
opuszczonej świątyni, którą nawet nocne ptaki nie nalatują.

Jaka żałoba!... przemknęło przez umysł Adama.

I Rydzik mu się przesunął. Jeżeli... jeżeli się nie wszystko skończyło...
Jeżeli...

Jakiż on mądry teraz, jak w jednej chwili posiadał tę świadomość, której żaden z żyjących najmądrszych nie posiadał nigdy.

W jednej chwili...

Taki głupi, biedny chłop.

A tu całe życie strawione na dociekaniu tego, co przecież musi być ogromnie proste, ogromnie jasne...

Zaszemrało nagle u drzwi.

W pierś Adama jakby ktoś uderzył. Przeczuł ją tam, poza drzwiami, wahającą się, pomieszana.

Chciał wstać, drzwi otworzyć wyjść na jej spotkanie, ale lękał się poruszyć. Z zapartym oddechem czekał.

Weszła.

Gdyby Adam nie był prostym nieskomplikowanym chłopcem od razu uderzyłby go jej strój.

Była w klasycznej bieli, w długiej cienkiej wełnie i w pianie koronek.

Włosy, związane purpurową wstążeczką, spływały na plecy. Spod brzegów sukni wysuwały się czerwone, złotem haftowane

pantofle.

Oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem. Zdawała się wychudłą i wyższą. Trzymała w ręku świecę, którą zgasiła, wchodząc do pokoju. Postawiła lichtarz na konsolce i podeszła do stołu. Oparła się na nim ciężko, jakby wyczerpana. Chwilkę tak stała wreszcie osunęła się na fotel.

Co będzie z nami? rzuciła krótkim, urywanym głosem. Adam powstał, lecz nie podszedł ku niej. Zaskoczyła go tak nagle.

Był już prawie zrezygnowany i nie spodziewał się niczego więcej. Ona patrzyła na niego przez chwilę pałającymi oczami.

Więc dla ciebie to wszystko, co się stało, jest niczym? spytała, a głos jej drżał. Czy sądzisz, że ja tak łatwo czynię tego rodzaju ustępstwa, że jestem jedną z tych waszych flirtów kołtuńskich, mieszczańskich?

Coś jakby ją zdławiło. Wyglądała nieprzytomnie. Chciał ją błagać, aby się uspokoiła, aby odeszła stąd nie mówiąc tych rzeczy banalnych, szargających jego uczucie po jakiejś utartej ścieżce powszednich zgrzyt

liwych flirtów lecz lękał się rozdrażniać ją więcej i posłyszeć to, czego słyszeć się lękał.

Zresztą tu nie szło o to, co ona mówiła, tu szło o zuchwałość samego faktu, o to wtargnięcie do niego, nocną porą, o to ślepe zdanie się na los, na fatalność, na to, co on z nią uczynić zechce.

I trzeba było nie chcieć nie chcieć za jakąkolwiek cenę.

Tymczasem Wiśka przez długą chwilę oddychała ciężko. Ta cisza przesycala się jej wielką namiętnością. Była nieskończenie piękna. Długie paznokcie nadawały jej rękóm kształt pazurów gryfa. Brakowało jej tylko skrzydeł pochylenie głowy na wysokim tle fotela dopełniało złudzenia.

Dlaczego mnie nie chcesz?

Jakie to było straszne, jakie to było tragicznie bezczelne, jakie to było przechodzące wszystko, co wymarzyć można!

Adam aż przymknął oczy, tak go ten cios dotknął. Lecz równocześnie przemknęło mu przez ten pocziwy, dziecięcy umysł, że on ją znieważa że Wiśka ma na myśli małżeństwo.

I smutnym odpowiada głosem:

Cóż bym ci dał w tym małżeństwie, Wiśka, cóż bym ci dał?

W małżeństwie... Nie, nie... nie jestem tak dalece bezinteresowna. Nie chcę cię wiązać i wlec się za tobą. Ja nie znam siebie, ja nie wiem, do czego jestem jeszcze zdolna. Wiem to tylko, że

wtłoczone mam w siebie straszne instynkta... patrzyłam na straszne rzeczy. To wszystko mam w sobie i wypluję może podłymi czynami.

Jakże więc być żoną? Jak?

Łamie ręce, drży cała.

Adam przypada do niej, klęka, za ręce ją chwyta.

Nie mów mi tak, nie mów tak. Serce, uczucie cię osłoni...

Serce? Nie wiem nic o nim. Matka jedynie może w córce je zbudzić.

Moja matka się o to nie troszczyła...

Podniosła się z krzesła wyniosła, smukła ręce w górę rozwiąła.

Przeklęta jestem! Paria!... odepchnięta... nikt mnie znać nie chciał... świat się mnie wyparł... nie na żonę... nie...

W Adamie serce rwie się na strzępy. Objął ją tuli się do jej kolan.

Nie mów tak... Ja cię kocham... ufam ci... połączymy się... będzie, co być ma.

Nie! Nie!... Ja wiem, że może być źle takie jest marne, głupie przysłowie o jabłku. I choć ty wierzyć mi będziesz, ja sama się podniecę

zasugestionuję... Tak! Tak! i potem co? Z jakim Toczyskim, z jakim Rydzikiem po kątach jak... jak...

Straszny nieludzki płacz zdławił jej ostatnie słowa.

Jako kochanka... dobrze. Nic nie przysięgam, nic nie biorę na siebie. Gdy zdradzę, gdy pójdę utartą dla mnie ścieżką to nie będziesz mieć prawa...

A potem ludzie ludzie. Cóż to? Nie widzisz? Ja tylko mogę przestawać z mężczyznami wszystkie kobiety uciekają ode mnie. To jej córka! I pomyśl... byłbyś mężem tej jej córki!... Każdy powie:

Taka sama!... Ach! Podłe, podłe!

Rwała na sobie odzież.

Pochyliła się ku niemu.

Włosy jej znów opadły na jego głowę odurzająca woń owiała go. Pod ciemnym płaszczem zbliżała się ku niemu blada twarz, rozchylone usta.

Jako kochanka...

Na czoło mu spadły jej łzy. Ostatnie gorące. I to wystarczyło. Odsunął płaszcz włosów.

Jako żona!

Nie, zanedbom uczciwa... Jako kochanka!

Zanedbom uczciwy nie!...

Pochwycili się za ręce. Siła z nich biła. Oczy im płonęły naprzeciw siebie. Słysząc było tylko wśród nocnej ciszy, jak dyszeli oboje ciężko.

Idź stąd... szeptał mężczyzna.

Nie... nie...

Pozostawało jemu uciec, lecz instynktem czuł, że to będzie zbyt wielką dla niej obelgą.

Po raz pierwszy on na wskroś uczciwy, w kłamstwie dostrzegł możliwość wyjścia.

Nie pojedę jutro... we dnie mówić będziemy!

Teraz idź stąd! Ja tego żądam!...

Wyprostowała się otarła włosami łzy i patrzeć mu zaczęła prosto w oczy.

Nie umiesz nawet kłamać wyrzekła niskim, zmienionym głosem a może, gdybyś się ze mną ożenił, miałbyś ciągle z kłamstwem do czynienia.

Poprawiła na sobie ubranie i skierowała się ku wyjściu.

Pamiętaj! wyrzekła, stojąc już na progu że tej nocy z nas dwojga
uczciwszą i szczerzą byłam ja, nie ty!

Wyszła.

Gdy drzwi się zamknęły Adam mimo woli wyciągnął ręce w jej stronę.
Ale ona nie wróciła, i Adam, upadłszy twarzą do ziemi, jakby ślady jej
stóp całować zaczął.

Zaszumiały drzewa parku cicho niewyraźnie, i szum ten przebiegł równią
w mgłę białej skapaną.

Tam, gdzie stoją krzyże smukłe na kształt szarych aniołów o rozpostartych
wąskich skrzydłach...

Tam, gdzie nagle rząd topól wytryska i bramuje jakiś niewidzialny grób
nierówną ostrą kratą...

Tam, gdzie panuje w przestworzu wieczysta zagadka i zlewa się falami z
rozwiązaniem przesmutnych pytań...

Tam, gdzie dola jednostki tonie w doli wszechistnienia i zatracą swój ból,
aby wspólną mękę na siebie przyjąć...

Tam płynie szum wichru i łkanie dwojga młodych, którzy popadli w
błędne koło i dusze w nim swoje

topią.

On przedziwny romantyk, mający wytłumaczenie wszystkich błędów dla drugich dla siebie ostry jak kat.

Ona kasztelanka, smukła w jesienne barwy strojna, dziewczica rozwiana Fra Filippo Lippi z duszą sponiewieraną przedwcześnie, ze zwątpieniem zupełnym w cudowne źrenice, ze zwątpieniem w siebie, w uczciwość, we wszystko, w Cud!

Po równi białej falami, delikatnie jak żałobna pieśń wizji, które na próżno biją o witraże cichych kaplic, płyną łkania. Jakie one biedne, tragiczne, beznadziejne... Ludzkie łkania...

Modlitwy niewysłuchane...

Rozwiewne.

Jak mgły!...

CZEŚĆ IV

Pan ustąpi swego pokoju?

Dobrze, panie dyrektorze.

To będzie już raz ostatni.

Ależ...

Wypadek nadzwyczajny. Pomieścić musimy.

W tej chwili już jestem gotów.

Niechże pan weźmie choć pled ze sobą.

Mam palto.

Tak, ale pacjentka może tu zabawić parę dni... więc...

To przyślę Necia. Chodźmy.

W palcie wатовanym, narzuconym na nocną koszulę, w filcowych pantoflach idzie Adam szybko korytarzem malowanym olejno. Za nim postępuje kocim, zwinnym krokiem dr Strawicz, trzymając w

ręku lichtarz z zapaloną świecą.

Długie cienie załamane towarzyszą im. Dochodzą do balustrady schodów.

Czy mam iść przyjąć pacjentkę?

Proszę! Choć może ja...

Adam patrzy na pobladłą twarz dyrektora, nie lubiącego, gdy go „wyciągają z łóżka”.

Niech pan dyrektor idzie, ja sam to załatwię!

Rzeczywiście, umieram ze snu.

Oddaje Adamowi świecę. Na dole w kancelarii słysząc jakiś szmer.

Czy jest na dole?

Tak.

Co to?

Nie wiem zdaje się sarcoma. Nie czytałem jeszcze listu. Adam naciąga palto, zapina je i schodzi na dół. Wielkie lustra, porozmieszczane na przestankach, odbijają jego postać. Rok minął od chwili jego wyjazdu z domu baronowej. Wyrósł, wyciągnął się dziecinny wyraz twarzy znikł i oczy mu zapadły.

Szedł cicho, lękając się obudzić te śpiące nędze, którymi całe sanatorium zawsze przepełnione było.

Chwila złudzenia... snu... niech śpią. Na pierwszym piętrze przystanął. Zdawało mu się, że „numer ” świeżo operowany jęczy. Lecz było to złudzenie. Notariusz z małego miasteczka, któremu profesor kilkanaście godzin temu rozciął tak sprawnie brzuch i porządkował poskręcane jelita zachowywał się cichutko w swym żelaznym łóżku, zaścielonym ze szpitalną smutną czystością.

Kogóż tam znów na dole zastanę? myśli Adam, schodząc dalej jakież nowe nieszczęście wyrwało się z ogólnych galer i idzie tu zbuntowane po ulgę... Kto ona?

Otwiera drzwi kancelarii, pretensjonalnie umeblowanej. Mebelki filigranowe, porzucane na nich pluszowe kwadraciki, kilka sztychów banalnych, na których kobiety i kwiaty, kwiaty i kobiety dywan zielony w duże róże.

Przy mdłym świetle abażurkiem przysłoniętej świecy jakaś postać raczej leży w fotelu. Fałdy rotundy opadły dokoła.

Wreszcie! mówi ostrym, zmęczonym głosem. Adam podchodzi bliżej widzi delikatną twarz porcelanki saskiej złote, sztucznie dokolorowane włosy wiją się nad czołem.

Spodziewaliśmy się przybycia pani dopiero za trzy dni.

Proszę mnie zaprowadzić i pozwolić się położyć. Zmyliłam pociągi jadę z dworca, umieram ze znużenia...

Służę pani!

Ujął ją wpół i prowadzi na górę. Ogromna doza kobiecości wieje w szmerze jej sukien, w bieli woskowej jej rąk. Jest sama jedna, zjawia się tak wyczerpana, chora... Adam widzi, jak na jej rzęsach drżą łyzy.

Podobno to śpiewaczka z operetki. Jedzie z Zakopanego. Przebyła jedną operację...

Och, słodka dziewczyno, Gejszo o złocistym wachlarzu, Fatinico, strojna w jaskrawe paciorki czy to ty się wleciesz wśród ścian sanatorium, dzwoniąc brelokami u twych porte bonheur'ów?...

Ostatni akt... ostatni to akt, Heleno, żono Menelaja może jutro, może za dni parę odpoczniesz.

Bez zmiany płyną tak dni, płyną tak noce Adamowi w tym sanatorium. Wróciwszy ze wsi, chciał się jąć nauki, nie szło mu. Za mało miał siły, aby porwać się z przeciwnością za bary. Przeszedł przez tak niezwykle chwile, taki pożar przesunął się po jego ścieżce, iż, nie

przygotowanym będąc wyczerpał się na razie. A wyczerpało go nie tyle samo przejście, ile raczej rozpamiętywanie i ciągle przeżywanie tego, co minęło. Żył nią ciągle, tą kobietą o trójkątnej twarzy i ciemnych plamach oczu. Była koło niego wraz ze swymi dwoma cieniami, równie jak one niepochwytne i tajemnicze. Bo na pozór zdawać się mogło, że odkryła swą głębię, że z brutalną szczerością ujawniła to, co było jej treścią a przecież Adam czuł, wiedział że ona mu pozostała niepojętą i że nic o niej nie wie właściwie. Bo przecież poza tą, która z taką siłą leciała ku zadowoleniu szarpiących ją zmysłów była jeszcze ta druga, ta z dwoma cieniami, dochodząca w swej rozpaczce do samego skraju, godząca na siebie samą, na to właśnie narzędzie rozkoszy, aby je unicestwić i zniknąć w tej formie swego bytu.

Dlaczego szło mi o szablon, dlaczego koniecznie małżeństwo? myśli często Adam. Byłbym ją tak kochał, tak uczył kochać że stałaby się żoną, nie wiedząc nawet, nie czując przymusu. I byłbym ją ocalił!... Dreszcz go przeszywa dreszcz trwogi.

Kto wie, co się z nią dzieje! A jeśli to najstraszniejsze, jeśli znów... nie zawsze los postawi mnie na jej drodze, jak wówczas. Kto ją ocali?

Myśli o jej chęci samobójczej lecz równocześnie obok niego przesuwa się jakieś pojęcie, że to nie jest tym najstraszniejszym. Są jeszcze inne możliwości potworne...

Gorsze niż śmierć!

Gorsze gorsze.

Jakże się tu uczyć, jakże? Przyjął miejsce w prywatnym Domu Zdrowia jako asystent. Nie ma jeszcze do tego prawa, ale profesorowie, operujący w sanatorium, nie są bardzo surowi i przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, nie robią mu trudności. Sanatorium jest zawsze przepelnione, pacjenci czekają po hotelach na wolne miejsca gnijące ciało ludzkie jest bowiem najpewniejszą lokatą. Adam jest sam wraz z wiecznie znużonym dyrektorem, który robi wrażenie człowieka, żyjącego ponad zakreśloną mu linię. Czuwanie nad pacjentami, nad ich gorączką, opatrunkami, przygotowywanie sali operacyjnej, wygotowywanie kilku kompletów narzędzi, asystowanie przy operacjach, podnoszenie na duchu chorych tysięczne szczegóły wiecznej walki z bezustannie kołaczącą śmiercią z początku absorbują zupełnie Adama. Klientela sanatorium różni się najzupełniej od tej sfery, która

zapelnia szpitalne sale. Adam wchodzi pomiędzy ludzi, którzy mają za co chorować.

Niemniej przecież jednakowo gniją, rozpadają się na strzępy i jednakim głosem jęczą wśród nocy. Chloroformowani ryczą z równą rozpaczą bezsilną a tylko w nocie bezsenne tamci częściej wołają:

O Jezu!... O Mario!...

Powoli przecież z tych cierpień ogólnych wyłania się ból serdeczny i niepokój jego własny, i zaczyna być już nie w nim, lecz obok niego tak, że staje się jego nieodłącznym towarzyszem. I, rzecz dziwna, w każdej chwili przy każdym cierpieniu, zwłaszcza kobiety, mdlejącej mu w rękę w

przeddzień operacji, w każdym jęku cichym przedłużającym się łkaniem Adam trąca o wspomnienie Wiśki.

I gdy pochyła się do opatrunku, gdy taką chorą koi spojrzeniem, gdy tym, którym chloroform wzbroniony, zaciska krępujące je do stołu operacyjnego rzemienie wciąż coś o struny jego duszy trąca i jakby on jej oddawał te przedzgonne usługi, czy jakby ona stała tuż blisko i współczuła z nim samym...

Nie wie już nic, nie może pojąć, jaki to ma związek a przecież ten związek jest, jest bezsprzecznie.

Ten mój ból, ten ich ból spływają w jedno myśl.

I zaraz wyłania się dalej.

Jej tak samo jak im, nic pomóc nie mogą... nie... chcą, szarpia z siebie całą wolą, wszystką nerwową siłą, i nic... Tu ciało rozpada się w zgniliznę, tam dusza, jej dusza. I ja nic nie mogę!

Bo przyszło na niego to najstraszniejsze to, które razem z siwymi włosami na lekarzy nadchodzi.

Po tysiącach wysiłków, tysiącach prób, w czasie których nerwy jak siatka drżą wytężeniem, nadzieją, niepokojem, w których zużywa się rozpęd młodzieńczy i przeznaczona na całe życie siła przychodzi taka chwila...

I staje oko w oko.

Lekarz opuszcza ręce.

I mówi...

Nic nie mogę!

Mówi cicho do siebie w duszę swoją.

Lecz mówi.

Nic nie mogę!
To już jest straszne, takie przejrzenie prawdy, takie starcie się zupełnie,
takie przyznanie się do przegranej.
Nic nie mogę!
A przed nim i za nim bieży ciągle fala chorych i jęczy prosi domaga się,
rozkazuje.
A on nic nie może!
O straszne chwile ciszy, gdy z wytężeniem przytulone do ścian postacie
śledzą biegnące po papierze pióro! Recepta... „rp.” nowa recepta! Teraz ta
prawdziwa, ta uzdrawiająca... I już wstępuje nowa nadzieja, byle tylko ta
recepta...
Doktor pisze...
A sam do siebie mówi z bezbrzeżną melancholią:
Ja nic, nic nie mogę!

Z Adama starła się nagle ta siła młodzieńcza i stanął na progu świątyni Śmierci bezsilny i nieuzbrojony.

Nie siłą bowiem i rozpędem przepojony był cały lecz Miłosierdziem. Błękitne anioły współczucia utkały jego duszę.

A szedł w królestwo śmierci. I ręce miał pełne kwiatów litości, a nie stalowych błysków.

Drżał, zapinając rzemienie, krzyk operowanego przenikał go do głębi.

Oswoisz się mówili mu koledzy.

Miast oswoić się popadał w coraz większą tkliwość.

Bo to był „dobry” tylko „dobry” chłopiec. Nic więcej.

Bartnikiem mu być, pomiędzy pszczołami, wśród szarych ulów w cichym, bardzo cichym sadzie.

Z miodnych łąk dolatuje brzęk, z kwietnych łąk dolatuje szum.

On siedziałby cichy i jasny, i patrzył, jak biegną złotym pyłem obsypane pszczoły i nikną, nikną.

Rolnikiem mu być i o złotym południu iść w łany żyta, srebrną morą się mieniające. I garnąć w rozwarte nozdrza chlebną woń, a w siebie rozkoszny poszmer kłaniających mu się w pas kłosów.

Nauczycielem mu być pokornym i pracowitym, który wczesnym, różowym rankiem o drgającym złotem powietrzu do róż swoich się garnie, do róż, których krzaki wyprosił po świecie i pod oknem mu kwitną w noc księżycową, rozwijając delikatne liście.

Wszystkim tym mu być, tylko nie lekarzem, i nie rozkochanym w Wiśkach.

Dziś wycinano nerkę i skrobano kość, jutro od świtu sala operacyjna, czysta, biała jak sypialnia pensjonarek zajęta.

O dziewiątej wycinanie raka w piersi tej bladej nauczycielce, która ciągle się modli i obrazek przywieziony ze sobą do ust ciśnie; o jedenastej łamanie nogi źle zrosniętej młodziutkiemu chłopcu; o pierwszej trepanacja czaszki...

To dosyć. Więcej czasu nie starczy. Dnie krótkie. Inni niech czekają swej kolei. Adam karnecik zamknął i czysty fartuch wdział szybko.

To białe ubranie, ten kaftanik, zapięty aż pod szyję, nadawał mu jakieś bardzo młodzieńcze piętno.

Coś się jednak w jego twarzy zmieniło. Nie było to dziecięce w kącikach ust, które mimo wszystko się tam czaiło.

Staje na stanowisku ktoś, co także sam przeszedł ból. Nie fizyczny, ale ból także, od którego kurczy się i mdleje serce. I dziwne mu to chwilami.

Przecież ostatecznie niby się tak mu przez życie tylko przemknęło, a tak się wżarło podle, nieludzko.

Ach! Jak podle.

Właściciel sanatorium bardzo z asystenta rad.

I operatorowie chwalą go. Komplety narzędzi jak lalki. Chorzy chcą go mieć przy sobie do ostatniej chwili, wdzięczny wzrok go ściga.

Nic dziwnego, kobiety mówi jeden, drugi ale mężczyźni.

Czym ich zyskuje?

A on tylko ma dla nich wielką dobroć i czuje z nimi razem. Nawet taki biedny jakiś posesor, co się przywłókł ze swego kąta i przywiódł ze sobą nieodłącznego Żyda. Tego Żyda uwiązał za palec na

noc i każe mu spać na sofie. Ciągnie za sznurek, Żyd się zrywa. Otwarli posesorowi brzuch popili się z Żydem wieczorem po operacji. Adam całą noc czuwał później nad nieprzytomnym i miał dla niego pełno dobrych słów i tkliwości.

To bydlę... mówił profesor.

Nie to chory odpowiada Adam.

Bo on odczuł, że „chory”, to cały osobny świat, smutny dziwny pełen majaczeń szalonych zachceń dziecięcych rojeń śmiertelnych trwóg i tęsknot. Tam dusza na odlocie drży, jęczy, płacze.

Tam dusza na odlocie trwoży się i kaja. I ten obrachunek dni ubiegłych...

Długi walący się ciężarem ziemi na wieko trumny.

I myśl, że się już wszystko „skończyło”. Dla jednych pustka lodowata, głucha.

Dla drugich ołtarz kwiecisty, strojny i gwarny.

Lecz tu i tam zakończenie.

I obrachunek.

To... najstraszniejsze... A najgorsze, że w tym świecie chorych jest nawet pomieszczenie na zjawiska proste i nieskomplikowane. Prawdziwe obrazy, wiszące nad łóżkiem kucharek, z tańcem czarownic, kotłem, diabłami w czerwonych przepaskach. Kultura, wykwinty estetyczne cała harfa wieków, wiedza, idee, snopami siły bijące huragany kataklizmów dziejowych to wszystko... nic, nic.

Mały świat chorych oddzielił się niemal murem nieprzebytym i poza nim drży, jęczy, trwoży się ma nadzieję wąpi...

Wszystko wszystko.

I Adam, w ten świat wszedłszy, żyje tym życiem drobnym, gdzie przecucie słońca cieszy, gdzie mucha, brzęcząc, ciągnie za sobą oko i wywołuje uśmiech, gdzie są z drobnych dla zdrowia faktów tragiczne katastrofy, a z katastrof drobne pyłki.

Jestem jak oni myśli Adam, wsłuchując się w monotony głos chorej, utyskującej na złe zestawienie obiadu.

Barszcz... kompot ze śliwek...

Aż łzy jej z oczu płyną. Wychodzone ręce drżą. Adam myśli, że ta kobieta jest sama, że całą noc obrachowywała się ze swym życiem, że tylko jęk wichru w piecu koił jej ból i żal i przejmuje się jej bólem i żalem.

Śliwki i barszcz...

On co innego wyczuwa w tej banalnej skardze, łagodnie, serdecznie stara się odwrócić złe myśli. Przyniósł właśnie w fartuchu małego białego kotka. Ten kotek to jego wielki sprzymierzeniec. Pomaga mu nieraz w najcięższych chwilach. Położony na łóżko chorego biały, miły, puszysty, wyciąga aksamitne łapki. I wielka „tragedia” zakończona przecięta jakby białą nenufara, opadłego namartwiejącą toń zaklętego stawu. Uśmiech zakwita. Coś drobnego, pełnego wdzięku dziecięcego, tuli się i wdzięczy. Takie drobne małe kocię!...

Dyrektor sanatorium szydzi z Adama i jego kota.

Z pana dziecko! Przyznam się panu, że asystent powinien mieć więcej powagi! Adam nic nie odpowiada. Ale on już wyczuł, że nie na rozdawaniu trucizn i błyskaniu skalpelem zawisła siła lekarska. Coś innego. To coś lepszego.

Czasem gdy Adam wyjdzie z sanatorium „na świat” i nagle go uderzy ten ogrom energii, którą

ludzkość rozprasza i rozrzuca często bezcelowo z lekkomyślnością szaleńców czuje się przerażony i wszystkie fibry drzeć w nim zaczynają jakby z trwogi.

O przyszłości myślą tłumaczy działają w szerokim kręgu, rzucają wielki siew, ścinają zmurszały las, czynią miejsce dla nowych, świeżych sił... I czuje się nędzny, drobny, mały ze swą łagodną mową i rękami siostry miłosierdzia.

I ogarnia go zwątpienie.

Czy jestem potrzebny? czy to, co robię, nie jest tylko zamąceniem przebiegu koniecznych wydarzeń? Czy nie mając sił ani pędu do wielkiej pracy, wydatnej i płodnej w następstwa, nie powinienem raczej usunąć się w zupełny cień, lub... zniknąć? Przebiega go dreszcz. Pchnięciem noża przebiega mu przed oczyma wizja kobiety o dwóch cieniach, sunących wzdłuż muru, i potem huk tramwaju.

Co to? myśli co to?

I przyśpiesza kroku. Powraca do sanatorium, porywa fartuch, stuka do drzwi. Wszędzie spotyka go radosny uśmiech.

A... pan asystent!

Czasem blada, bezkrwista twarz od poduszki się odrywa.

Bez... kotka?...

I to, co wydawało mu się śmieszne, głupie i drobne, zaczyna rósć do rozmiaru rzeczy głównych. Wywołanie uśmiechu na usta drgające bólem, złagodzenie choćby chwilowe rozdzierającego jęku pokrywa ważnością swą ogrom idei, jak snopy tryskających sił i potęg przyszłości.

Och! Ten świątek! Ten drobny, mały świątek chorych, jak garnie ku sobie, jak chłonie choć nic nie żąda, o nic nie prosi tylko spoza mgły łez, tylko tym cichym jękiem...

Adam już nie myśli, że jest nieużyteczny, że zginąć powinien. Nie oblicza marności swych sił, nie ma pogardy i trwogi lecz stara się być w tym światku tym, czym mu być sędzono.

Zbliża się termin dwutygodniowego urlopu Adama.

Pohula pan sobie trochę... śmieje się dwuznacznie dyrektor. Adam uśmiecha się z przymusem. Ten odpoczynek ubiegłego roku przedstawia mu się jak szereg dni niemiłych, w czasie których jakaś kasjerka z zakładu fotograficznego czepiała mu się u ramion, proponując przechadzki po parku

miejskim. Dziewczyna była na pozór miła, o dużych, błękitnych, wylekłych oczach. W zbliżeniu pachniała nadto tanim Chyprem, miała dużo materiału na sentymentalną kokotkę i niewyczerpaną dozę kłamstw prawie subtelnych. Adam czuł się nią bardzo szybko zmęczony i ogarniał go ciągły niesmak i jakaś dziwna gorycz. Anna nie kryła się nawet z tym, iż uważa ich znajomość za coś bardzo przelotnego.

Gdy wyjdę za mąż... powracało bezustannym refrenem na jej usta. Rozeszli się bez porozumienia, a po prostu przestali się widywać. Adam uczył ogromną ulgę, gdyż przez cały ten czas odpędzał od siebie myśl o Wiśce. Sądził, że mu to przyniesie pewne ukojenie. Tymczasem po radości, z jaką dusza jego wróciła do dawnych, bolesnych wspomnień, zrozumiał, iż był w błędzie.

Więc tego szukać nie będę postanowił sobie.

Dlatego, gdy dyrektor podsuwał mu myśl „przehulania” urlopu, uśmiechnął się smutno.

Nie pojedę raczej na wieś! odparł.

Wyborna myśl... pokój pana mi właśnie potrzebny.

Właściwie jeszcze nie wiem...

Lecz dyrektor uczepił się tej myśli, rad, iż na dwa tygodnie znów wynajmie pokój asystenta.

Przeciwnie jedź pan. Świeże powietrze wybornie panu zrobi. To nawet konieczne. Jesteś pan blady, przedenerwowany. Jako lekarz każę panu wyjechać...

Adam rozumiał wybornie pobudki tej troskliwości. Wstyd mu było za tego człowieka, który w obłędnej chęci zrobienia „pieniędzy” tracił miarę i takt.

Dobrze... pojedę... odparł.

A kiedy?

Pojutrze.

Wybornie. Więc ja telegrafuję do pacjentki że może przyjechać. Coś jakby bezwiednie szarpnęło się w Adamie.

Kto to? zapytał.

Ktoś ze wsi...

Dyrektor patrzył uważnie na swe paznokcie. Zdawał się jakby zmieszany. Wreszcie dodał:

Pan nie zna... a potem... to tajemnica.

A!...

Dyrektorowi widocznie zależy na tej pacjentce pilnuje wyjazdu Adama. Sam, wbrew zwyczajowi, przyszedł przypilnować przygotowania pokoju. Wniesiono jakiś fotel w białym pokrowcu, anemiczną palmę, opięto firanką stolik i ustawiono na nim pożyczone przez panią dyrektorową srebrne lustro. Pomywaczka ubrana w czysty kaftanik i fartuch miała za osobną „dopłatą” udawać wykwalifikowaną dozorczynię... Nad wieczorem przyniesiono niewielki bukiet żółtych nicejskich róż, które pan dyrektor ustawił własnoręcznie na biurku obok atramentu i wody kolońskiej. Róże były smutne i zmarznięte. Zdawały się konać powoli i z rezygnacją. Adam patrzył na te wszystkie przygotowania z jakąś odrazą. Coś nim targało, coś niezrozumiałego. Po raz pierwszy żałował, iż pozwolił dyrektorowi rozporządzać tym pokojem. Raczej było drzwi zamknąć... myślał, przygryzając usta. Gdy wreszcie znalazł się na dole i w sali jadalnej pił herbatę, mając przy sobie zniesioną z góry walizkę, niechęć ta wzrasta jeszcze więcej.

Czy to egoizm? zastanowił się dlaczego gniewa mnie to, co wypełniałem kilkanaście razy chętnie i bez jakiegokolwiek przykrości...

Starzał się więc nie myśleć więcej o tej sprawie. Usiłował wyobrazić sobie swego wuja księdza, do którego jechał na te dwa tygodnie. Czy bardzo zmieniony? Czy to posunięcie się w lata nie przyniosło mu nowych myśli, nowych a szerszych poglądów na to, co ludzką zbrodnią i złością mienił? Zegar w jadalni wybił dziewiątą godzinę. Chrapliwie rozległy się te dźwięki w ciszy wieczornej. Tylko z daleka od kuchni rozlegał się głuchy łoskot zrzucanych na stos talerzy i piskliwy głos opowiadającej coś pomocnicy kucharza. Adam miał jechać za godzinę. Usunął się jednak wcześniej ze swego pokoju, bo pociągami o dziewiątej miała przybyć oczekiwana pacjentka. Adam powstał od stołu i poszedł do saloniku. Paliła się tu lampa, przysłonięta zielonym abażurem. Adam usiadł na fotelu z pasowo lakierowanej trzciny i pozostał nieruchomy. Ogarnęła go ta zwykła u niego trwoga, która go zwykle ogarniała w chwili powrotu do „świata”.

Znów uczuję się niczym... pomyślał ze smutkiem ogarną mnie rzeczy wielkie i przygniotą swym ogromem.

Cicho zaturkotały koła powozu pod oknami sanatorium. Dyrektor dla reklamy kazał pewną przestrzeń ulicy wyłożyć brukiem drewnianym, co wzbudziło wielką sensację w całej dzielnicy. Czuwał

widocznie gdzieś ukryty, bo Adam posłyszał, jak z góry wydawał rozkazy portierowi i służbie. Drzwi wejściowe otwały się i Adam posłyszał kroki kilku osób. Szmer sukien, niedyskretny szelest jedwabiu, jakiś głos kobiecy przyciszony mówiący coś jakby po francusku i wreszcie umilkło wszystko. Adam siedział ciągle nieruchomy, przyciskając palcami powieki. Nikło to wszystko w pyle, unoszącym się z katafalków, stert oblanych srebrnych blaskiem księżyca.

Boże! Boże!... mimo woli cisnęło mu się do ust, i serce mu drżało bólem dni minionych.

Jak długo tak siedział, nie wie sam. Skrzyp drzwi otwieranych od sieni budzi go. Podniósł głowę i widzi, jak dyrektor do niego plecami unosi portierę i wprowadza kogoś do saloniku. Widocznie chce przejść z tą osobą do kancelarii, do której trzeba przejść przez salon. Gdy odwróciwszy się, dostrzega Adama, jest już za późno. Prostuje się i ukazuje ręką drogę.

Przejdziemy tędy...

Po chwili wahania dodaje:

Mój asystent.

I zaraz do Adama się zwracając: Sądziłem, że pan już na kolei. Adam nie odpowiada nic, wpatrzony w idącą za dyrektorem kobietę.

Jest to wysoka, tęga dama o płowozłotych włosach, umiejętnie uczesanych w spiętrzone nad brwiami fale. Bogate futro nurkowe odziewają niemal do stóp gronostajowe klapy śnieżne plamy na pierś kładą. Wielki tok z nurków, strojny pomarańczowym rajerem, okrywa jej włosy. Jest bardzo strojna, bardzo biała, bardzo szeleszcząca, pachnąca. Sunie z wolna przez

salon, zajmując sobą wiele miejsca. Adam wpatrzony w jej twarz, w jej oczy, ma wrażenie, że tę kobietę zna od dawna, że patrzył na nią godzinami całymi, że te zbyt czarne oczy ciemniały przed nim z jakichś mgieł, z jakichś chmur w chwilach tragicznych czyjegoś istnienia.

Lecz gdzie? Kiedy?

Okrągła, nalana tłuszczem twarz kobiety rysami swymi nie przypomina mu nic, a przecież targa się w nim cała jego istota i budzi, i drży każda fibra bólem nieokreślonym.

I nagle, w świetle lampy dzieje się rzecz niezwykła. Kobieta, przechodząc już u drzwi kancelarii, odwraca się i obrzuca spojrzeniem Adama.

Wytwornie ładnym ruchem skłania głowę, a

równocześnie uśmiecha się. W kącikach jej ust przez mgnienie oka mignęło coś białego, coś dzikiego...

Uśmiech tych kobiet z równi płowych. Z parków, bramowanych złotymi strzałami.

Gdzie poranione drzewa strząsają deszcz szumiących liści.

Gdzie wichur rozwiewa jęczące gałęzie jarzębin.

A szare sarny wrzosa różowe roztrącają, wpadając do alkowy lasu...

I dreszcz przebiega, dreszcz od kobiecych rozmodlonych ciał, triumfalnym hymnem wszechmocnego Piękna.

I ręce wyplątujące się z gęstwy czarnych włosów opadają skrzydłami biorących w posiadanie.

I tak już ciężąc pozostają.

Złotowłosa kobieta znikła za portierą.

Adam stał długo, wpatrzony w miejsce, z którego zeszła niepewny, spłoszony jak ptak z gniazda.

Dwa tygodnie przewlokły się jak ciężka jesienna chmura. Adam wraca do miasta. Siedzi w wagonie trzeciej klasy. Żółte światło lampy świeci nad nim, a przez okna resztki dnia płyną. Adam przymknął oczy i siedzi w swym kącie nieruchomy, zasłuchany w siebie. Ciągły niepokój go szarpie. Zwłaszcza tam na wsi, w tej ciszy ubogiej plebanii cierpiał najwięcej, chcąc uwięzić myśli drżące i błędzące dokoła sanatorium. Starał się zająć tym, co go otaczało. Lecz ani wuj, skostniały coraz więcej w swych zapatrywaniach, ani ten lud o duszy i stroju półtyków miasteczkowych, ani wreszcie to otoczenie, z którego powoli ulatywała poezja prymitywnego piękna, nie były w stanie trzymać jego myśli na uwięzi. Kilkakrotnie wyzywał wuja na dysputę; ten starał się po dawnemu zawiązać z nim wymianę myśli, lecz ocieężał zrobił się mniej jasny, zgorzkniał i na wszystko wzruszał ramionami. I chwilami nawet zdawało się Adamowi, że wuj śledzi go z pewną ironią, i ten wzrok mieszał go i denerwował. Gdy pozostał sam, biegł natychmiast myślami w miasto, jakby tam był jakiś magnes, rwący go ku sobie. Przymknąwszy oczy, słyszał szelest sukien, głosy za portierą i nagle błyskały

przed nim usta uśmiechnięte, a w uśmiechu tym dwa drobne kły i wielki gąszcz złotych, dziwnych nienaturalnych włosów.

A potem ogarniał go niepokój straszny, niemożliwy. Ten mały świątek chorych, do którego wracał zawsze, jak poza murem odgródzone schronienie, rozwichrzył się nagle i zamaćił. Jak? Dlaczego? Nie wiedział. Czuł to jednak i lękał się, a mimo to dążył całą siłą, aby czym prędzej się tam dostać. Pociąg pędził z całym pośpiechem, pogwizdując wesoło.

Podjeżdżał ku miastu. Białe światło elektryczne wmieszało się w podwójne oświetlenie wagonów. Adam zdjął walizkę i stał przy drzwiach, a na twarz mu wybiegły wypieki. Zdawało mu się, że tam koniecznie już coś się stało i że ta katastrofa jego dotyczy. Gdy dorożką podjeżdżał do sanatorium, uczucie to wzrosło. Pragnął przede wszystkim dostać się do swego pokoju i zamknąć drzwi za sobą. Myślał, że znajdzie tam uspokojenie. Gdy wbiegł jednak na schody zatrzymał się niezdecydowany. Dech mu zamarł w piersiach. Widział już drzwi swego pokoju, lecz teraz właśnie uderzyło w niego uczucie ogromnego lęku. I cicho zszedł na dół, szukając dyrektora.

Znalazł go w salce operacyjnej, przyglądającego się rozścielaniu nowego na podłodze płótna kauczukowego.

A... pan powrócił? Właśnie miałem telegrafować, że przedłużam panu urlop o dwa tygodnie.

Dlaczego?

Sanatorium pełne... pokój pana jeszcze zajęty potrzebny mi będzie na jakie dwa tygodnie.

To drobnostka. Będę jak dawniej sypiał w kancelarii. Twarz dyrektora rozjaśniła się.

Bardzo to pocziwe z pana strony. Ja już upadam ze znużenia. Zaraz panu zdam chorych. Są dwa ciężkie wypadki. Jutro mamy Rydygiera dwa razy i Marsa raz. Zaraz pan się zaprzęgnie do pracy.

Najchętniej.

Wyszli razem. Przy schodach zatrzymał się dyrektor. Widocznie chciał jeszcze coś powiedzieć. Wreszcie wskazał głową na górę:

A tam... do swego pokoju... niech pan nie wchodzi. Chora nie życzy sobie nikogo z tutejszych... ma swoich lekarzy. Ja jeden tylko. Zresztą ona za dwa tygodnie opuści sanatorium. Pan rozumie?

Tak.

W pół godziny później Adam, odziany w swój fartuch i biały kaftanik, szedł z dyrektorem wzdłuż jasnych ścian i pukał do drzwi, poza którymi był mały świeatek drobny rozmiarami, a taki wielki tragicznością swą i bólem chwil przecierpianych.

Wszedł w ten krąg lecz nie uspokoił się wcale. Ucichło w nim tylko to jakieś rwące i najgwałtowniejsze. Był jednak ciągle jakby na straży, jakby na czuwaniu. I przypominały mu się te noce dziwne, w czasie których jarzębina szumiała delikatnie po szybach dworu, a on siedział nieruchomy, podczas gdy opodal, z gąszczu włosów czarnych, bieliła się dziwna twarz trójkątna.
Wiśka.

w rozpyloną dal dłonie z tęsknotą przeogromną za przestworem i wolnością...

Zmienił się obraz. Lekka i młoda obiegała trawnik, rozwiewając w strudze słonecznej zielonożłoty szal a śmiech dzwonił, jakby harfa rozegrała się w ten dzień pogodny i ciepły. A potem park ją tulił, park wyniosły jak ona garnął ku sobie jej dumne ciało złocistobiałe odziane w zieleń wełn, podnoszących królewski majestat jej ruchów.

Dokoła złociste kraty ponad nią korony liści, u stóp paprocie i mchy, przed nią purpura octowych drzew.

Rajski

przecie nic nic.

Nagle jednego dnia, spada na niego grom nieprzewidziany który zdaje mu się trudny do przeniesienia.

A dzieje się to bardzo prosto tak jak zwykle dzieją się największe i najbardziej stanowcze fakta w naszym życiu.

Z góry schodzi ku niemu, stojącemu na schodach, posługaczka, przydzielona do pilnowania tajemniczej pacjentki, i podaje mu zwinięty kawałek papieru.

To od tej pani, proszę pana doktora.

Od której?

Od tej z pańskiego pokoju.

Do mnie?

Tak powiedziała, że do pana asystenta. Adam papier rozwija. Czyta tylko słów kilka:

„Jestem tutaj. Chcę pana widzieć.

Wiśka"

Ona! Ona tu!... Ona!... Posługaczka stoi i patrzy zdumiona.

Co mam powiedzieć?

Dobrze... przyjdę.

Dziewczyna idzie ciężko na górę. On wybiega do sali operacyjnej, która jest właśnie pusta, uprzątnięta po świeżo odbytej operacji. I nigdy chyba nie zapomni wrażenia, z jakim przepędził tych chwil kilka sam na sam ze sobą, uczepony konwulsyjnie u białej, oszklonej szafki, poza którą błyszczy się stal narzędzi.

Pod czaszką ma chwilami pustkę, to znów huczy war myśli. Ona tu więc chora. Tajemnica ta najstraszniejsza Wiśka!... Tak być musiało. Zostawił

ją tam samą. Więc stało się to najgorsze. I przyszła aż tu... jest obok niego!

Jakież to straszne, jakież to okropne. Ileż on cierpi! Nie miał wyobrażenia, że ludzkie serce znieść może tyle bólu.

Skrzyp drzwi. Ktoś idzie. Stoi przed nim posługacz.

Proszę pana asystenta, przywieźli tę wariatkę ze szpitala.

Ach... idę...

Zdaje mu się, że odrywa świeżą ranę od jakiegoś przestworu, który mu był przytuliskiem chwilowym, i niesie ją pomiędzy szalejące potwory, które pazurami swych własnych cierpień drapać ją będą. Idzie za posługaczem i gdy wchodzi do jednego z pokoi, na środku którego stoi drobna, wychudła postać kobieca ma w oczach tyle własnego bólu, iż zdaje się nie ma tam miejsca ani na dobroć, ani na litość, ani na odbicie cudzej niedoli.

Wariatka zwraca się ku niemu i patrzy nań prosto oczyma, które raczej do ran są podobne, niż do kobiecych źrenic. I płyną z nich dwie strugi łez, nieustające, gorące, ciągłe. Ta kobieta rozplakała się kiedyś snadź tak gorzko, że utulić nie może jej ani czas, ani niczyje ludzkie słowo. Dwie rany łez. I trochę skóry pożółklej, zapadła linijka ust, włosy bez koloru... taka straszna nędza, takie bezgraniczne morze nieustannych cierpień, że nic nie zdoła oddać ani określić tego wyrazu, z jakim cicho, bez ruchu wariatka patrzy na Adama.

Jakiś prąd uspokajający Adama płynie do niego ze wzroku chorej. Coś jakby przypomnienie obowiązku powrót na ścieżkę wybraną, na ląd z fal

wzburzonych i rwących. Wariatka podsuwa się pod okno. Oczy wciąż płaczą, na usta uśmiech wykwita.

Nie ma krataczek... mówi nie ma krataczek, dobra nasza, można będzie wyskoczyć, drugie pięterko!...

Adam już jest przy niej, już cały targnął się na myśl możliwego samobójstwa jeszcze przed tą operacją żołądkowego wrzodu, konieczną i bardzo śpieszną. Wiśka, otrzymana kartka niknie mu z pamięci. Ujmuje wariatkę pod ręką, pociąga od okna, drugą ręką przyciska dzwonek, przywołuje służbę. Chora wyczerpana osuwa się na ręce. Drży cała zdenerwowana, skomli jęczy i płacze ciągle, a gorące łzy moczą rękę Adama. Ułożywszy ją w łóżku, Adam podaje jej trochę wody chloroformowej i korzystając ze stanu sennego, każe ją przenieść do jednego z parterowych pokoi, opróżnionego przed godziną. Dyrektora nie ma, wyjechał na parę dni do Wiednia jeden z ginekologówprofesorów ma za pół godziny odbyć operację kystu Adam ma tedy dość czasu, aby przygotować salę, sprawdzić, czy należycie przeprowadzają dezynfekcję chorej. Zastaje pacjentkę, kobietę jeszcze młodą, lecz strasznie wynędzniałą, w stanie najwyższego lęku i rozstroju. Ciśnie do piersi przyniesiony z domu obrazek Matki Bożej i wybladłymi usty powtarza: Och! Matko Boska, ratuj!...

Jest to matka kilkorga dzieci, uboga i zapracowana. Czuć w tym oddaniu do sanatorium tragiczny wysiłek wielkiej nędzy, pragnącej ocalić życie choć kosztem wszystkiego. Kobieta nie targa się nie

protestuje wie, że tak być musi, że na próżno nie wydaje się tyle pożyczonych pieniędzy lecz trwoga jej tak straszna, tak rozpaczliwa, iż Adam z trudem znaleźć może słowa otuchy, pokrzepienia, pociechy. Gdy wreszcie wychodzi od niej, na schodach spotyka tulącego się do ściany człowieka w wyszarżałym palcie. I tu znów zaleźnione oczy patrzą na niego przez łzy.

Adam odgaduje, że to „mąż” który cierpi, który się lęka, który może... przeczuwa.

Panie doktorze... czy... aby...

I reszta słów ginie prawie w łkaniu. Ta blada kobieta tam na górze, tuląca w tej chwili obrazek jak tarczę jest wszystkim dla niego. Kochanką, żoną, przyjacielem, pomocnikiem, czeladnikiem, kucharką

wszystkim, co świat dać jest w stanie. I to „wszystko” idzie pod nóż to „wszystko” przymocowane rzemieniami, będzie krzyczeć tak strasznie, aż osłabnie, zamilknie...

Bo jej chloroformować nie można.

Tak, tak, wiemy...

Bo, proszę pana doktora, serce.

Tak, tak...

Turkot na dole, profesor przyjechał. Mąż usuwa się.

Ja poczekam u portiera mówi zdławionym głosem.

I Adam patrzy, jak schodzi powoli zgarbiony, cichy. Mija się z profesorem, zajmującym wiele miejsca w swym wspaniałym futrze. Jest chwila, w której zdaje się, że tamten rzuci się do tej ręki, która przynieść ma ból i zbawienie i zacznie całować ją i prosić, aby stała się zbawcą lecz profesor idzie ciężko i wyniośle. Nie dostrzega nawet nic po drodze. Wzrok ma znużony i prawie szklany. Więc ten w zniszczonym palcie przyciska się tylko do ściany i kłania się nisko, pokornie jak żebrzący jałmużny. Poza profesorem idzie jego asystent, cień swego szefa. Obaj wchodzi do pokoju, przylegającego do sali operacyjnej. Adam udaje się za nimi i od tej chwili całą jego duszę, istność wchłania tragiczność aktu operacyjnego i jego drobiazgową ścisłość.

Nie pamięta o Wiśce, nie pamięta o sobie, gdy bierze wychudłe ciało kobiety na ręce i z łóżka kładzie je na nosze.

Nie pamięta o sobie, nie pamięta o Wiśce, gdy sprowadza te nosze po schodach, powoli, ostrożnie,

kierując posługaczami. A potem sam zdejmuje znów z noszy wpół martwą kobietę, układa ją na stole operacyjnym w jasnym świetle olbrzymiego

okna i zasłania jej jak ksiądz jałmużnik skazanemu na śmierć gilotynę, tak on szafki i szklane płyty, pełne narzędzi i przyborów.

Kurczowo chwytają go ręce wychudłe, oczy rozszerzone wpatrują się w niego i następuje cisza śmiertelnej trwogi przed nieznaną potęgą, przed owym szokiem nerwowym, który zabija moralnie i cieleśnie w jednej chwili z szybkością pioruna.

A tam, na dole, Adam wyczuwa przez mury, przez oddalenie taką drugą parę oczu, taki dech wstrzymany, ręce zaciśnięte...

To mąż, który z napięciem całej swej duszy przedziera się myślą i czuje nóż, czuje ból, i nic nie może, tylko szepcze:

Matko Boska, ratuj.

Prawie się ściemnia, gdy Adam zdołał uwolnić się ze swych obowiązków i stanąć wreszcie sam na sam ze sobą. I ogarnia go szalona trwoga. Musi tam iść, musi się z nią zobaczyć. Lecz jak? Co jej powie?

Jak ją przywita? I to on trwoży się, wstydzi, cierpi za tę kobietę, za tę dziewczynę, która mu w serce się wpiła.

Gdy wreszcie ujmuje za kłamkę i wchodzi do pokoju, jest blady jak płótno, a drży jak jego chorzy, gdy wnoszą ich do operacyjnej sali. Niesie swą duszę na wielką torturę i wie, że niczym jej uspić nie będzie już w stanie, bo stało się to najgorsze i nic faktu samego nie zatrze.

W pokoju panuje prawie zmrok.

Lampa nie zapalona. Tylko w piecu pali się czerwono płomień i płynie falą wąską krwawego światła na podłogę. Struga ta opływa stopy i nogi siedzącej przed piecem na niskim krzeselku postaci. Snopek iskierek migoce na końcu złotem haftowanego pantofelka. Biała wełniana, fałdzista szata rozsunała się dokoła po ziemi. I tylko jeszcze występują ręce Wiśki, splecione poniżej kolan z jakimś gestem rozpaczliwym. W rękach tych Adam poznaje całą Wişkę. Blade są, wychudłe, rasowe, nerwowe.

Te ręce są ciągle zbuntowane, lecz ten bunt już łamie, a nie podnieca jęczy, a nie bluzga przekleństwem. I następuje wielka cisza.

Wiśka odwróciła się ku niemu i patrzy a on, nie widząc tych wielkich, czarnych, bezdennych źrenic, wyczuwa je i mdleje pod ich wrażeniem. Ciemny gąszcz włosów opada z ramion na białą szatę i kryje czoło, kryje pasmami policzki, ramiona Wiśka!

Ona ona cała. Tylko milcząca, cicha jakby ku ziemi przyciśnięta.

Co powie? Jakim krzykiem buntu odezwie się znowu, jakim śmiechem pełnym ironii smagać będzie i siebie, i swe życie?

Cisza przecież panuje. Wiśka wciąż patrzy na Adama, a on wzrok jej czuje i chłonie go w siebie teraz jakby napój pełen goryczy. Wreszcie rozplotły się jej ręce i jakby burzą zważone dwie gałęzie bluszczu marmurowego pomnika opuściły się ku ziemi.

Czekam tak długo! dał się słyszeć głos z ciemni.

I dziwnie głos ten w niczym nie podobny do głosu dawnej Wiśki. Cichy, matowy prawie pokorny. Bardzo kobiecy, bardzo miękki głos kobiet, które już z bólu jęczeć umieją...
Adamem targnął ten głos do głębi.

Zajęty byłem tłumaczy się, wdzięczny, iż pozwala mu mówić banalnie dyrektor wyjechał...

Lecz ona przerywa mu skinieniem ręki.

Wiem, wiem... czekałam na jego wyjazd a potem, chciałam być już silniejsza, gdy pana zobaczę.

Pani wiedziała, że ja tu jestem?

Tak. Dlatego wybrałam to sanatorium.

!!!

Sądziłam, że umrę. Chciałam, żeby mi pan oczy zamknął.

Ja wyjechałam.

Dowiedziałam się o tym już po pana wyjeździe. I było mi wtedy strasznie. Nie miałam już nikogo.

Dłońmi zakryła twarz. On stał ciągle opodal i myślał, że ona przecież nie zastanowiła się, jak straszny ból mu zada, żądając w takiej chwili jego obecności. I sam nie wiedział, czy być jej wdzięczny za to bezgraniczne zaufanie, którego chciała mu dać dowód, czy powiedzieć jej, że zbyt wielki ciężar chciała mu cisnąć na duszę tym właśnie bezgranicznym zaufaniem. Lecz milczał i trawił w sobie te sprzeczne uczucia, które fermentowały w nim i przepełniały mu serce całą lawiną skłębionych wrażeń.

Wreszcie Wiśka oderwała ręce od twarzy. Zasuwała się głębiej w fotel tak, że płomień kładł jej

purpurowe plamy na piersi i ramiona.

Chodź pan bliżej... usiądź przy mnie! wyrzekła cichutko. Wziął krzesło i usiadł przy piecu, zapatrzonej w migoczące złoto jej pantofelka. Przypomniawszy sobie, jak na wsi patrzył raz także długo na te złote arabeski, wysuwające się spod białych fałd jej sukni. Lecz teraz czuł jakby lodowy wał, dzielący ich dwoje. I zrozumiał, jak wielką ulgą było mu to, iż nie wyciągnęła do niego ręki, oszczędziła mu zbliżenia się, które strachem go i dreszczem przejmować zaczęło.

A ona znów mówiła słodkim, jakby dalekim głosem:

Mimo wszystko nie straciłam pana z oczu. Wiedziałam, co się z tobą działo. Och! Nie wszystko. Mniej więcej. Głównie to, gdzie byłeś. Czulałam, że może nadejść chwila, w której będę cię szukała wzrokiem i sercem. Chwila taka mogła być tylko... na krawędzi grobu.

Urwała wreszcie po chwili dodała:

Nie było mi sądzone umrzeć jeszcze, ale mimo to nie mogłam oprzeć się chęci zobaczenia cię znowu. Nie wiem jednak, czy dobrze zrobiłam... zamilkła znów, jakby czekała, że jej coś odpowie, że

pozwole jej dalej zadośćuczynić tej konieczności wypowiedziania się, jaką mają prawie wszystkie kobiety.

Lecz on milczał i tylko w nim wzbierała chęć ukryć twarz w dłonie i wybuchnąć strasznym, przeogromnym jękiem. Bo była mu ona znieważonym majestatem Dziewictwa, nie przyozdobionym świętością Macierzyństwa.

Bo była mu ona ciszą pogodnych, kwiatami pokrytych cmentarzy, nagle rozszeptaną rwącym na strzępy serce głosem.

Bo była mu ona porankiem wiosennym, w który wdarła się smuga chmur ohydnych, żółtych, kłębiących się brudem oparów śmietnisk ludzkich.

I była mu ona kobietą nie umiejącą już spojrzeniem swym rozwijać lilii. A uśmiechem usypiać gołębi.

O dziewczęta Fra Filippo Lippi!... o dziewczęta smukłe i jasne, tańczące korowody, złączone wstęgą rąk... o dziewczęta!...

A przecież ona jest teraz taka inna, taka słodka, głos jej płynie bez buntu, choć postać zachowała dawne linie. Lecz głos ludzki to muzyka duszy i ten właśnie maluje jej nastrój. Anioł duszy człowieka na rozpiętych strunach jego głosu gra pieśń, która mu drży w głębi.

Nie patrz na zmianę twarzy.

Wysłuchaj się w głos! W głos!...

Lecz koło uszu Adama ten głos zmieniony Wiśki biegnie jeszcze go nie pojął. Zanadto cierpi, patrzy na nią i walczy.

I ona milknie, jakby już nie śmiała, jakby marło w niej powoli to, co się rwało ku niemu, to co przed nim wypłakać chciała. Cisza zupełna. I tak siedzi przed sobą tych dwoje, a pomiędzy nimi jest jakiś trup, nie ich miłości, ale gorzej bo ich serc, tego najlepszego, co było w nich, co ginie, przepada, zamiera...

Do drzwi ktoś stuka.

Proszę pana asystenta zdaje się, że na gorączka.

A... idę. Zerwał się.

Przepraszam chorzy...

Ciemne oczy Wiśki przeprowadzają go do progu. Skurczyła się, jakby zmaląła. Twarz jej powlokła się szarością. Ciężko jej przeżyć tę

chwilę. On to czuje, rozumie ale nie jest w stanie nic więcej dla niej zrobić. I postępuje śpiesznie do progu, jakby się lękał, że ona wyciągnie ku niemu ręce i że on będzie musiał te ręce ująć. I nagle poza sobą słyszy cichy, pokorny głos:

Pan jeszcze do mnie przyjdzie?

Tak, tak... jutro... nic pani nie trzeba?

Nic.

Dobranoc!

Wyszedł i na korytarzu oparł się o ścianę, tak mu było strasznie słabo fizycznie z tego wysiłku, przez jaki przeszedł.

Och, jakież to straszne!... myślał jakież to okropne!... Pobiegnął do chorych, pragnąc zagłuszyć w sobie wszystko, nie zastanawiać się nad niczym. Ręce miał lodowato zimne i grzać je musiał, zanim się do chorych zbliżył. Do późnej nocy biegał, czuwając. Nie rozbierał się wcale. Na chwilę spróbował zasnąć na małej kanapie w kancelarii, lecz rzeczywistość brutalnie zwała się jak stado rozwścieczonych zmor. Porwał się i pobiegł czuwać przy rano operowanej. Leżała w gorączce i cicho

wymawiała imiona męża i dzieci. Uśmiechała się przy tym słodko. Adam usiadł w nogach łóżka na krześle i słuchał jej szeptu. Pomyślał o miłości, z jaką w tej chwili mąż tej kobiety rozmyśla o swej żonie, i ogarnęła go straszna gorycz.

Są szczęśliwi... łkał w głębi, przejęty zazdrością do tego mizernego biedaka, który mógł z całą ufnością i uczuciem zwracać się ku tej wychudłej, poranionej nędzarce, tak godnie dźwigającej majestat kobiecy.

Są szczęśliwi...

Świt przebijał się z wolna, szary, ciężki, ołowiany. Połyskliwa barwa szpitalna występowała ze ścian. Gorączka u chorej opadała. Otworzyła biedne, zmęczone oczy i wpatrzyła się w Adama.

A... to pan doktor... wyszeptała jaki pan dobry, że pan tu siedzi dziękuję! Powstał, otulił to biedne, wychudłe ciało.

Nie, nie wyrzekł to ja pani dziękuję za to, że tu mogę siedzieć. Ale kobieta nie zrozumiała, co przez to chciał powiedzieć.

Przez następny ranek Adam snuł się kilkakrotnie dokoła drzwi pokoju zajmowanego przez Wiškę.

Wejść, muszę wejść postanowił.

Lecz tchu mu brakowało. Chciał pochwycić się banalnego faktu, gdy ktoś trzeci będzie pomiędzy nimi, i wejść wtedy na krótką chwilę.

Nie mogę inaczej myślał to nad moje siły.

Lecz służba wcześniej załatwiła sprzątanie, podczas wizyty zwykłego lekarza Wiški. Adam nie mógł narzucać się swoją obecnością i południe minęło, a Adam nie wszedł do jej pokoju.

Czuł przecież, że jest to dla niej zniewaga i że każda chwila tę zniewagę powiększa.

Nie mogę... nie mogę...

Posłał dwukrotnie z zapytaniem, czy nic nie potrzeba. Służąca wracała z odpowiedzią przewidzianą „nic"! I za każdym razem doznawał ulgi, jakby ominęło go coś bolesnego, coś wstrętnego, co miał wykonać.

Bo niestety, nie należało się łądzić. Zbliwienie się do Wiški wydawało się teraz Adamowi wstrętne.

To było bardzo ludzkie to było bardzo naturalne.

Po raz pierwszy Adam doznał tego, czym jest wstręt fizyczny z moralnym złączony. I oto on, który sądził tak surowo tych, którzy ze wstrętem odwracają się od ludzi lub faktów, on sam musiał beczynnice asystować, jak z jego głębi dobywało się mimo jego woli uczucie straszne, wrogie, złe, dobywało się, jakby jakiś ptak drapieżny o strasznych szponach i mocarnych skrzydłach, i owładnęło nim z potęgą brutalną i bezwzględną. Jak porażony stawał co chwila, ścierając pot z czoła przerażony tym, co się w nim działo. Lecz bez żadnej walki poddawał się, rad prawie, że dostaje jakiś puklerz, który przygniata w nim jego ból, jego uczucie miłosne, i czyni go odpornym, zimnym, jakby tężejącym stopniowo.

To... wstręt... mignęło mu błyskawicą. A potem wyraźniej:

Mam do niej wstręt.

Gdy uczynił to odkrycie, zbiegł jak szalony ze schodów i chwilę przebył sam w saloniku na dole.

Wstręt... powtarzał, trąc czoło wstręt...

Dnia tego nie było żadnej operacji. Profesorowie jednak odwiedzali swych pacjentów i Adam musiał naturalnie asystować przy tych wizytach. Starał się być spokojnym, jak zwykle, i zajmować się tylko chorymi.

Przychodziło mu to z trudnością. Wysilek był ciężki, lecz Adam pokonywał go. I znów przeszedł koło drzwi Wiśki. Cisza panowała za nimi zupełna. Sam zdziwił się uczuciu prawie nienawistnemu, z jakim na nie spojrział.

I poszedł dalej do innych chorych.

Nad wieczorem powrócił dyrektor. Natychmiast poszedł do Wiśki. Adam dojrzał to z uczuciem ulgi. Lękał się bowiem, że nie idąc do niej, nie spełnia obowiązku lekarza względem chorego. Obecnie dyrektor uwolnił go od tej troski.

Lecz w kwadrans później dyrektor odszukał go w laboratorium, przy analizie krwi jednego z chorych, podejrzanych o malarię.

Pan odwiedził w czasie mej nieobecności pacjentkę na górze? zapytał, nie patrząc na Adama.

Adam w pierwszej chwili zmieszał się. Czuł, iż nie może powiedzieć, że Wiśka wezwała go sama.

Musiałem tak uczynić odparł krótko, nie przerywając swego zajęcia.

A... więc to dawna pana znajoma? Adam brwi zmarszczył.

To moja i jej rzecz, panie dyrektorze odparł jeszcze suchszym głosem. Dyrektor ramionami wzruszył.

W ogóle nie wiem, czego się pan gniewa wyrzekł sądziłem, że panu te panie są obce, tym bardziej, że matka, przechodząc wtedy wieczorem przez salon nie dała poznać, iż pan jest jej znajomym.

Ja znam tylko pannę.

A... a... tak, to co innego. Zresztą nie wchodzę w to. Panna jest kapryśna i zmienna. Z początku miała być wielka tajemnica, nawet przed asystentem miejscowym, i to było wyraźnie zastrzeżone. Obecnie panna baronówna życzy sobie, ażeby pan ją odwiedzał. Zdaję więc panu

najchętniej te obowiązki, tym bardziej, że ja jutro wyjadę znów na parę dni do Przemyśla.

Adam szybko porwał się z miejsca. Tafelka szklana, którą lokował pod lupą, wypadła mu z ręki.

Chciałem prosić, aby mnie pan od dozorowania nad stanem zdrowia tej pani uwolnił.

Obleśna i trochę fałszywa twarz dyrektora zmieniła się na chłodną i nieprzystępną maskę.

Przepraszam wyrzekł lekarz jest lekarzem i żadnych pobocznych względów nie ma. Tu są tylko chorzy. Pan, zdaje się, zapomniał o tym. Powiedziawszy te słowa, dyrektor wyszedł cicho, zamykając drzwi za sobą.

Adam pozostał sam, a dokoła niego snuły się ciągle słowa.

Tu są tylko chorzy... tylko chorzy... Lecz to dźwięk bez echa. Ci „chorzy” to byli wszyscy inni, tylko właśnie nie ona.

„Zrozum mnie pisał w godzinę później zrozum i uwolnij, nie badaj, nie pytaj nie mogę Cię widywać. Ciebie właśnie Ciebie przede wszystkim. Dlaczego chcesz tego, kiedy to jest niepodobieństwem? Uwolnij mnie. W imię dawnych wspomnień, proszę Cię, uwolnij!”

List ten posłał na górę i całą duszą pragnął jedynie milczenia. Gdyby jednak tak się stało, doznałby zawodu. Nie rozumiał tego, a przecież tak było w rzeczywistości.

Nad wieczorem dopiero nadeszła karteczka. Kreślona nierówno, zdradzała wielką nerwowość, szarpiącą rękę, która pisała:

„Nie uwolnię. Muszę Cię widzieć, pomimo, że jest to prawie prośbą o jałmużnę. Czekam. W.”

Mimo to Adam nie poszedł. Wiedział, że wieczorem zaglądał na górę dyrektor. Jako lekarz więc był uspokojony. Jako człowiek stał na rozdrożu. Wieczorem skorzystał skwapliwie z propozycji dyrektora, aby się przeszedł po mieście. Wyszedł już około dziesiątej i zaczął się plątać bez celu po ulicach, unikając zgiełku i wrzawy. Mimo woli zaszedł na tę ulicę, na której spod kół tramwaju wyciągnął Wiškę. Spojrzał w ciemną jamę zaułka i cała scena przytulenia się jej do jego piersi, potem odtrącenia stanęła mu żywo przed oczami.

O dwóch cieniach... myślał o dwóch cieniach. Gorycz przeszła mu serce.

Zabijać się chciała... taka dumna, a dziś... I z kim? Z kim? Czy to Toczyński? pewnie on! Och, jakie to wstrętne...

Opłynął go znów wstręt do niej, do jej matki, do tego całego gniazda, przesyconego zezwierzęceniem. Trumna Rydzika, żałobny śpiew diaka, wyjący rozpaczłą modlitwą po ścierniskach, i ta kobieta ze złotą fryzurą opiętą futrami o rudych połyskach...

Obie... obie...

Zaczynał mieć w sobie ponurą zaciętość stryja. Przyczyny, początek rzeczy niknął w jego wzburzeniu.

Gdy wrócił późno wchodząc do bramy, nie podniósł głowy i nie spojrzął na okna pokoju, zajmowanego przez Wiśkę. Wiedział, że nie śpi, że tam drżą jej oczy w bladym świetle lampki ale nic o nich wiedzieć nie chciał.

Obie... obie... powtarzał z goryczą.

Los złączył go prędzej z Wiśką, niż mógł przypuszczać.

Rano odjechał dyrektor. Adam, który prawie był zdecydowany podziękować za miejsce, wynaleźć

następne i opuścić natychmiast sanatorium został tym nagłym wyjazdem zaskoczony. Zrozumiał, że dyrektor zrobił to umyślnie przeczuwając, że Adam zechce mu uciec, i nie wiedział, nie mógł zrozumieć, co się dzieje pomiędzy baronówną i jego asystentem, ale znał zanadto dobrze z opinii baronową i Wiśkę, aby nie wyczuł jakiegoś romansu, który był mu bardzo nie na rękę. Zanadto mu Adam był wygodny i cenny. Chodziło mu bądź co bądź o zatrzymanie go nadal.

Niech się to utrże beze mnie myślał, jadąc na kolej gdy mnie nie będzie, Adam musi ją odwiedzić i coś tam jakoś się ułoży...

Adam od razu zrozumiał dyplomację dyrektora. Postanowił jednak pod pozorem przepełnienia sanatorium i niemożności podłożenia samemu tej pracy wziąć do pomocy jednego ze starszych kolegów. Na niego zda odwiedzanie Wiśki i całego drugiego piętra, pomyślał. W tym celu napisał list do jednego ze zdolniejszych i poważniejszych medyków, wysłał go, a sam zaczął odwiedzać chorych, umieszczonych na parterze i pierwszym piętrze. Prędko pochłonął go, jak zawsze, obowiązek. Przestał na razie myśleć o Wiśce. U jednego z operowanych nastąpiły

niespodziewane komplikacje. Wielka troska ogarnęła Adama. Szczęściem, nadszedł profesor, który wykonał ową operację. Adam dopomagał mu w zmienianiu opatrunku. Profesor był spokojny, a nawet żartował z trwogi

„dzieciaka” jak nazywał Adama. Ten, słysząc głos swobodny i żartobliwy, odetchnął. Profesor odszedł, a Adam odprowadził go aż do drzwi wejściowych, słuchając szybko dawanych poleceń. Gdy wracał na górę, uczuł się lekki, tak jakby zbył się jakiegoś straszego ciężaru.

Chwała Bogu... powtarzał chwała Bogu...

Nagle, na zakręcie schodów pomiędzy parterem a pierwszym piętrzem, ujrzał postać kobiecą, idącą powoli pod górę. Była do niego odwrócona plecami i okryta długim płaszczem. Szła z widocznym wysiłkiem, a biała suknia wlokła się za nią spod fałdów płaszcza. Górne światło matowych szyb spadało na jej głowę pochyloną i pokrytą masą zbyt czarnych włosów.

Wiśka! pomyślał Adam.

Skąd wracała? Po co szła? Wprawdzie tędy była droga z łazienek, ale Wiśce robiono kąpiel w pokoju, wsuwając gotową już wannę i wysuwając ją tą samą koleją. Widoczne jednak było, że, nie zważając na tak troskliwie strzeżoną tajemnicę, Wiśka dziś zeszła aż na dół i teraz wracała powoli,

jakby wyczerpana lub jakby czekająca...

Pierwszą myślą Adama było cofnąć się do portiera i tam przeczekać, aż baronówna wejdzie do swego pokoju. Lecz nagle Wiśka zachwiała się, pochwyciła i puściła poręcz, po czym osunęła się na klęczkach na dywan schodów. W jednej chwili Adam zapomniał, kim jest ta kobieta. Miał przed sobą chorą tylko chorą. Rzucił się ku niej, podniósł i otoczył ramieniem. Gdy podniosła ku niemu swą twarz białą jak opłatek i

spojrzała głęboko zapadłymi i podsiniętymi oczami, Adam widział tylko wycieńczony i schorowany organizm, anemię i brak sił.

Proszę się na mnie oprzeć ja panią zaprowadzę.

Powoli dopomagał jej wchodzić na schody. Pozwoliła prowadzić się jak dziecko. Czuł, że drżała cała. Zatrzymała się chwilę i bardzo cicho wyrzekła:

Taki mam szum w głowie... Odparł żywo:

To osłabienie. Dlaczego pani zeszła na dół, i to sama?

Nie odpowiedziała mu nic. Tylko coś, jakby delikatny, różowy cień zaczął wysuwać się jej na lica. Lecz i to znikło. Gdy Adam wprowadził ją

do pokoju, była blada i zimna. Ułożył ją na łóżku i otulił. Sięgnął do dzwonka, lecz ona zatrzymała jego rękę.

Nie chcę nikogo... tylko pan jeden. Zamknęła oczy i dodała szeptem:

Och!... gdyby umrzeć!

Rano spadł śnieg i dziwny biały blask napełniał pokoje. Przez muślin białych, świeżo wypranych firanek wpływały jakieś niejasne wspomnienia wigilii mroźnych, ranków świątecznych, pełnych życzeń i woni sosenek.

W tym nastroju, który zawsze białe światło śniegowe ze sobą przynosi, leżała nieruchoma Wiśka kredowoblada, z rękami złożonymi na piersiach, gestem ostatnim, grobowym.

Och!... Gdyby umrzeć!

Spod niezmiernie długich, cienistych rzęs spływały łzy. Wolno toczyły się po zapadłej twarzy, gładkiej, przejrzystej drżały lekko jak rosa na płatkach kwiatu i spadały w puch włosów.

I te łzy właśnie przypomniały Adamowi, kim jest ta „chora” której starań odmówić nie mógł. Jej łzy

zaczęły go kłuć jak uderzenia sztyletu. Odwrócił oczy i pragnął, aby znów ktoś wszedł po niego, aby powstał pożar aby coś się stało nagłego, co wyrwałoby go z tej strasznej, rozpaczliwej sytuacji.

Ona zdawała się odgadywać jego myśli.

Nie uciekaj... proszę... wyszeptała. Milczał.

Podniosła się z wysiłkiem i usiadła na łóżku.

Proszę... niech pani leży... Przerwał mu:

Pozwól. Jesteś wreszcie przy mnie, więc muszę ci wszystko powiedzieć...

Nie, nie... nic wiedzieć nie chcę!

Płomień przebiegł po jego żyłach. Cofnął się przed możliwością tej spowiedzi.

Patrzyła na niego przez mgłę łez.

Komuż powiem, jeżeli nie tobie? wyrzekła z prostotą.

Mnie właśnie nie powinnaś mówić! Nie rozumiała widocznie ciągle.

Ty jeden przecież byłeś mi prawdziwie bliski i drogi wyrzekła.
Niezwykłość sytuacji pchnęła go w dziwną banalność uczucia.
Dałaś tego dowód! rzucił przez zęby.

A!

Potarła rękami czoło, które pokrywało się kropelkami potu...

To nic nie dowodzi! wyrzekła po chwili z widocznym wysiłkiem dałam ci większy dowód wtedy, gdy przyszłam do ciebie i ofiarowałam ci bezinteresownie, bez zastrzeżeń moją młodość, moje życie, siebie całą...

Nie chciałaś jednak być moją żoną.

Tak. I zdawało mi się, że właśnie w ten sposób przekonam cię, iż nie mam żadnych chytrych myśli, że nie chcę wołać na pomoc prawa, świadków, całego aparatu, aby obwarować i pętać cię przy sobie... Jak byłoby później, gdybyśmy, ty i zwłaszcza ja, przekonali się, że możemy być naprawdę małżeństwem to już los by pokierował... Prawdopodobnie bylibyśmy wzięli ślub... Tak sędzę. Ale na razie kocham cię i nie umiałam ci dać innego dowodu miłości.

Opadła na poduszki, widocznie wyczerpana.

I bardzo za tobą tęskniłam!... dodała ciszej, a łzy jej znowu spod rzęs przymkniętych płynąć zaczęły.

Wydawała mu się niepojętą w tym wszystkim, co mówiła. Widocznie oddzielała swe czyny od swych uczuć i chciała, aby on je tak przyjmował. Ofiarowywała mu kwiaty swych uczuć, rezerwując sobie wolność sądu o swych czynach. Serce łopotało w nim jak ptak zraniony.

Czegóż teraz chcesz ode mnie? zapytał ją twardo.

Chcę się przed tobą uskarżyć, uzalić.

Przedemną?

Właśnie tylko przed tobą.

Zbliżył się szybko do łóżka pochwycił jej zimne, wystygłe ręce.

Kobieto! zawołał czyś ty zupełnie z uczucia obrana? Czy ty nie rozumiesz, co się we mnie stać musiało, gdy dowiedziałem się i zrozumiałem wszystko.

Patrzyła mu prosto w oczy i odparła drżącymi ustami:

Myślałam, że będziesz mnie żałował że mnie przygarniesz do siebie.

Puścił jej ręce jakiś chłód go ogarnął.

To, co mówiła, zaczynało mu się wydawać cynicznym.

Żałować cię?... Ja?...

Tak cię sadziłam... A zresztą pomyśl. Co mnie teraz pozostaje? Powiedz sam... Chyba tylko wyjazd z matką... rozumiesz tak, jak ona wesoła zabawa to tu, to tam może się ktoś złapie, a nie, to i tak życie wcale się przyjemnie przedstawia... Matka się tym zbytnio nie zmartwiła. Ona nawet woli, bo tak to już... A zresztą nie wiem och! W głowie mi się mąci...

Wysunęła rękę, szukając jego dłoni.

Tak cierpię, tak się tym wszystkim męczę...
Lecz on nie ujął jej ręki. Cofnął się cały w swoje cierpienie i układał je na wyniosłości katafalku.
Milczał i patrzył, jak powoli jej ręka opadała na biel pościeli.
Wiśka otworzyła raz jeszcze oczy i spojrzała na niego dziwnie, przenikliwie.
Nie powiesz mi nic? spytała.
Uspokój się i zaśnij.
Nic więcej? Mam iść w świat? Nie odpowiedział jej nic.
Chwilę czekała. Wreszcie westchnęła ciężko i przycisnęła guzik dzwonka.
Możesz odejść... wyszeptała zmienionym głosem zaraz przyjdzie dziewczyna.

Adam wysunął się z pokoju. Gdy zamykał drzwi, szarpnęło się w nim coś, jakby pragnął wrócić. Lecz już tam, poza progiem, czuł, że ogarnia go ta sama gorycz, żal i wstręt.
Nie mogę! Nie mogę!...
Na schodach spotkał posługacza, szukającego go wszędzie. Należało iść zastrzykiwać rekonwalescentom arsicotil i wydać lysos. Adam powłókł się do apteczki na wpół zdrętwiały.

Późna noc. Adam snuje się tu i ówdzie. Od kilku dni jego kolega dopomaga mu w zajęciach. Wiśka odmówiła wpuszczenia do siebie

nowego asystenta. Natomiast jej zwykły lekarz odwiedza ją dwa razy dziennie. Stan jej zdrowia nie poprawia się i Adam dowiaduje się od gospodyni, że „ta pani odsyła jedzenie prawie nietknięte!”.

Należałoby może wezwać matkę! mówi gospodyni gdy jest matka, potrafi w córkę dużo rzeczy wmówić. Ta pani jest zawsze wesoła, energiczna i młoda, pani może się przy niej ożywić.

Adam nie odpowiedział nic, lecz przez umysł przeszło mu:

Więc ma z matką iść czy tak? Usiłował nie myśleć o tej sprawie.

Co mnie do tego! Co mnie do tego, niech idzie z matką trudno!... Tego wieczora gospodyni, podając obu asystentom kolację, zawiadomiła

Adama:

Ta starsza pani nagle przyjechała.

A!... dobrze.

Jest na górze. Posłałam kolację na dwie osoby.

Dobrze!

Kto to? zapytał Barciński, kolega Adama.

Matka jednej pacjentki.

Tej nocy nie mógł Adam usnąć. Myśl, że baronowa jest przy córce, zaczęła go żreć jakimś dziwnym niepokojem. Gdy wiedział, że Wiśka jest sama, nie pragnął być przy niej ale coś się w nim jakby

układało do jakiegoś spokoju. Zdawało mu się chwilami, że ten stan rzeczy trwa od dawna i trwać tak będzie ciągle. Ona tam ponad nim blisko, a mimo to oddalona nieprzebytą przestrzenią.

I dlatego Adam błądzi noc całą. Nasłuchuje pode drzwiami chorych, czasem uchyla te drzwi, dochodzi do łóżka, pochyla się, bada sen lub z czuwającym zamienia kilka słów cichych. znów wychodzi, i znów błądzi po schodach, korytarzach, zmuszając się do ruchu, do czynności jakiejś, aby nie myśleć, nie zastanawiać się.

Dwukrotnie zachodzi już do owej żony krawca, której wyzdrowienie obecnie nie ulega już wątpliwości. Cieszy się tym razem z nią samą i jej mężem, który ciągle pokorny i grzeczny zjawia się na schodach co rano, niosąc jakieś maluchne paczuszki, powiązane okrawkami sukna. Chora po każdej takiej „wizycie” promienieje radością cieszy się pokazuje Adamowi ćwiartki powydzierane z zeszytów i zapisane niewprawnym, dzieciennym piórem. I wszędzie „droga mamusiu cacana mamusiu, jedyna mamusiu” jak kwiaty zasypują dokoła jej wychudłe, biedne ciało...

Gdy wrócę, gdy będę już w domu szepczą blade usta.

Dom!...

Kilka ścian, kilka okien zasłoniętych firanką czystą i białą, drzwi dobrze zamknięte lampa czysto oprawiona, świecąca na stole, jakieś wybladłe fotografie, podłoga pokryta ubogimi dywanami, wazon y prymulek i bożego drzewka w powiązanej sznurkami żardynierce...

I to przekonanie, że nikt obcy, nikt mający złą myśl i chęć, nie ma prawa wtargnąć tu nagle, tak jak nie ma prawa wtargnąć tu z wyciem i świstem wichur, burza, śnieg...

Rozpostarte, niewidzialne skrzydła czuwają tu na straży. I srebrne dzwonią tu dziecinne głosy, srebrne dziecięce śmiechy. Czasem jęk, płacz, skarga... Lecz i to utuli cisza domowa jak płaszcz ciepły i dobrze znany...

Dom!... Dom!

Takie drobne, małe kilka ścian, kilka okien, dobrze zamknięte drzwi, i w tym cały świat.

Dom!

To aż drży, aż tętni w słowach kobiety. Gdy wróci do domu, gdy wróci do domu...

Rozjaśnia się. Adam wchodzi do sali operacyjnej, wystygłej i martwej. Siada na krzeselku pod

ścianą i tępo patrzy przed siebie. Pełny jest jeszcze tych słów owej krawcowej. Przed chwilą powiedziała mu:

Co pan doktor chce. Wy mężczyźni to macie dla siebie cały świat. Ale my kobiety musimy mieć dom. To dla nas wszystko. Jak która od dziecka nie

wie, co to dom rodzina niby serce... to pójdzie na Bóg wie co... Nas, kobiety, trzyma w porządku taki dom, choćby najgorszy, najbiedniejszy... Tak powiedziała krawcowa.

I teraz gdy Adam siedzi w tej pustej i zimnej sali, przychodzi mu natrętnie myśl, którą chce gwałtem od siebie odegnąć.

Wiśka nie miała nigdy domu.

Bo to, co było tam na wsi, to nie były owe ściany przytulne i ciche, to nie były owe drzwi zamknięte, przez które nie śmie wejść ani burza, ani śniegani to Złe, to Najgorsze...

Bo nie było tam owych skrzydeł, rozpostartych u wnijścia.

A skoro, „która od dziecka nie wie, co to dom, co to rodzina co to niby serce, to pójdzie na Bóg wie co...”.

Adama przeszył dreszcz. Wstrząsnął się cały. Wstał i wyszedł z tej półciemni rzewnej i dziwnej.

Nerwy mną szarpia...pomyślał. Nigdy nie doznawał podobnego uczucia. Siadając do obiadu, zastał już przy stole Barcińskiego, który był ożywiony i wesół.

Wyobraź sobie... wyrzekł kogo spotkałem na schodach. Tę... tę... no, jakże jej, Ach, ta słynna baronowa z Rusi ta, która się tak źle prowadzi. Zapomniałem nazwiska. Ta, co poszła za jakiegoś chłopca i ma taką śliczną córkę Wiškę. Zaledwie ją poznałem. Przefarbowwała włosy, roztyła się i wygląda inaczej, ale wcale, wcale. Dawniej miała pozór czarnej charcicy, a teraz bardzo belle femme... Co ona tu robi?

Adam patrzył uparcie w talerz.

Może kogoś odwiedzała wybaknął.

Nie, nie, była bez kapelusza, w szlafroku, i szła, jak się dowiedziałem, do łazienek. Jeżeli będzie się operować, ja zapisuję się na asystenta...
pamiętaj!
Śmiał się cynicznie. Rad z życia, z siebie, ze swej siły, jadł dużo i czuł potrzebę mówienia

wszystkiego, co mu przez myśli się przesuwalo.

Ciekaw jestem... podjął znowu co słyhać z Wišką. Czy się jeszcze trzyma? Będzie z niej to samo, co i z mamy. Temperament aż bucha. Ma po kim dziedziczyć.

Adam zasłonił oczy. Dotkliwy ból powoli zaczynał zanurzać ostrze w jego piersi.

Barciński podsunął mu półmisek.

Nie bierzesz risotta? Doskonale. Z wieprzowiną... po raz pierwszy jem w ten sposób. Wracając do tych pań czy wiesz, że to byłoby bardzo ciekawe obserwować także córkę? Bo to są okazy patologiczne. Jedna i druga jednakowo uformowane, ułożone i jednakowo temperamentowe...

Adam porwał się od stołu.

Co tobie?

Ząb, ząb mnie boli.

Wyrwij.

Właśnie tak zrobię. Wychodzę.

Nie zazdroszczę. Ja się przedrzemię Adam odział się i wybiegł na ulicę. Słowa Barcińskiego podziały na niego straszliwie. Zdawało mu się, że ktoś wywłoczy kogoś na plac publiczny, zdiera z niego ostatnią osłonę i chłoszcze, śmiejąc się i krzycząc:

Temperament! Temperament!...

A ten chłostany jęczy i wzdycha. Takie westchnienie Adam już słyszał raz tam, na górze u Wiśki, gdzie rzucił jej słowa:

Dałaś dowód twego do mnie przywiązania... A Wiśka westchnęła.

Nad wieczorem powrócił do sanatorium. Spotkał się z Barcińskim przy kawie.

Wiesz, poznałem się z baronową. Stała na korytarzu, na drugim piętrze. Gdy przechodziłem, poprosiła mnie o trochę fenacetyny. Dałem jej kofeiny. Przedstawiłem się. Jest wściekle miła i wesoła. Ma śliczne zęby, tylko trochę szyja już tego... Ale jeszcze, jeszcze. Patrzy... no... Nie pytałem jej, co robi, ale mnie się zdaje, że ona chyba mieszka w tym pokoju, do którego mnie nie chciano wpuścić. Tylko dlaczego teraz się nie kryje i stoi sobie swobodnie na schodach?

To ciekawe!

Adam w tej chwili postanowił pozbyć się od jutra Barcińskiego. Czuł, że baronowa, nudząc się w

sanatorium, nie odwróci się od chwilowego flirtu z tym cynicznym i przystojnym chłopcem.

Proszę cię wyrzekł, nie patrząc na Barcińskiego ażebyś zechciał szanować tutejsze tajemnice.

Barciński parsknął śmiechem.

Ładne tajemnice, co po korytarzach ludziom na szyję włożą.

Och!... Och!... Na szyję.

A żebyś wiedział! Coż ty myślisz, że ja się nie znam na kobiecych awansach? Nie każdy taka niuńka jak ty. Ja żebym był na twoim miejscu, to żyłbym tu zupełnie inaczej... Śmiejąc się, wstał od stołu i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Adam oparł ciężko głowę na rękach splecionych. Znów mu się zdawało, że ktoś smagany wzdycha ciężko. W pierwszej chwili czuł tylko ból swego serca, lecz powoli rozróżnił, że jeszcze i drugi straszniejszy ból nim wstrząsa i przenika go jeszcze dotkliwiej. Ból cudzy, ból... drugiej istoty, a przecież niby jego własny. I tak bliski sercu, że rozróżnienie to jest prawie identyfikacją.

Wszakże ta druga istota, to ona. Wiśka!

A więc tak bliska mu, że prawie jakby z nim zrosła. Więc pomimo tego, że mówił sobie, iż mu jest daleką że nic go już z nią nie wiąże to przecież, przecież jest między nimi tajemna, wielka spójnia.

Pomimo wszystko!...

I znów zapada noc. Drzwi skrzypnęły. Wchodzi gospodyni. Żąda jakichś informacji co do diety niektórych pacjentów. Prawie wszyscy proszą o więcej jedzenia. Wstawia się za nimi. Adam otrząsa się całą siłą woli i wdaje się z tą kobietą w dyskusję. Tu dorzuca na jutro winną polewkę, tam przykróca mięso, ówdzie dozwala tylko kleik.

Pani na drugim piętrze już zaczęła jeść!... odzywa się nagle gospodyni wczoraj sama zażądała mięsa i polewki. Mówiłam, że gdy matka przyjedzie, wszystko będzie inaczej. Byłam tam dziś rano, lepiej już wygląda, ubrana. Matka ją uczesała jutro mają wyjść na miasto. Nie będą jadły u nas, matka mówiła, że jeść będą w restauracji... Adam skinął ręką. Dobrze... już może pani odejść.

Dobranoc panu asystentowi.

Dobranoc.

Adam pozostał sam. Zakłębiło mu się pod czaszką. Wiśka ma jutro wyjść z matką: wraca do świata, do dawnego życia i wraca razem z matką. W zgodzie, w harmonii, uczesana, przystrojona, pójdzie obok tamtej żywiołowa i pełna temperamentu. Mężczyźni tacy jak Barcińscy zaczną się za nią oglądać i będą mówić do siebie:

Ma po kim dziedziczyć...

Pójdzie do restauracji na obiad, potem, wyszedłszy już zupełnie z sanatorium, mieszkać będzie w hotelach lub w „domu”, który nie jest domem, a hotelem. I dusza jej będzie mieszkać także w takim hotelu i nie będzie miała dokąd się schronić, i nie będzie miała drzwi, które ją

odgradzą od zła, od najgorszego bo te drzwi były wyrwane już w dzieciństwie tej duszy lub nigdy ich nie było nigdy.

I śniegi, wichry, burze, pogardy, szyderstwa, cynizmy wpadać będą, wyc, smagać, mrozić, zabijać... szarpać...

Nieszczęśliwa...

Adam podniósł głowę, ręce do piersi przycisnął. Nieszczęśliwa! krzyknęło w nim jakby strasznym głosem, jękiem z głębi jego najgłębszych uczuć. Przedarło się to jakby przez całe pokłady

zimnego kamienia, który pokrył jego właściwe uczucia względem tej kobiety. Gdy miała stanąć oko w oko z rzeczywistością, i on stanął oko w oko z prawdą swej duszy.

Małeńka lampeczka migoce. Obrazek Matki Bożej nad łóżkiem, do ściany lakierowanej małeńkim gwoździkiem przyczepiony, błyska leciuchno złocistym tłem.

W pokoiku, gdzie leży krawcowa ciepło i cicho. Za ledwie spoza ściany, jakby ktoś trącał lekko harfą oddaloną, jakiś monotony dolatuje jęk kobiety. To jest wszystko. Krawcowa leży, nie śpi. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w przestrzeń. Myśli, medytuje, ile to ją roboty czeka, gdy do domu wróci. Pończochy dzieci musiały zupełnie podrzeć, rozpoczęte prasowanie prześcieradeł przerwało jej pójście na operację

trzeba będzie zakrzętnąć się koło prania, dzieci pokapać, doprowadzić do ładu.

A dom, a podłogi, amebie. Boże miły! Jak to wszystko musi bez niej wyglądać!

Dziś by ptakiem leciała do swoich, a jeszcze co najmniej dwa tygodnie musi tak leżeć bez ruchu i jeść co dwie godziny, jakby jaka dama.

Westchnęła ciężko. Ile to kosztuje! Boże!... ten mężysko duszę ściąga i na nią łoży.

Cicho drzwi się uchylają.

Wsuwa się Adam.

Pani znów nie śpi?

Łagodna twarz chorej uśmiechem się rozjaśnia.

Nie mogę, panie doktorze.

Pani znów się kłopotuje, pani znów myśli o., domu.

A o czymże mam myśleć, panie doktorze!

Adam bierze krzesło i siada przy chorej. Jest tak wzburzony, tak udręczony, że chce się uspokoić przy tej prostej, serdecznej duszy. Lubi z nią rozmawiać. Jest to kobieta prymitywna, niczym nie zepsuta,

mówiąca jasno, otwarcie i szczerze, a pełna tej wieczystej kobiecości, która stwarza dokoła niej jakąś jakby smugę wdzięczną i uspokajającą. Adam odczuwa, że ta kobieta kocha dobrze i prawdziwie, i jest tak samo dobrze i prawdziwie kochaną.

I jest mu tak, jakby on błądził w jakimś labiryncie i wyczerpany patrzył z dala na kogoś, kto idzie prostą i właściwą drogą.

Pani pozwoli posiedzę przy pani. Kobieta aż składa ręce.

Ach, panie doktorze! Czy ja pozwolę. Ależ to pan mi wyświadcza łaskę. Taka długa noc i choć jest o czym myśleć, lecz wreszcie i te myśli trochę umęczą. Potem pan tak dobrze ze mną rozmawia, a ja... no cóż począć jak każda baba muszę się wygadać. Zresztą to każdy człowiek chyba musi opowiedzieć, co mu dolega. Czy pan wielki, czy biedak. A może i nie... Może kształceni państwo to chowają w sobie troski i kłopoty... Bo i oni mają swoje mole, co ich gryzą...

Uniosła się trochę na łóżku. Błada jej twarz, delikatnie oświetlona, miła była i pełna kobiecego wdzięku.

Ja myślę, że mały człowiek ma małe troski, a wielki człowiek wielkie troski. Jak pan myśli?

Sądzę, że to zależy od wrażliwości czującego.

No tak. I dlatego kształceni państwo czują chyba swoje troski jeszcze głębiej, niż prosty człowiek. Nas byle co pocieszy. A dla was to ciężko o pociechę. Jedna rzecz to już chyba zupełnie się jednako czuje. To co się odnosi do swoich dzieci. Jednako matki nad dziećmi cieszą się i płaczą. Co?

Prawda.

A widzi pan. To już serce prawdziwie czuje samo i nauczyć tego żadne szkoły nie potrafią... Ot ja. Kocham mój drobiazg tak, że żadna hrabina swoje więcej kochać nie może. Bo już się więcej miłości nie zmieści. Chciałabym, żeby im nie tylko dobrze i uczciwie było na świecie. I tak je już otulam sobą i tak je od małego prowadzę w bojaźni Boga i w tym, żeby głównie mnie kochały i słuchały. A nigdy nie biję. Bo po co? Trzeba, żeby sobie w życiu matkę przypomniały, jako bardzo dobrą i bardzo miłą, a nie jakąś tam taką, co bije.

Umilkła na chwilę oczy jej zaszyły jakby mgłą wspomnienia.

Bo to... rzuciła znowu, a głos jej brzmiał trochę ciszej i smutniej dla dziewcząt zwłaszcza to dobrze, jak sobie umieją przypomnieć matkę w jakich złych chwilach. To je strzeże czasem lepiej, niż anioły

stróże. Dobrą matkę, pan rozumie. Jak nic nie ustrzeże, to taka myśl ustrzeże. Widzi pan... ja coś o tym wiem. Ja jestem taka bez matki, od

siostr mnie znaleźli i oddali z policji do sióstr. Toteż dlatego dużo się złego ze mną w życiu stało.

Umilkła i cicho dodała, osunąwszy się na poduszki:

Nie miało mnie co strzec. Zapanowało milczenie.

Adam patrzył na leżącą i ogarniało go wielkie zdziwienie. Jak to? Więc i z tą cichą i pokorną działy się rzeczy złe? Czy i tu stały się rzeczy nieodwołalne i najgorsze? A ona westchnąwszy mówić dalej zaczęła, patrząc ciągle szklanymi oczami w przestrzeń:

Panowie młodzi, co za biednymi, samotnymi dziewczętami biegają, to nawet nie wiedzą, jak to trudno takiej dziewczynie przed nimi się ustrzec... Cóż? Młodość aż ciągnie. Czasem ciekawość, a czasem to jak się jest tak samą, rozpacz chwyci i choć aby na chwilę mieć kogoś, co da dobre słowo, pogłaszcze, niby będzie bliski. Ja przynajmniej dlatego. Jak przyszła niedziela, to mało się człowiek nie skręcił. Aż wyło coś, tak było smutno... No, więc szło się tam, gdzie ktoś czekał, pogadał i zjeść dał... Tak, tak. Zresztą o jedzenie, to już mniejsza, ale o to dobre słowo. A że panowie zawsze coś za coś a więc trzeba było... no i tak przez to, że się miało smutek w sercu, to człowiek popadł w hańbę i w zło.

Przycisnęła rękę do piersi i dodała z uczuciem głębokiej szczerości:

A jak Boga kocham, to nie była nieraz moja wina!

Adam słuchał mówiącej i przed oczyma jego snuł się samotny dwór na równi, opuszczony, opluty przez wszystkich, i noce długie, podczas których wichur jęczy i wieczory rozpaczliwe, szelestem zmarzłej jarzębiny przerywane...

A dokoła duszy młodej, dziewczęcej nic, nic. Tragiczność pustki!
zwątpienie, gorycz, niezasłużone odtrącenie, paria bezdomna, nic więcej...
nic więcej...

I pokusa narzucenia się z dobrym słowem w chwili, gdy aż coś wyje z
tęsknoty za kimś żyjącym obok...

A tu nie ma komu strzec!

Nawet wspomnianej, dobrej, kochanej matki.

Nic.

Potem to źli ludzie kamieniem ciskają! mówi znów chora lecz niech no
oni takie niedziele przejdą, to zrozumieją, że dziewczynie, co to

jak dziecko spracowane i takie przytulone ciężko i gorzko być tak samej
jednej. Potem huzia na nią! Kamienie, wydrwinki...

Bóg jednak przebaczył.. Łzy jej zaszklily oczy.

I zesłał mi takiego męża! Zasłoniła oczy ręką i tak pozostała. Adam
pochylił się ku niej.

Pani mąż wiedział?

Pewnie. Powiedziałam mu wszystko.

A on?...

On zrozumiał i przebaczył!

I znów milczenie.

A Adamowi zdaje się, że słyszy bicie własnego serca, tak się w nim
zaczyna rozbudzać to serce, które z chwilą ujrzenia Wiśki, zastygło w
martwocie rozpaczliwej. Jakieś dzwony w oddali biją lekko na Ave. Coś
majaczy niby świt ciepły i w budzący się ptaszęcy świergot bogaty.

Proszę pana! słyhać głos kobiety, głos drżący od wzruszenia i łez czy on nie lepiej zrobił, że

wszystko zrozumiał i wziął mnie na resztę życia? Wypłakałam to przed nim, wypłakałam, powiadam panu, tak, że już zdawało się, że z żalości skonam. Bo to było najgorsze, że on myślał, gdy mnie poznał, że ja jestem uczciwa dziewczyna, i strasznie mnie pokochał. Ja wtedy dopiero rozumiałam, w jakie ja wpadłam nieszczęście. A ja także go pokochałam. Więc nie wiedziałam, co zrobić. Chciałam ukryć przed nim, ale nie mogłam. Ja go zanadto kochałam, aby go w czym oszukać. A potem myślę przed kimże się uzalę i uskarżę, jak nie przed takim, który naprawdę kocha?...

Ach! Teraz w Adamie budzi się cały tłum myśli. Te słowa, on je słyszał z ust Wiški, mówione do siebie:

Przed kim się uskarżę, uzalę, jeśli nie przed tobą, który mnie kochasz...
Kobiety!... Kobiety!...

Tysiące, miliony was, a przecież tylko jedna...

Więc powiedziałam mu wszystko. Nie patrzyłam na niego, bo się bałam, że się zabierze i pójdzie. Ale on och! To święty, taki dobry człowiek, on siedział i tylko długo nic nie mówił. Ja czekam... jak na śmierć, a on milczy. Więc ja do niego podchodzę, a on panie doktorze on płacze! Łzy mu tak po twarzy ciekły jak groch, i mówi: Jakaś ty musiała być biedna! Tak powiedział i ręce do mnie wyciąga. Panie doktorze!... Ja mu do nóg lecę, a on mnie chwytą i mówi: To nic, to nic... teraz cię już nie opuszczę, bo znów będziesz marnieć, niebogo, taka samiutka na świecie... Łkanie tamuje głos chorej. Adam nie śmie jej przerwać, nie śmie nakazać jej milczenia. Rozkołysały mu się w sercu dzwony na Ave. Ten biedak prosty zrozumiał...

I ożenił się ze mną. Ożenił!... Boże, ten dzień, jakeśmy się żenili! Deszcz, śnieg, a ja jakby na świat przyszła, jakby dopiero wiedziała, co dzień, co życie. Po rękach go całuję, on się nie daje, za co? Przecież, żeby mnie rzucił jak inni, to byłabym dalej tak leciała na marne i szukała, żeby choć na chwilę ktoś był mój, choć na niby. Ja panu doktorowi powiedziałam kiedyś, że kobieta musi mieć dom bo inaczej, pójdzie na Bóg wie co. Jakby zwierzęciu nie dać gniazda... kiedy je Bóg do gniazda stworzył.

Co?

Adamowi teraz jasno ach, jak jasno na duszy. Ten głos cichy, drżący, łzami wezbrany i wdzięcznością, wiedzie go na drogę prostą, na drogę prawdziwej, wielkiej miłości. Tak, tak. Należy zrozumieć, odczuć, że ten ptak wygnany szuka gniazda, że z tragiczną rozpaczą rozbija swe skrzydła o tafle szkła, poza którymi świecą sztuczne światła, i choć wie, że to nie jest „dom” że to tylko „gospoda” upada przed progiem i zranione swe skrzydła zwija w chwilowym omdleniu...

Stworzona do gniazda, do gniazda...

Błyskawicą miga mu myśl: Dawałem jej gniazdo, wtedy chciałem się z nią ożenić. Nie chciała!... Lecz już biją dzwony hymnem tłumaczenia.

Dlatego, że cię kochała, lękała się chciała się wypróbować twoją rzeczą było otulić ją ciepłem, rozwinąć w niej serce stworzyć jej gniazdo nie przygodne, ale gniazdo, które byłoby jej domem... I sama byłaby się prosiła, aby w nim pozostać mogła do śmierci...

Adam powstaje z krzesła. Czuje, że chce, że musi pozostać sam i dalej badać się, dalej pozwalać rozświecić się dokoła swej duszy błękitom i jasnościom porannym.

Kobieta leży cicha i nieruchoma. Ręce jej jakby zanurzone w drobne ćwiartki, podkreślone dziecięcym pismem, które jakby kwiaty na łóżko jej opadły.

Droga mamusiu, jedyna mamunieczko...

Usta blade uśmiechają się jak do przenajśłodszych wizji. Jej świat okolił ją świat jej gniazda, jej domu...

Adam cichutko wysuwa się z pokoju.

Pozostawia tę kobietę ze swoimi.

Otwiera drzwi sali operacyjnej i tam wchodzi w samotność i cień.

Gdy się znajduje tak sam, uczucie, jakie ogarnęło go tam u łoża chorej, potęguje się i wzrasta. Dokoła niego ciemność zupełna, a przecież otacza go jakby błękit, pełen spokoju i słodczy. To straszne wrażenie wstrętu, goryczy które dławiło go aż do tej chwili, znika zupełnie. I to, co było podstawą jego istoty, ta bezmierna dobroć i odczucie cierpienia, triumfalnie powraca, biorąc go w swoje posiadanie. Widzi się egoistą, widzi, jak swoje własne cierpienie stawiał na ołtarzu adoracji,

jak myślał tylko o tym, co on przechodzi, a nie baczył, że tam, obok wije się jak zdeptany robak drugi ból, nad którym los pastwi się od dawnych chwil.

Sama była, sama oplwana, wzgardzona, odepchnięta. Zwątpiła w siebie, w życie, w dobro we wszystko. Musiało tak być. Nie miała domu, nie miała matki, nie miała wspomnień... nic...

I nagle ogarnął go szalony żal. Wzruszenie targnęło się w nim całym huraganem i kłębiło się burzą uczucia.

Wiśka, moja Wiśka!...

Ręce podniósł do góry, ku niej jak tamten, który ręce wyciągał ku tej, co mu kornie do stóp się kłoniła. Lecz to on do jej stóp kornie się kłonił, prosząc ją o przebaczenie za to, że nie zrozumiał, za to, że chciał ją, tulącą się do niego odepchnąć i rzucić w świat, aby zmarniała jak ptak, jak taki ptak bez gniazda... bez domu.

Wiśka! Moja Wiśka!...

Stworzy jej ten dom cichy biedny. Cztery ściany drzwi dobrze zamknięte i stanie sam u tych drzwi na straży, jakby ze skrzydłami

rozpostartymi; tak bronić będzie ją od tego, co jest złe, co czyha na samotne i bezbronne.

I ja zrozumiałem, i ja... woła w ciemni. A dokoła dzwony biją na Ave. Triumfalne dobroci najwyższej dzwony.

I białe cherubiny wieją skrzydłami, jakby palmy srebrne rozkołysały się w słoneczny dzień Zmartwychwstania.

Rozgorzało serce dobrego człowieka i świeci jak wielkie, nie zgaszone niczym słońce.

I oświetla szeroką, prostą drogę.

Drogę prawdziwej, wielkiej miłości.

Nadszedł dzień. Powoli pełza, powoli wstaje. Nie błękitem, nie jasnością. Szary, niewyraźny.

W sanatorium budzi się życie. Znów dwie operacje. Dyrektor powrócił. Adam słyszał, jak szedł do

swoich pokoi. Mówił przytłumionym głosem. Ale już powstawali wszyscy. Służba się kręci, chodzi po chorych, nosi wodę, śniadanie. Tym, którzy wracają do życia, śpieszno powitać dzień.

Adam wpada znów w wir codziennych zajęć. Barciński odchodzi więc jest trochę do załatwienia z chorymi. Następnie należy zdać relację dyrektorowi, przygotować salę i towarzyszyć dyrektorowi podczas jego wizyt u chorych. Ta codzienność poszarza trochę błękit i jasność, które owiały duszę Adama tej nocy. Przy tym jakiś lęk, jakaś niepewność zaczyna go ogarniać.

Jak ją zobaczyć, myśli, jak z nią mówić?

Kilkakrotnie pragnął choćby snuć się pod jej drzwiami, lecz nie śmie. Wstrzymuje się u stóp schodów. Gdyby była sama, kto wie, wbiegłby i wyciągnął ku niej rękę, nie mówiąc ani słowa. Tak byłoby najprościej. Ona odczułaby także, że on wreszcie zrozumiał i przychodzi zabrać ją na resztę życia wraz z jej bólem, cierpieniem i łzami. Lecz Wiśka nie jest sama. Tam jest jej matka, a ta kobieta mimo wszystko dla Adama

pozostaje niezrozumiałą. Dla niej nie ma w jego sercu nic. Ona teraz jak nieprzebyta przeszkoda stoi pomiędzy nim a Wiśką.

O godzinie jedenastej przed sanatorium zajeżdża fiakier na „gumach”. Sprowadzony przez posługacza, czeka rozwalony na koźle. Ten fiakier ma w sobie bezczelność zwykłego woźnicy paniczów i kokotek. Adam, przechodząc mimo okna, widzi czekającą przed domem dorożkę.

Dla kogo to? pyta portiera.

Dla tych pań z drugiego piętra.

A!...

Adam zwraca się ku schodom i chce iść do sali operacyjnej. Boli go dziwnie myśl, że Wiśka jechać będzie tą kokocką dorożką w towarzystwie swej matki po mieście.

Moja wina myśli gdybym wtedy ją wysłuchał, nie odtrącił...

I nagle postanawia napisać do niej, że pragnie ją widzieć zaraz, choć na chwilę jedną.

Wyjmuje spoza fartucha swój notatnik, wrywa kartkę i wsparty na poręczy pisze:

„Muszę cię widzieć samą, muszę koniecznie.”

Chce coś dodać, coś pochodzącego z samej głębi rozbudzonego serca, i pragnie napisać:

"Przebaczyłem!"

A ręka pisze sama:

„Przebacz!”

Wchodzi do saloniku, aby z leżącej tam zawsze teczki wziąć kopertę. Ręce mu drżą. Chciałby płakać i śmiać się równocześnie. Zobaczy ją za chwilę da jej dom swego serca i ukryje ją w nim na życie całe.

Dom swego serca!

Wychodzi znów na schody, aby przez portiera wysłać list na górę. Lecz nie odszedł jeszcze do loży, kiedy jakiś szum rozlega się na schodach.

Od góry, z wyżyny jakby jakieś ptaki spadały powoli.

Rozpostarte, zwiewne, złociste skrzydła ważą i opadają na ziemię pięknie i do żeru gotowe.

I zanim Adam podniósł głowę w górę wiedział już, że to opadają ku niemu przedziwne piękna kobiecego ciała, że to zwiewają na skrzydłach

szat szumiących one obie które mają włosy zbyt czarne, twarze trójkątne, blade i dziwne, twarze lunatyczek, i ręce zgięte gestem posiadania.

Skurcz serca dopowiedział mu reszty. To szła Wiśka i jej matka.

Portier poskoczył ku nim i zgięty wpół otwierał drzwi. Za nimi szła

pokojówka, niosąc pled. Pierwsza szła baronowa, dziwnie szczupło wyglądająca w młodym bolero ze skóry foki, przybranym gronostajami.

Całe masy fiołków i róż Malmaison stroiły głowę. Stawiała nogi kształtnie i prosto.

Dokoła pasa dzwoniły breloki. Była dumna i pewna siebie.

Za nią, trzymając się poręczy, szła Wiśka. Odziana w długie okrycie skunksowe matki, w jej tok, strojny spięciem brylantowym i długim pękiem piór rajskiego ptaka była prawie nie do poznania, tak ten modny, przepyszny strój zmieniał ją zupełnie. Tylko bladość jej twarzy akcentowała się jeszcze silniej i coś z głębi duszy zanadto w olbrzymich czarnych źrenicach.

Szły wolno i szum jedwabnych spódnic miał coraz więcej podobieństwa do szumu złowrogiego fal, które ludzkie dobro zagarniać pragną.

Adam przez jedno mgnienie oka chciał uciec, ukryć się gdzieś przed tym spotkaniem. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zrozumiał, że ta Wiśka, która szła ku niemu, powiewając płomieniem

rajera, to nie ta kobieta spłakana i zdrczona, którą chciał porwać w swe objęcia i do domu swego serca wprowadzić. Tak była wyniosła, strojna, dumna tak stała od niego daleko, wysoko, że cofnął się w głąb siebie i stał prawie zmartwiałym z zaciśniętym listem w ręku.

A ona przesunęła się koło niego bez jednego gestu. Ani on, ani ona nie zamienili ukłonu. Tylko ona spojrzała mu w źrenice jedną chwilę, a taka bezdeń smutku, taka tragedia wionęła ku niemu z tych czarnych oczu że serce w nim zamarło.

Passez devant! odezwała się matka, usuwając się jej we drzwiach. Wiśka przeszła, i Adam, który biegł za nią wzrokiem, widział na jasnym tle przestrzeni jej pochyloną głowę, z której spływały płomienne pióra. Widział następnie przez wielkie tafle szyb, jak obie damy wsiadały do dorożki, jak cynicznie uśmiechnięty fiakier dość poufale powitał baronową, jak otulone pledem wtuliły się w poduszki powozu.

Po czym fiakier ostrożnie, po wiedeńsku zebrał lejce, aby nie spłoszyć swych jukierów, i z głuchym turkotem całe widzenie znikło...

Adamowi zdawało się, że mu ktoś po sercu przejechał.

Do późnej nocy pilnował Adam powrotu Wiśki. Lecz baronowa z córką nie wracały.

Poszły do teatru, wrócą później...

Siedział w saloniku i nasłuchiwał turkotu. Ciągłe było spłoszone i strwożone. Wiedział, że Wiśka nigdy niemal nie pokazywała się publicznie z matką. To wyjście jej w dzień biały, ten strój, ta jazda na „gumach” były to rzeczy niezwykłe, wbrew zasadom dziewczyny.

Baronowa nadużywa sytuacji myślał Adam i ogarnął go rozpaczliwy gniew, że się tak stało.

Ile Wiśka cierpieć musi...

Wybiła dwunasta. Lampa, w której brakło nafty, gasła. Adam nie chciał poruszyć się, aby zapalić stojące na biurku świece.

Gdzie one są w tej chwili... myślał. I noc powoli mijała. A Wiśka nie wracała.

Na drugi dzień rano Adam zapytał portiera, czy te damy z góry nie wróciły. Sądził, że może nadjechały wtedy, gdy był u kogoś z pacjentów. Lecz nie wróciły wcale. Przechodząc koło drzwi

pokoju, zajmowanego przez Wiškę, dostrzegł, iż robiono w nim porządek, a rzeczy, kuferki, nesesery stały na dawnych miejscach, co go trochę uspokoiło.

Wróć, lada chwila wróć...

Zaczął chodzić do chorych lecz gdziekolwiek się obrócił, smutne dziwne spojrzenie wlokło się za nim, przed nim i zasłaniało mu wszystko.

Ach! Jaka ona smutna!...

I ogarniało go szalone pragnienie, aby ten smutek wypić z jej oczu jak truciznę, która ją trawiła.

Wezmę go w siebie, niech mnie nęka lecz niech ona uśmiechnie się choć na chwilę jedną.

Egzaltacja go teraz rwała ku niej. Tęsknota szarpała nim szalenie.

Ach! Gdyby tylko wróciła... Lecz Wiška nie wracała.

Nad wieczorem nadszedł Barciński, aby zabrać swe drobiazgi i obliczyć się z dyrektorem.

Zaraz na wstępie, przywitawszy się z Adamem, śmiać się zaczął.

Wiesz, teraz już domyślam się, kto była owa tajemnicza pacjentka na drugim piętrze.

Adamowi tchu zabrakło.

Jeżeli się domyślasz, zachowaj ten domysł dla siebie odparł twardo.

Czegóż się rzucasz? Mówię to do ciebie. Trąbić przecież na rynku nie będę. Ale wczoraj, gdy zobaczyłem matkę i córkę, od razu się domyśliłem całej prawdy. No... no... Ciekaw jestem, z kim. A szelma piękna. Stara przewiduje chwile, kiedy dla niej samej nikt się już nie zbliży więc dlatego zaczyna włączyć z sobą córkę. Przypatrywaliśmy się pannie długo w restauracji. Były w Imperialu miały stolik obok naszego. Jadły kolację. Z nimi było dwóch facetów. Jeden jakiś przystojny obywatelczuk, coś nowego a drugi znany wyciruch ten łysy... no... Toczyski.

A...

Znasz go? Ja nie. Był z tymi paniami bardzo poufale. Wiśka była trochę nieswoja, ale pod koniec kolacji ożywiła się i coś jakby śmiała się do obywatelczuka. Potem siadły na gumy i ci panowie i pojechali na spacer. Stoją w hotelu, w Imperialu.

Skąd wiesz?

Pytałem się, wychodząc. Tam zamówiły apartamenta na parę dni.

Pokreślił się chwilę po pokoju i wreszcie wyrzekł:

Pójdę do starego. Czy jest u siebie?

Jest w kancelarii.

Gdy Barciński wyszedł, Adam długą chwilę siedział jak oszołomiony.

Z Toczyskim razem z Toczyskim... myślał. Co począć teraz? Coraz bardziej oddalały się od niego. Jak jej list doręczyć? Jak się z nią zobaczyć?

Ze schodów znoszono jakieś rzeczy. Przeczuciem wiedziony, Adam uchylił drzwi. Ujrzał ekspresów, wynoszących kuferki i drobiazgi Wiśki. Poznał jasną skórę neserów, cyfry, pled srebrnoszary.

Zdawało mu się, że zrywa się ostatnia łącząca go z nią nitka.

Muszę przecież z nią mówić... muszę nie dam jej na zagładę. Lecz gorączka go spalała. Nie miał sił. Miał ciągle w ręku list i nie posyłał go.

Kilka dni przeszło w tej niepewności i oczekiwaniu. Adam ciągle układał listy, jakie pośle do Wiśki, i gdy siadał, aby je napisać, nie mógł sformułować ani jednej litery. Kilkakrotnie wyszedł na ulicę z gorączkową myślą, że spotka baronównę i powie jej choć słów kilka, które wszystko naprawią. Lecz gdy się zbliżał do hotelu, w którym ona wraz z matką mieszkała cofał się i uciekał z bijącym sercem, jakby popełnił jakiś czyn zły, z którym kryć się musi.

Raz jeden zdawało mu się, że w świetle lamp dostrzeżga pióro jej kapelusza.

Doznał jakby uderzenia maczugą i oddalił się czym prędzej w przeciwną stronę.

Boję się teraz... pomyślał na wpół przytomny, wlokąc się do domu. Wreszcie zdobył się na napisanie listu.

Wiśko pisał między innymi słowami wróć do mnie, czekam na Ciebie. Daruj mi, że kazałem Ci czekać. Nie od razu bowiem wydobywa się to, co jest w człowieku najlepsze. Zobacz się ze mną chwilę jedną. Powiem Ci wiele i Ty wypłaczesz we mnie cały ból i cierpienie swoje. Nie puszczę Cię z nimi w świat. To straszni doradcy. I zamknę Cię w ramionach swoich biednych, które Ci nic nie niosą

ale które są dość silne, aby uchronić Cię nadal od tego, co daje zło i nieszczęście. Przyjdź czekać Cię będę tam, gdzie po raz pierwszy widziałem Cię w życiu. W zaułku ciemnym i smutnym. Tam byłaś Ty i dwa cienie twoje."

List ten napisał. Zawołał posługacza i późnym wieczorem posłał. Zaledwie zdołał wyrwać z siebie to postanowienie.

A teraz czekał.

I nigdy mu tak drogą, tak piękną, tak kochaną i tak biedną nie była, jak w chwili tego oczekiwania.

Ach! Rajski ptak spoza złotych krat zuch dziewczyna Fra Filippo dziewczyna o śnieżności lilii owiana wdziękiem dziewczyna, która nie wiedziała co złe, co to najgorsze.

Ach!... Kasztelanka spod szumiących groźnie drzew, wlokąca swe zielone welny, smukła i poważna, idąca w równię, na której czuwają szare krzyże, anioły z rozpostartymi skrzydły.

Do prawie ciemnego pokoju wsuwa się posługacz. Wyciąga rękę. Trzyma w niej list.

Proszę pana asystenta...

Jeszcze nie skończył, a Adam ma w swej piersi odczucie katastrofy.

Te panie wyjechały wczoraj za granicę. Tak powiedział portier w hotelu.

Dobrze.

Tu jest panowy list.

Położ.

Dobranoc.

Ach! Dobranoc...

Adam usiadł przy stole i zacisnął rękę na liście. I tak martwieje w ciszy i ciemni. Nie umie się żalić, nie umie cierpieć. Ogarnął go lód, pustka.

Wie, że Wiśka teraz dla niego na zawsze stracona.

Rajski ptak rozwiewa się w mgłę.

I zapada w mrok.

A dom serca, który czekał nań, okrywa lód i cień...